

Ivan Novotny

Z ANIOŁEM DO NOWEGO ŚWIATA

**Oto w Duchu Świętym przyszło Twe Królestwo,
Ojcze nasz, Życie nasze...
Wielbimy Twoje Najświętsze Imię.
Staramy się, aniołowie i ludzie,
pełnić Twoją wolę na ziemi jak w niebie.
Syna Twego, Odwieczną Światłość
pożywamy wszyscy i adorujemy
w Nowym Betlejem – Domu Chleba,
którym stał się teraz cały świat.
Przebaczyliśmy naszym winowajcom,
więc i Ty nam wszystko odpuściłeś
i uwolniłeś nas od Kusiciela.
Amen.**

WARSZAWA 2006

Ivan Novotny

Z ANIOŁEM DO NOWEGO ŚWIATA

*Książkę tę poświęcam mojemu Przyjacielowi
Anaelowi z niebiańskiego chóru Książąt,
cichemu Opiekunowi żyjących w czystości,
na pamiątkę wspólnych podróży przez ziemię:
pierwszej, rozpoczętej w dniu moich urodzin
oraz drugiej, opisanej w tej książce,
w oczekiwaniu na trzecią, gdy czas się wypełni.*

*Ofiaruję ją wiarygodnym prorokom naszych czasów,
jakże często lekceważonym i wzgardzonym,
którymi posłużył się Chrystus Pan,
by przygotować swoją Resztę
na swe Powtórne Przyjście.*

*Składam ją w życzliwe ręce Czytelników,
którzy mają przetrwać Oczyszczenie Świata,
by w kulminacyjnych jego momentach
nie tylko nie załamywali się na duchu,
lecz czuli się przed Bogiem odpowiedzialni
za budowanie Świata Nowego,
w którym będzie mieszkała Sprawiedliwość
wraz ze swoją nieodłączną siostrą Miłością.*

Ze względu na uchylene przez Papieża Pawła VI kan. 1399 i 2318 dawnego Kodeksu Prawa Kanonicznego (A.A.S. 58/16) nie ma już zakazu publikowania oraz rozpowszechniania bez *imprimatur* Kościoła nowych objawień, wizji, prorocstw, cudów itp.

Redaktor wydania polskiego:

ks. dr Marian Kowalski

© Ivan Novotny

ISBN 83-87049-02-6

ISBN 978-83-87049-02-7

Druk z powierzonego materiału,

projekt okładki,

dystrybucja:

AGENCJA ATM

00-608 Warszawa, Al. Niepodległości 186

tel./fax 825 33 66, 602 26 77 15

e-mail: agencja.atm@neostrada.pl

pomoc w dystrybucji:

25 632 4939

Spis treści

Od Autora	7
1. Święty Anael, mój przewodnik	12
2. W domu rodzinnym	26
3. Ksiądz Leopold i jego parafia	50
4. Moja siostra przewodniczką	82
5. Rozmowa z Rafałem (o technice, i nie tylko)	105
6. Tajemnice domowej apteczki	130
7. W klasztorze Wspomożycieli Czystości	138
8. U pustelnika	157
9. Migawki i refleksje z podróży zagranicznych	182
Sanktuaria ocalały...	183
Zakwitły pustynie...	199
10. Pożegnanie	212
Nazwy ptaków występujące w książce	6

Dla tłumaczy na obce języki:

NAZWY PTAKÓW WYSTĘPUJĄCE W KSIĄŻCE

bocian – *Ciconia ciconia*
dzierzba – *Lanius corrulio*
gęś (dzika) – *Anser fabalis*
gołąb grzywacz – *Columba palumbus*
jaskółka brzegówka – *Riparia riparia*
jaskółka oknówka – *Delichon urbica*
jerzyk – *Micropus apus*
krętogłów – *Jynx torquilla*
łabędź – *Cygnus olor*
mewa śmieszka – *Larus ridibundus*
pełzacz – *Certhia brachydactyla*
pliszka siwa – *Motacilla alba*
rybitwa – *Chlidonias nigra*
skowronek – *Alauda arvensis*
słowik – *Luscinia luscinia*
sójka – *Garrulus glandarius*
sowa uszatka – *Asio otus*
szpak – *Sturnus vulgaris*

Od Autora

Wierzę, że książka ta znalazła się w twoich rękach, drogi Czytelniku, nie przypadkiem. Być może jesteś jednym z tych szczęśliwców, którym Dobry Bóg wypisał przepustkę do Nowego Świata i już teraz duchem powinienes w nim się znaleźć?

– A cóż to za „Nowy Świat” – może zapytasz...? Chodzi o „nowy” czy o „odnowiony”? Czy dom, który przeszedł remont generalny, można nazwać „nowym” domem...? Czy to pojęcie „Nowego Świata” nie ma czegoś wspólnego z poglądami masonerii albo sekt, używających podobnych określeń?

Ponieważ jestem katolikiem z krwi i kości, więc mogę mieć na myśli wyłącznie tę przemianę świata, która będzie się wiązała z *przyjściem Syna Człowieczego* i „przepełnieniem” ludzkości¹. Ma to być odnowienie całego stworzenia, i to tak dogłębne i powszechne, jakby było przetworzeniem go, niemal powtórny stworzeniem. Można więc będzie odtąd mówić rzeczywiście o „Nowym Świecie”.

Jak ten oczyszczony, odnowiony świat nazwać inaczej? Spróbujmy wymienić tylko niektóre jego określenia, znane nam z Pisma Świętego, objawień Maryjnych oraz z wypowiedzi niektórych znanych nam osób.

– Świat cieszący się wielkim pokojem (chodzi tu o Izajaszowe

¹Mt 24,37-41: „A jak było za dni Noego, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego. Albowiem jak w czasie przed potopem jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali aż do dnia, kiedy Noe wszedł do arki, i nie spostrzegli się, aż przyszedł potop i pochłoniął wszystkich, tak również będzie z przyjściem Syna Człowieczego. Wtedy dwóch będzie w polu: jeden będzie wzięty, drugi zostawiony. Dwie będą mleć na żarnach: jedna będzie wzięta, druga zostawiona”. Siostra Łucja twierdziła, że jej i kuzynom Matka Boża niejednokrotnie mówiła, iż podczas kary oczyszczającej wiele narodów zniknie z powierzchni ziemi.

przekucie mieczy na lemiesz i włóczy na sierpy, także o otwarciu się na pokój jako dar Chrystusa Zmartwychwstałego);

– świat ludzi o wyjątkowo głębokiej wierze, znajomości Boga i miłości do Niego (*Umieszczę swe prawo w głębi ich jestestwa i wypiszę na ich sercach. [...] Nie będą się musieli wzajemnie pouczać, mówiąc jeden do drugiego: Poznajcie Pana! Wszyscy bowiem od najmniejszego do największego poznają Mnie, mówi Pan [Jr 31,33-34]*);

– świat, w którym Bóg w pełni odpowie na wołanie Kościoła: *Przyjdź Królestwo Twoje. Gdy przyjdzie, przed Nim zegnij się wszelkie kolano* (Iz 45,23, Flp 2,10);

– świat, w którym *nie będzie już pogan*, a wszyscy żydzi² staną się wyznawcami Chrystusa i w końcu powiedzą: *Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie* (zob. Rz 11,25-27, Mt 23,39);

– świat, w którym Kościół będzie *jedną owczarnią pod przewodnictwem jednego pasterza* (J 10,16);

– świat „nowej epoki Ducha Świętego” (św. Maksymilian Kolbe), „nowej Pięćdziesiątnicy” i „nowej wiosny Kościoła” (Jan Paweł II);

– świat, w którym „okręt” całego zjednoczonego Kościoła przycumuje do „dwóch kolumn”: Eucharystii oraz Maryi, a masoneria – jego największy wróg – zniszczy samą siebie (św. Jan Bosko – jego znana wizja);

– świat, w którym zatryumfują Dwa Najświętsze Serca Jezusa i Maryi (wiele objawień, m.in. saletyńskie, fatimskie i amsterdamskie); będzie ten tryumf jednoznaczny z nastaniem Królestwa sprawiedliwości, miłości i pokoju, z powszechnym uzdrowieniem ludzi i przyrody oraz zapewnieniem im obfitości dóbr ziemskich.

²Gdy chodzi o wyznawców judaizmu, piszemy „żydzi” małą literą (podobnie jak „katolicy”, „mahometanie”), a gdy chodzi o narodowość, używamy dużej litery (Żydzi, Amerykanie, Rosjanie itp.).

Ktoś może się dziwić, dlaczego Stwórcą miałby wyróżnić – tak bardzo uprzywilejować – to właśnie a nie inne pokolenie...? Czy myśl ta zgadza się z Bożym Objawieniem, z Pismem Świętym?

Zgadza się w pełni. Bóg od początku próbował zawrzeć trwałe przymierze z ludzkością, zobowiązując się do tego, że zapewni jej szczęście nie tylko wieczne, ale i doczesne, jeśli będzie Mu posłuszna. Wiemy, jak to bywało w historii z tym posłuszeństwem... A ostatnio...? Grzechy, za które w czasach Abrahama Bóg dokonał zagłady Sodomy i Gomory, są uznawane przez rządy kolejnych krajów za „normę” i chronione prawem. Wydaje się nam, że szatan wyczerpał już swój repertuar pomysłów na deprawowanie i odbieranie Bogu Jego ukochanych stworzeń! Nabieramy więc pewności, że bliski już jest dzień, w którym (na pewien czas) zostanie on *związany, aby nie zwodził narodów*. Bóg, jak to dawno zapowiadał, zostawi wtedy na ziemi tylko *Resztę*, okazującą Mu wierną miłość i zdolną budować Królestwo Woli Bożej. Wówczas nie tylko na ludzi, lecz i na całą powierzoną im ziemię spłyną wszystkie błogosławieństwa, od Abrahامowego aż do Chrystusowego z „kazania na Górze”. Przynajmniej na *końcu czasów* nasza planeta stanie się krainą doczesnego szczęścia, opisywanego przez Proroków. Wszyscy zobaczą, jak odkupiona przez Chrystusa ziemia mogła wyglądać, gdyby ludzie na niej żyli w prawdziwej miłości.

Po tych wyjaśnieniach zapraszam cię już teraz, drogi Czytelniku, do lektury. Ale prawda: zanim spokojnie w niej się zanurzysz, powinienem... ostrzec cię przed niebezpieczeństwem, które w tej książce może na ciebie czyhać! Otóż pewien czytelnik zbyt łatwo nabrał przekonania, że prawie wszystkie szczegóły, dotyczące miejsc i zdarzeń opisanych w tej książce, pochodzą... z moich wizji! Mogę cię jednak zapewnić, że tam, gdzie wyraźnie odwołuję się do tych wizji – rzeczywiście na nich się opieram, jednak nie co do szczegółów – te po latach zatarły się w mojej

pamięci. Aby uzupełnić tę lukę, jestem zmuszony posługiwać się własną wyobraźnią, choć przy tym opieram się na najnowszych wynalazkach, którymi się zresztą pasjonuję. Do siebie mogę odnieść słowa, które Gabriela Bossis usłyszała od Chrystusa: „Nie pojmujesz tajemnicy elektryczności, fal, tylu różnych energii, które dopiero w niewielkim stopniu znacie. Nie zatrzymuj się w podziwie przed tajemnicami Bożymi, lecz przyjmuj je z miłością. Ich celem jest wypróbowanie was, dzieci Bożych, pod względem ufności we Mnie pokładanej”³.

Już słyszę, jak mnie chcesz zapytać: w takim razie w twoim pisaniu nie ma nic pewnego...? O nie, tak sprawy nie stawiaj, gdyż byłaby to znów przesada w odwrotnym kierunku. Życie potwierdziło prawdziwość i dokładność wszystkich moich „wizji”, odnoszących się do zdarzeń, które mam już poza sobą, więc mam prawo oczekiwać, że dalej tak będzie w odniesieniu do tego co przede mną. Oto przykład: jeżeli opisuję „mobil”, to uważam, że mam do tego prawo, gdyż ja rzeczywiście (w jaki sposób – nie pamiętam) takim pojazdem podróżowałem w przestworzach jako dziecko. Jest to, w moim przekonaniu, pojazd przyszłości. Nawet jeśli odtworzyć już dzisiaj nie potrafię jego dokładnego wyglądu, mam jednak o nim dokładniejsze pojęcie niż ci, którzy nigdy go nie widzieli. Może jakiś pilot śmiać się z tego, że mój „mobil” daje się sterować podobnie jak samolot, chociaż nie ma skrzydeł ani ogona, a więc i układu sterowniczego stosowanego w samolotach... Jedno mu tylko odpowiem: „Pożyjemy – zobaczymy”!

Zwróć uwagę, Czytelniku, że cała ta opowieść o Nowym Świecie koncentruje się wokół tylko jednego faktu i może zawierać tylko jeden jedyny *p e w n i k*: że taki szczęśliwy okres nadejdzie, i to w czasie przewidzianym przez Boga. Natomiast w jakim

³Gabrielle Bossis, „LUI et moi. Entretiens spirituels”, Beauchesne, Paris 1993. Zob. notatkę pod datą 25 maja 1939 roku.

kszałcie on nadejście, tego ściśle nie wie nikt z ziemian ani wie-
dzieć nie może, gdyż... dopiero w dniu jego nadejścia ów kształt
przestanie być dla nas tajemnicą. Zależy on przecież nie tylko od
Boga, lecz i od nas, i to do ostatniej chwili⁴.

Może powiesz mi w takim razie: po co pisesz książkę, skoro
nie masz pewności, że tak właśnie będzie ten świat wyglądał...?

Piszę najpierw dlatego, że taką pewność posiadam, chociaż
może nie co do daleko posuniętych szczegółów. Wyrazem tej
pewności jest moje oczekiwanie, którego od najwcześniejszych lat
mego życia nikt ani nic nie może zakłócić.

Ale pisząc książkę kieruję się także innym ważnym motywem
– być może takim, jaki przyświecał Michałowi Aniołowi Buona-
rottiemu. Czym bowiem jest jego „Sąd Ostateczny”, słynny fresk
w Kaplicy Sykstyńskiej, jeśli nie wyraźnym apelem Artysty, skie-
rowanym do widza: zatrzymaj się, popatrz, p r z e ż y w a j to co
widzisz. Nie to jest najważniejsze, jak w szczegółach ten Sąd bę-
dzie wyglądał, lecz niech mój obraz pomoże ci znaleźć się w du-
chu przed obliczem Sędziego. Już teraz pomyśl, po której Jego
stronie się znajdziesz i co usłyszysz: *Pójdźcie błogostawieni...*
czy Idźcie ode Mnie, przekłeci...

Ja także chciałem tu wystąpić nie w roli twórcy dokładnego
„przewodnika” po Nowym Świecie, lecz jedynie „malarza”, który
chce pomóc czytelnikowi otworzyć Bogu nie tylko swój chłodny
umysł, ale przede wszystkim gorące serce. Otóż właśnie ta książ-
ka, pomagając „zobaczyć” i przeżyć, mogłaby spełnić rolę... tej
małej, zapalającej iskierki! Bardzo liczę na to, że kończąc jej
lekturę, z głębi serca zawołasz razem ze mną, drogi Czytelniku:
Przyjdź już, Panie, i odnów oblicze ziemi!!!

⁴Oto przykład: fakt porwania trojga pastuszków 13 sierpnia 1917 roku, jak
stwierdziła Pani Fatimska, bardzo obniżył rangę i zasięg „cudu słońca” 13 paździer-
nika. Kto wie, czy nie zmieniłby ten cud biegu historii świata...?

1. Święty Anael, mój przewodnik

Przecinając łąkę, niezwykle soczystą, ubarwioną tysiącami kwiatków przeróżnych ziół, rojącą się od owadów i małych żabek uciekających spod nóg, zbliżałem się do kępy krzaków nad brzegiem niewielkiej rzeki. Moje bose stopy rozkoszowały się tym świeżym dywanem rozesłanym przez Stwórcę i w instynktowny sposób omijały te kwiatki, na których uwijały się pszczoły-robotnice.

Chociaż było południe, śpiew słowiczych małżonków, niosący się od strony nadrzecznych zarośli, zagłuszał wszystkie inne odgłosy, nie mogły się przezeń przebić ani rechot żab, ani świergot skowronków, zawieszonych na błękitnym niebie. Wśród tego gwaru uderzał niewzruszony spokój bocianów, udających obojętność na wszystko, lecz od czasu do czasu błyskawicznie wyciągających szyję w kierunku... no właśnie – czego...? Czy skaczącej żaby...? O kilka kroków przede mną nurkował w trawie zwinny krętogłów, co chwila stając na baczność z wyciągniętą szyją, a trochę dalej para pełzaczy. Te płochliwe ptaki zachowywały się jednak w taki sposób, jakby mnie wcale nie widziały... Rój jerzyków i jaskółek, przecinających lazur nieba we wszystkich kierunkach, budził we mnie wspomnienia z dzieciństwa, ale i zdziwienie: dobrze pamiętałem, że wyginęły one pod koniec starej epoki – niebo było prawie martwe, odkąd wieś straciła swoje dawne oblicze, wyzbywszy się zwierząt wraz z pomieszczeniami dla nich, wykorzystywanymi przez jaskółki do budowy gniazd. Przestały także wówczas krążyć nad rzeką rybitwy i mewy śmieszki, nie znajdując widocznie pożywienia, którego teraz miały tutaj w bród – obwieszczały to donośnym krzykiem.

Nagle nad bujną trawą, kilka kroków przede mną, wyłoniły się długie kosmate uszy, bacznie zwrócone w moją stronę, za nimi zającza głowa, wreszcie wyprostowany cały tułów, lecz – o dziwo

– w pozie nie wskazującej wcale na chęć ucieczki! Jakby lekceważąc moją obecność ten stary, doświadczony mieszkaniec smakowitej łąki poruszał się leniwie, a nawet... opuścił jedno ucho, traktując mnie widocznie jak tyle innych stworzeń Bożych, poruszających się po łące! Stałem jak wryty. Gdy tak przez chwilę patrzyliśmy na siebie, ogarnęła mnie przemożna chęć pogłaskania go jak pieska-przyjaciela, a za tą chęcią poszło wyobrażenie sobie tej sceny. I wtedy... – czy uwierzycie? – zając przykicał spokojnie do mnie i oparł swoją głowę o moją nogę, łaskocząc mnie wąsami! Czyżby znał moje myśli i pragnienia...? Ja, który w Starym Świecie widziałem z bliska tylko zające zabite, nie mogłem wyjść ze zdumienia! Głaszcząc żywego czułem się jak małe dziecko, obdarowane przez rodziców wspaniałym pluszowym misiem, którego można od razu przytulić do policzka. Następny gest dziecka, nie mniej naturalny, to przytulenie się do rodziców z sercem przepełnionym wdzięcznością. Czyż i moje serce mogło zareagować inaczej...?!

Otoczony światem jak z bajki, albo jak z obrazów wiejskiego malarza naturalisty, któremu każda trawka, listek i kwiatek mówiły o Stwórcy i Jego miłości do człowieka, zacząłem śpiewać coś w rodzaju psalmu. Słów nie doбираłem, płynęły same, a ręce wznosiły się ku błękitnemu niebu. I wtedy... stało się coś, co już znałem sprzed kilkudziesięciu lat: cała otaczająca mnie przyroda zaczęła... świecić! Miałem wrażenie, że materię ktoś podświetlił bardzo mocną lampą, pobudzając ją do roziskrzenia się wszystkimi barwami tęczy! Szczególnie mocno barwy te odcinały się na niebie, otulając małymi tęczkami kontury pobliskich krzaków oraz niewielkie białe chmurki. Moje ciało przenikał dreszcz, coś w rodzaju potężnej fali przyjemnej energii, jednoczącej mnie z całym otoczeniem. Obecność Boga Stwórcy była nieomal dotykalna, nie trzeba więc było słów – wszystko, dosłownie wszystko we mnie i wokół mnie stało się modlitwą...

Jakaś magnetyczna siła pociągała mnie ku brzegowi rzeki. Zbliżając się do nadrzecznych zarośli, natrafiłem niespodziewanie na ślady... Czyżby chodzili tędy ludzie...?! Ależ tak, to była ścieżka, i nawet niedawno ktoś musiał nią przechodzić! Może rybacy...? Poprowadziła mnie ona wzdłuż zarośli ku miejscu, w którym z daleka połyskiwała woda, a brzeg tworzył małą otwartą zatoczkę. Przyśpieszyłem kroku, będąc (dlaczego – nie wiedziałem) pod wpływem silnej emocji.

Po kilkunastu krokach stanąłem olśniony, nie mając najmniejszej wątpliwości: to właśnie był ten kamień nad brzegiem rzeki, który, wraz z siedzącą na nim osobą, widziałem jako dziecko...! W podobny sposób rozpoznawałem kolejno inne miejsca, w których się znalazłem po latach – niewątpliwie byłem już w nich u początku swego ziemskiego życia. Szczegóły się zgadzały, nawet jeśli pewne obiekty nie istniały jeszcze w czasie, gdy je w swych wizjach „zwiedzałem”.

Czy to możliwe – zapyta ktoś – by zachować w pamięci, z tak wielką świeżością i wyrazistością, wizję zwykłego kamienia sprzed prawie sześćdziesięciu lat? Może dla innych jest zwykły, lecz dla mnie stanowi on, wraz z siedzącą na nim osobą, klucz do przyszłości, która oto nagle staje się teraźniejszością! To dzięki atmosferze, otaczającej dzisiaj wszystkie stworzenia, odnajduję ten klucz długo poszukiwany⁵!

Czy jednak na pewno odnajduję? Tamten człowiek z wizji wydawał mi się dorosły i kojarzył mi się z jakimś rybakiem, podczas gdy ten... jest kilkunastoletnim chłopcem, i do tego dziwacznie

⁵Mój spowiednik wiele lat temu, słysząc ode mnie wzmianki o tym dziwnym darze poznania przyszłości, zachęcał mnie do opisania otrzymanych wizji. Odpowiedziałem mu wtedy, że nie jestem w stanie tego uczynić, gdyż obrazy zatarły się trochę w mojej pamięci, a ponadto nie mam klucza, który by mi pozwolił połączyć przeszłość z teraźniejszością w jedną całość. Stwierdził, że jeśli będzie to wolą Bożą, klucz ten otrzymam i sam zrozumiem, kiedy powinienem wziąć się za pisanie.

ubranym! Tak, jest chłopcem, ale ma w sobie coś tajemniczego, co budzi ogromny szacunek, wręcz onieśmiela, choć na białym kamieniu rozsiadł się w pozie swobodnej, właściwej dla jego wieku, poruszając nogą jak w takt jakiejś melodii... Jego strój, chociaż chłopięcy, kojarzy mi się z dniem mojej Pierwszej Komunii świętej, do której przystąpiliśmy z bratem w białych bluzach i krótkich spodenkach. Ma on jednak jeszcze na sobie coś w rodzaju białego płaszcza, spiętego drogocenną klamrą... Jego długie jasne włosy falują lekko na wietrze, a oczy... promieniają tak wielkim blaskiem, że błyski na wodzie oświetlonej słońcem są niczym wobec tego światła!

Patrzemy na siebie – ja jak wryty, onieśmielony tym niezwykłym zjawiskiem, on – uśmiechając się, jak na widok dobrego znajomego! Musi mnie rzeczywiście znać, skoro dźwięcznym, bardzo miłym głosem, odpowiada na moje myśli:

– Rzeczywiście znalazłeś! Ale wtedy to nie był rybak – obraz zatarł się już w twojej pamięci. To byłem ja – Anael. Witaj, Ivanie!

– Mój Anioł! To dlatego tak mocno biło mi serce, gdy zbliżałem się do ciebie...!

– Znałeś mnie tylko z czyjegoś opisu... Zresztą nie tylko, bo prawdą jest to co komuś mówiłeś: twoje walki i upodobania, cnoty i kierunki działania były związane od początku ze mną i z moją opieką nad tobą, którą zlecił mi Dobry Bóg.

Wypowiadając dwa ostatnie słowa Anioł położył prawą rękę na sercu, a oczy wzniosł ku górze, lekko z wdziękiem pochylając głowę. Na jego ustach igrał uśmiech. Od tej chwili miałem być częstym świadkiem tego wspaniałego, a zarazem jakże wymownego hołdu, składanego Stwórcy przez Jego piękne i święte stworzenie.

Anioł Czystości – gdyż on to był we własnej osobie – według opisu podobny do chłopca, należący do Chóru Książąt, Anioł Matki Bożej, któremu Anioł Milczenia, święty Hagieli, zakłada na

ramiona biały płaszcz milczenia – wpatrzył się tak głęboko w moje oczy, że zapomniałem gdzie jestem... W tym jego wzroku zobaczyłem przez mgnienie oka, jasno jak w świetle błyskawicy, jak wiele mu zawdzięczam – ile walk o czystość musieliśmy razem stoczyć, jaki był jego udział w moich modlitwach, w poznaniu Matki Bożej oraz w związaniu z Nią życia, w poradach udzielanych ludziom przy spotkaniach, w listach i w książkach. Poznałem też, w jak wielu momentach ochronił mnie przed atakami piekła i przed innymi niebezpieczeństwami. On także przyczynił się do tego, że będąc „w podeszłym wieku” (jak to się mówiło w Starym Świecie), czułem się zawsze młody duchem, choć czas nadwreżył nieco moje ciało... Nawet teraz, choć ze swoimi szpakowatymi włosami musiałem wyglądać przy Anaelu jak jego dziadek, nie czułem żadnej różnicy wieku między nami. Wprost przeciwnie: chyba nigdy nie czułem się jak teraz chłopcem, gotowym skakać z radości, łązić po drzewach czy pluśkać się w tej rzece, w której uczyłem się pływać jako dziecko!

Niech nikt się nie dziwi, że z moich oczu popłynęły łzy radości i ogromnej wdzięczności, a moje ręce same wyciągnęły się ku temu Księciu-Chłopcu. Uścisnęliśmy się serdecznie, lecz on nie dał mi przyjść do słowa: objęci ramionami skłoniliśmy się głęboko, koncentrując uwagę nie na sobie, lecz na Stwórcy i Ojcu:

– *Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu*

Wydało mi się, że ten hołd oddany Bogu był jakby podsumowaniem całego długiego odcinka drogi mojego życia, przebytej dotychczas wspólnie z niewidzialnym Opiekunem.

Gdy usiedliśmy obok siebie na kamieniu, święty Anael (jak nazywałem go zawsze w swoich myślach), a odtąd po prostu Anael, zarysował przede mną intrygujący plan, w którym zawierała się misja, jaką otrzymał na najbliższy czas od Boga. Posługiwał się przy tym dziwnym językiem, składającym się nie ze słów, lecz z pojęć i obrazów, które wprost odczytywałem w swo-

im wewnątrz. I tak dowiedziałem się, że w celu napisania książki, która będzie miała duże znaczenie dla wielu ludzi, powołanych do przejścia wraz z ziemią swojego Wielkiego Oczyszczenia, mamy razem odbyć podróż po Nowym Świecie. Przekonał mnie, że to pisanie było rzeczywiście w planach Boga, a natchnienia, które otrzymywałem w ostatnim czasie, nie były tylko moimi myślami, lecz czymś więcej... Na dowód tego, że nasze spotkanie nad brzegiem rzeki było poszukiwanym przeze mnie kluczem, miałem w najbliższym czasie rozpoznać drugą z przeżytych w dawnych wizjach sytuacji. Do „Bożego sejfu” – powiedział – potrzebne będą dwa klucze⁶. Jeszcze dzisiaj otrzymasz drugi, lecz bądź uważny.

Zeszliśmy do płytkiej wody i idąc wzdłuż brzegu doszliśmy do kajaka, przywiązanego linką do grubej gałęzi. Leżały w nim dwa wiosła. Ja miałem sterować, siedząc z tyłu. Okazało się, że linki łączące orczyk ze sterem idealnie pasują do moich nóg. Na pokładzie w pobliżu steru zauważyłem dziwną małą skrzynkę z gałką pokrętłą (podobna znajdowała się po drugiej stronie, bliżej dzioba) i już miałem o nią zapytać, gdy oniemiałem ze zdumienia: mój towarzysz w jednej chwili tak się przemienił, że z trudem go poznałem! Miał teraz krótkie włosy, zniknął jego biały płaszcz, a ubranie miało jakiś nieokreślony kolor: ni to szary, ni to beżowy. Zauważył moje zaskoczenie i gdy już siedzieliśmy w łódce, wyjaśnił, że dla aniołów nie stanowi problemu przybranie takiej postaci, jaka odpowiada ich misji. Było oczywiste, że jego anielska natura musiała pozostać nierozpoznana dla otoczenia, w którym mieliśmy się znaleźć. A co do białego płaszcza...

– Płaszcz zniknął, lecz dobrze pamiętasz, co on oznacza – po-

⁶Chodzi o „sejf” Bożych tajemnic, do którego miałem dostęp jako dziecko. Dzisiaj pierwszym do niego kluczem było widzenie świata w tęczowych barwach oraz napotkanie znanego mi kamienia z siedzącym na nim Aniołem, także zanurzonym w „rajskiej poświacie”.

wiedział. – Chciałbym, żeby on dalej pozostał na mnie w twoich oczach, gdyż bardzo cenię sobie m i l c z e n i e . Nasza podróż będzie więc dla ciebie dobrą lekcją, bo nieraz nadużywałaś słów i nie panowałaś nad swoim językiem. A przecież będziesz osądzony z każdego wypowiedzianego słowa! Co do mnie – milczenie dotyczy także moich zachowań i moich myśli; nie dziw się więc, że chwilami nie będziesz mnie widział, jakbym się gdzieś zawieruszył, a kiedy indziej na mojej twarzy dostrzeżesz skupienie tak głębokie, jakbym był nieobecny. Uszanuj je wiedząc, że zawsze będę do twojej dyspozycji wtedy, gdy będzie to konieczne.

Popłynęliśmy z prądem bez użycia wiosł, zaśłuchani w śpiew słowików, przypatrując się wyścigom jaskółek brzegówek, śmigających nad samą wodą. Napilem się wody z rzeki, napełniając nią dłoń, trochę jej z przyjemnością wylałem na włosy.

Mój towarzysz milczał, wyczuwałem że się modli, więc sam poszedłem za jego przykładem. Otaczająca nas przyroda rozbłysła na nowo mistycznym tęczowym światłem, upodabniającym ją do wielkiej świątyni, w której wszystkie stworzenia wielbiły Stwórcę. Poczułem przemożne pragnienie zaśpiewania czegoś, co by wyrażało moje dla Niego uwielbienie, i już miałem otworzyć usta, gdy w oddali ukazał się kajak podobny do naszego. Wpatrywałem się ze zdumieniem nie tyle w siedzące w nim dwie postaci, lecz w wiosła leżące beczynnie – podobnie jak u nas – na pokładzie, chociaż kajak płynął pod prąd, i to szybciej niż nasz z prądem! Kajak z silnikiem od dawna nie był dla mnie nowością, lecz ten przez nas napotkany płynął w wielkiej ciszy... Nie mogłem mieć jednak żadnych wątpliwości: pozostawiane przez niego fale świadczyły o jego dużej szybkości, więc musiał mieć jakiś silnik... tylko jaki...?

Moje pytanie zawisło w próżni, gdyż napotkani turyści posłużyli się znakiem znanym także w Starym Świecie: w geście pozdrowienia podnieśli w górę wiosła. Poszliśmy za nimi i uczyni-

liśmy to samo. Uśmiechnęliśmy się do siebie, jak czynią to dobrzy znajomi, choć się przecież nie znaliśmy. Nikt się nie odezwał, lecz w moim umyśle pojawiły się, w sposób bardzo mocny i jasny, słowa płynące jakby z ich strony: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Ja również posłużyłem się tylko myślą, by odpowiedzieć: „Na wieki wieków. Amen!” Poczułem przy tym tak ogromną życzliwość wobec tych dwojga ludzi – byli to mężczyzna i kobieta w średnim wieku – że chętnie bym ich uściskał jak starych przyjaciół! Gdy tylko uczucie to owładnęło moim sercem, otaczający mnie świat jakby odpłynął, a umysł przeszyło jasne i szybkie jak błyskawica wspomnienie tego właśnie spotkania, przeżywanego w wizjach z dzieciństwa. Ależ tak, nie miałem żadnych wątpliwości: to był kolejny klucz do „Bożego sejfu”...!

Winien tu jestem Czytelnikom pewne wyjaśnienie. Gdy wspomniane sceny – a było ich wiele, do niektórych nawiążę dalej – oglądałem jako dziecko (ile mogłem mieć lat – nie wiem), wkładałem je pomiędzy sny i nie przywiązywałem do nich większej wagi. Dopiero gdy w późniejszych latach zauważyłem, że nie mogły to być sny, lecz w i z j e miejsc, zdarzeń i osób, zacząłem o tym mówić swojemu otoczeniu, a nawet wykorzystywać w praktyce przy podejmowaniu decyzji (jak dotąd – zawsze z dobrym skutkiem). Dawniej nie umiałem niektórych z nich osadzić w czasie, jednak z biegiem lat stawało się to coraz łatwiejsze. Ostatnio, jak nigdy dotąd, nabrałem przekonania, że nie otrzymałem tych wizji tylko dla siebie, lecz powinienem chwycić za pióro...

Ale oto skończyły się gęste nadrzeczne mieszkania słowików, a my wypłynęliśmy na niezbyt duże jezioro, nad którego taflą unosiły się głosy bawiących się nad brzegiem dzieci. Jezioro tutaj...? – pomyślałem... No tak, czyż obfitość wody nie jest opiewana w Biblii jako znak Bożego błogosławieństwa?

W Starym Świecie ostatnio wciąż brakowało w naszej okolicy wody, rzeczka coraz bardziej ginęła w zaroślach, więc jezioro

w tym miejscu wzbudziło mój zachwyt, a zarazem obudziło wspomnienia z zamierzchłej epoki. Wiem z opowiadań, że przed pierwszą wojną światową znajdował się tutaj drewniany młyn z ogromnym kołem wodnym, a przy nim duże gospodarstwo. Wtedy także było tu uroczne jezioro z łódkami i łazienkami do wynajęcia – wszak panie w carskich czasach nie pokazywały się publicznie w kostiumach kąpielowych, lecz pluśkały w nadbrzeżnych kabinach. Było tu też kilka domów letniskowych, wynajmowanych mieszkańcom pobliskiego miasta. W roku 1914 most i drewniany młyn wraz z gospodarstwem padł pastwą ognia wzniesionego przez żołnierzy. Wkrótce rzeka zmieniła swoje koryto, a nad nim później rozsiadł się nowy młyn (innego już właściciela), murowany. Zniknęło jezioro, okoliczne studnie wyschły, duże drzewa wyrosły tam, gdzie kiedyś błyszczała tafla wody.

I oto teraz... jak wielka przemiana! Na horyzoncie nie widać już znajomej czerwonej bryły młyna, lecz oko raduje się napotkanym widokiem spokojnej rozległej toni, w której odbija się niebo oraz sylwetki kilku łabędzi. Przesyłamy całusy bawiącym się dzieciom – co odważniejsze próbują ochlapać nas wodą, brodząc po kostki w wodzie – i kierujemy kajak ku przeciwległemu brzegowi, ku niewielkiej zatoczce, wyglądającej na przystań.

Dziwna to jednak przystań... Na pierwszym planie widać łódki, wyciągnięte częściowo na brzeg (są wśród nich i kajaki), lecz na drugim planie, a więc ponad nimi, na zboczu łagodnie schodzącym ku wodzie, widzę... pojazdy, ustawione w dziwny sposób – blisko siebie, a do tego jakoś chaotycznie... Moje oko wprawnego kierowcy samochodu rejestruje następujące szczegóły: pojazdy przypominają wprawdzie samochody różnych kształtów, wielkości i kolorów, lecz... nie mają wcale kół! Gdyby je miały, byłoby rzeczą wręcz niemożliwą zaparkowanie ich na tak pochyłym zboczu w taki właśnie sposób...

Gdy nasz kajak wsuwa się dziobem na piasek i możemy wyjść

na brzeg, w mojej głowie roi się od pytań natury technicznej, które chciałbym postawić memu towarzyszowi. Anael, jak poprzednio, czyta w moich myślach i wyraźnie chce dać mi odpowiedź, wskazując na dwie skrzyneczki z pokrętłami na pokładzie kajaków.

– Myślałeś, że mają jakiś silnik, chociaż nie widać zbiornika z paliwem...? Wcale go nie mają! W ich wnętrzu znajdują się bardzo proste urządzenia, przypominające reflektor – jedno z przodu, drugie z tyłu. Mają też maleńki generator potężnej energii, która działa jakby przyciągająco lub odpychająco, w zależności od potrzeb. Trochę przypomina to dwa elektromagnesy, których bieguny mogą się przyciągać lub odpychać, co zależy od kierunku przepływu prądu przez uzwojenie. Jest to tylko porównanie, gdyż chodzi tu o energię nie znaną jeszcze w Starym Świecie.

– A te pojazdy...? Wcale nie mają kół! Czy i one wykorzystują tę samą energię?

– Tak, przede wszystkim energię równoważącą pole grawitacji czyli przyciągania ziemi. Dzięki niej mogą unosić się w powietrzu, ale nie tylko: dzięki innej energii potrafią, jak nasz kajak, wytwarzać przed sobą coś w rodzaju energetycznej próżni, która je wsysa, a za sobą – pole jakby silnie zagęszczone, które je odpycha. Niektórym z nich pozwala to na rozwijanie ogromnych prędkości, nawet ponaddźwiękowych, chociaż do tego trzeba specjalnie przystosowanego kadłuba. Widzisz te litery?

Dopiero teraz zwróciłem na nie uwagę. Każdy z pojazdów miał jakieś oznakowanie, widoczne z daleka. Najczęściej powtarzała się litera C, ale był też jeden o bardzo dziwnym kształcie z literą E. Na skraju łąki, już nie na zboczu, stał większy od wszystkich, podobny do busa, z literami I-C. Anael służył mi za przewodnika:

– W językach romańskich, do których należy łacina, angielski czy francuski, „C” oznacza „wspólny” (communis), „E” – „ekspe-

rymentalny”, a „I-C” „interkontynentalny”, jak ten największy, na górze. Tamten właśnie nadaje się do długich podróży na dużej wysokości, gdzie trzeba używać sztucznego powietrza. Można nim podróżować choćby do Australii.

– A co rozumieć przez „wspólny”, ten z literą „C”...?

– Ze „wspólnych” każdy może korzystać, i to bez pytania o czyjeś pozwolenie. „Eksperymentalne” mają pewne urządzenia dopiero testowane, więc niepowołani nie powinni do nich wsiadać. Bywają też i inne oznaczenia, lecz na razie to ci wystarczy.

Ponieważ Anael nigdzie się nie śpieszył, chciałem zadać mu następne pytania, lecz odpowiedział:

– Za chwilę, gdy będziemy w powietrzu.

Podszedł do jednego z pojazdów, oznakowanego literą „C”, i otworzył drzwi. Wnętrze było bardzo podobne do samochodu, mogącego pomieścić pięć osób, kształt również. Potem otworzył coś w rodzaju maski silnika, jednak pod „maską” było zupełnie pusto...

– Wsiadamy, ten mobil jest wolny, nie ma żadnego bagażu – wyjaśnił. – Poza tym czerwona lampka sygnalizacyjna przy literze „C” jest zgaszona. Gdyby się paliła, oznaczałoby to, że użytkownik tego pojazdu prosi wszystkich o pozostawienie go na miejscu. To jest tylko prośba i można ją zignorować w trudnych warunkach, gdyby było zagrożone czyjeś życie lub zdrowie.

Anael zajął miejsce po lewej stronie, za pulpitem sterowniczym, a mnie posadził obok siebie. Fotele niczym nie różniły się od samochodowych. Czytając w moich myślach, dodał:

– Na pewno nikt nie będzie go szukał. Myślałeś, że trzeba mieć kluczyki...? ...prawo jazdy...? W Nowym Świecie nie ma złodziei. Prawo jazdy też niepotrzebne, bo w powietrzu nie ma znaków drogowych. Rodzice decydują, w jakim wieku dziecko może zacząć samo podróżować. Nie istnieją żadne przeciwwskazania, które kiedyś nazywaliście „medycznymi”, gdyż poje-

cie „chorzy i niepełnosprawni” nie istnieje. Policji też nie ma – nie jest nikomu potrzebna. Wypadki...? Chociaż taka maszyna jest tylko maszyną, a więc niedoskonałym tworem ludzkim, jednak ma tyle zabezpieczeń, że wypadki w praktyce się nie zdarzają. Nie zapominaj, że istniejemy my, aniołowie, a ludzie potrafią rozpoznać i wykorzystać natchnienia i ostrzeżenia od nas pochodzące...

Nacisnął klawisz w centrum pulpitu, zapaliło się czerwone światełko. Nasz mobil – jak nazwał go Anael – wypoziomował się, a następnie zaczął bezszelestnie, coraz szybciej, unosić się pionowo do góry... Czuję się jak w windzie. Naraz...

– O Boże!!! – krzyknąłem, odruchowo wtulając głowę w ramiona. Kątem oka zauważyłem podobny pojazd, poruszający się poziomo, który o mały włos nie zderzył się z naszym!

– Nie bój się! Czy ci nie mówiłem, że mamy dosyć zabezpieczeń, by nie obawiać się wypadków, zderzeń także? Kabina nasza, ale i tamtego pojazdu, otoczona jest silnym polem odpychającym, sterowanym przez czujniki!

– A czy nie może to pole zaniknąć...?

– Może, daje się przecież sprowadzić do zera. Wyłącza się je wtedy, gdy mobile chcą się spotkać i połączyć, nawet liczne, i wspólnie podróżować.

– Połączyć się w coś w rodzaju dawnego autobusu, tylko wielokabinowego...? – podpowiedziała mi moja wyobraźnia.

– Właśnie coś w tym rodzaju. Bardzo przyjemne jest takie spotkanie przyjaciół w przestworzach. Wtedy tylko czujniki zewnętrzne podtrzymują pole, chroniące przed zderzeniem z innymi mobilami. Jak widzisz, wystarczy trochę znać się na urządzeniach pulpitu i manewrowaniu drążkiem, a nawet dziecko może bezpiecznie pełnić rolę – jak dawniej mówiono – pilota!

Byłem tak tym wszystkim zaabsorbowany, że nawet nie zauważyłem, że od dłuższego już czasu stoimy w miejscu, jak balon na uwięzi. Teraz jednak Anael przekreślił gałkę, podobną do tych

na łodziach, i ustawił jej wskaźnik na cyfrze „20” (były dokoła niej cyfry od „0” do „180”), lekko skrzył w lewo niepełną kierownicę w kształcie szeroko rozwartej litery „U”, ustawiając oś pojazdu w kierunku prostopadłym do brzegu jeziora, a następnie przesunął drążek po swojej prawej stronie zdecydowanie do przodu, jak gdyby włączał któryś z biegów samochodu. Ruszyliśmy przed siebie z łagodnym przyśpieszeniem, wznosząc się przy tym lekko ku górze.

Znajome strony... Podmiejska wieś, w której się wychowałem, leżała przed i pod nami jak na dłoni... Serce biło mi mocno! Z ogromnym napięciem wpatrywałem się w znajomą linię dróg i w pudełka domów. Jakże niewiele ich ocalało z Wielkiego Trzęsienia Ziemi! Za to na górze, z której jako dziecko brałem z ojcem żwir do betonu, roztaczał się majestatyczny widok budowli moich marzeń – nad całą okolicą górował... kościół! Był przepięknie wpasowany pomiędzy rozłożyste sosny samosiejki, spoglądał błyszczącymi żrenicami okien na dolinę rzeki, pola i domy oraz pobliski las... W Starym Świecie nikt poza mną nie myślał o tym, że właśnie tu on wyrośnie, pomiędzy nielicznymi niewielkimi domami. A teraz przyciągał wzrok swoją lekkością jakby ptaka zrywającego się do lotu, a zbudowany z nieznanym mi „szklanych” materiałów, odbijał w sobie słońce, błękit nieba, zielen pól i drzew. Zbocze wzgórza, kiedyś porośnięte krzakami i zieleń, przysłonięte ścianami budynków gospodarskich – to zbocze, z którego jako dzieci zjeżdżaliśmy na sankach i na nartach – teraz opasane było jasną kaskadą schodów i uroczymi tarasami. Z jednego z nich spływał małymi wodospadami strumień, żywo pobłyskując w wiosennym słońcu. W dzwonnicy srebrzyły się trzy dzwony różnej wielkości. Drzwi kościoła były szeroko otwarte, a schodami maszerowało ku nim kilka osób. Spojrzałem na zegarek: za kwadrans południe...

Mój kierowca-pilot zatrzymał mobil w powietrzu, jak łatwo

się domyślić, na modlitwę. Oddaliśmy wspólnie pokłon Więźniowi Tabernakulum, Bogu-Człowiekowi, a potem ruszyliśmy dalej.

Anael wiedział doskonale, że nawet anioł, związany z Bogiem ściślej niż człowiek, musi ugiąć się w tym wypadku przed ogniem zżerającej człowieka ziemskiej tęsknoty i ciekawości – byliśmy przecież o krok od mojego gniazda rodzinnego! Do kościoła mogliśmy wrócić w każdej chwili. Wiedział ponadto, że boso – owszem, ale w krótkich spodenkach – do kościoła się nie wchodzi, gdy ma się tyle lat co my...!

2. W domu rodzinnym

Wystarczyło przełączyć ten sam klawisz, który pozwolił nam wnieść się w górę nad jeziorem, by mobil łagodnie osiadł na podwórku wśród zabudowań, w pobliżu takiego samego mobilu jak nasz, tylko w czerwonym kolorze. Przez jego szybę widać było jakieś zabawki małego dziecka na tylnym siedzeniu.

Niewiele się zmieniły tak bliskie mi kąty! Dom, który zważyliśmy „nowym”, trochę „urósł” przez podniesienie dachu i umieszczenie w nim okien, a stary, drewniany, do niego przytulony... widać dbałość o niego dobrego gospodarza, gdyż stoi na nowym fundamencie, ma nowe okna (choć w starym stylu), zniknęły szpary i pokrzywione deski, jest na nowo oszalowany i pomalowany. Tak walczyłem o to, by nie został rozebrany i zastąpiony garażem, i chyba słusznie! Skoro nie ma złodziei, czy mobile potrzebują garażu, dobrze zamkniętego i strzeżonego? Warsztatów naprawczych? Stacji paliw? Skąd czerpią energię...?

Skronie pałyły mi od natłoku myśli! Do przytomności przywrócił mnie głos malucha, siedzącego w piaskownicy. W jednym słowie, brzmiącym jak pytanie, ale zarazem i odpowiedź, dziecko zawarło jakże bogatą treść:

– Tata...?

Za chwilę otworzyły się drzwi domu, ukazał się w nich wysoki młodzieniec i od razu mnie poznał, gdyż rzucił się w moim kierunku z krzykiem: – Stryjek!!! Uścisnęliśmy się mocno i serdecznie, chyba jak nigdy dotąd. Patrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem... Stryjek ma podsiwiałe włosy, a jednocześnie jest jak odmłodzony, w krótkich spodenkach, bosy, a jego bratanek, Rafał, przerósł go o pół głowy, zmężniał...

– A stryjenka Aldona...? Czy jest w domu? Zdrowa...?

– Poszła powiesić na strychu bieliznę, na pewno zaraz się pokaże. A czy zdrowa...? Wybacz stryjkę, ale to pytanie... nie

z tego świata!

Serce biło mi mocno na myśl o spotkaniu z siostrą... Po tylu latach – jak wygląda...? Gdyby starzała się w takim tempie, jak starzeli się ludzie w Starym Świecie, byłaby, mówiąc językiem Biblii, „podeszła w latach”... Każdy też zrozumie palące mnie pragnienie spotkania, a przynajmniej jakiegokolwiek kontaktu, z resztą rodzeństwa.

– Mów szybko, gdzie jest teraz Zora?! Czy została za granicą...? A Igor?!

– Stryjenka Zora cudem zdążyła wrócić w ostatniej chwili, mieszka teraz w małej wiosce w górach... Może chcesz się z nią połączyć...? Chwileczkę... A stryjek Igor... – już dawno u nas nie był, ciągle podróżuje po świecie... Ale napracował się tu przy domu nieźle! Zobacz, przybył nam piękny ganek, nowe zejście do piwnicy, mieszkania na poddaszu – mama ze stryjenką tam mieszkają...

– A co z jego mieszkaniem w stolicy?

– Przecież ze stolicy zostało jedno wielkie rumowisko, nawet nie chciało się nikomu jej odbudowywać! Bo zresztą dla kogo: dla bankierów, urzędników, biznesmenów? – takie stwory już dawno nie istnieją!

W czasie naszej rozmowy Anael stał skromnie na uboczu, jakby go wcale nie było. Teraz Rafał spojrzał badawczo na niego i na mnie, czekając aż go przedstawię, co wprowadziło mnie w zakłopotanie. Anioł natychmiast przyszedł mi z pomocą, podsuwając mi w myśli dobre rozwiązanie:

– „Anatol”, nazwij mnie „Anatol”. To brzmi podobnie. O więcej na razie nie będzie cię pytał.

– To jest mój młody przyjaciel Anatol. Podróżujemy razem. Przywitajcie się.

Uścisnęli się serdecznie jak starzy przyjaciele, co musiałem, już po dotychczasowych nielicznych spotkaniach, uznać za gest

charakterystyczny dla Nowego Świata, zanurzonego w miłości Boga i ludzi.

Mój bratanek nie mógł się oprzeć przed zasypaniem mnie gradem pytań, którego nie zdołał przerwać nawet obwieszczający południe głos dzwonu, dochodzący z kościoła. Pozwoliłem mu na to, będąc na razie w sytuacji gościa dostosowującego się do gospodarza, chociaż kątem oka dostrzegłem, że Anael odszedł od nas i zatopił się w modlitwie.

– Prawie wszystko się wypełniło z tego, co zapowiadałeś! A ja wtedy nie chciałem słuchać... Może byłem na to za mały, jeszcze siedziałem w bajkach... Zresztą to mama nie wierzyła i śmiała się ze mnie, kiedy przekazywałem jej to, co mówiłeś o nowych energiach, wynalazkach, pojazdach... Ale dlaczego tak dziwnie patrzysz na wszystko dookoła...?

– Jak ci to wyjaśnić... Piszę książkę o przyszłości tak, jakby to była teraźniejszość... To, co dla ciebie jest przeszłością – chodzi mi o ostatnich kilkanaście lat – dla mnie jest jeszcze przyszłością, ale jednocześnie teraźniejszością, bo... w Bogu wszystko jest teraźniejszością, i nasza przeszłość, i przyszłość...

– Niewiele z tego rozumiem! Wiesz, sprowadziliśmy się tutaj zaraz po Wielkim Ostrzeżeniu...

– No właśnie, opowiedz mi trochę o nim, wiedziałem jak ma wyglądać i już wcześniej je przeżyłem, ale to jest ważne, jak przeżywali je inni, kiedy przyszło naprawdę...

Tak bardzo pragnąłem zobaczyć się z siostrą, jednak zapanałem nad sobą, licząc na to, że za moment pojawi się sama. Usiedliśmy więc z Rafałem na ławce przy piaskownicy i zaczęła się opowieść, potwierdzająca to wszystko, co widziałem już jako dziecko, a co wiązało się z tym moim gniazdem rodzinnym. To co usłyszałem, na razie tutaj pomnę, a przytoczę tylko zakończenie naszej rozmowy.

– A czy kaplica jest w naszym domu tam gdzie była?

– To ty nie wiesz, stryjk, że teraz nie ma domu bez kaplicy?! Każda rodzina ją ma. U nas – tak, tam gdzie była, nic się nie zmieniło, chociaż tuż za ogrodem mamy kościół. Może chcesz zejść do kaplicy? Chodźmy górą, to coś ci pokażę. Pytasz, czy dolne wejście zamknięte...? Ależ skąd, kto by tam zamykał dom! Przecież w Nowym Świecie nie ma złodziei ani bandytów! Jasiu, baw się grzecznie, tatuś pójdzie do domu.

– Nie boisz się zostawiać takiego malucha samego? Chyba nie ma jeszcze trzech lat...? Cały czas patrzę, jak pięknie i spokojnie się bawi, wciąż uśmiechnięty, ale jednak...

– Pamiętam dobrze... kiedyś mówiłeś, że w tych nowych czasach ludzie będą mieli bardzo bliski kontakt z aniołami; opowiadałeś już wtedy o trzyletnim chłopcu, który się bawił ze swoim aniołem, słuchał jego pouczeń, a nawet widział aniołów innych ludzi. Twojego także, stojącego po twojej lewej stronie. Pamiętasz?

– Oczywiście! Masz dobrą pamięć. I czy to się teraz potwierdziło? U swojego Jasia widzisz coś podobnego? Tak? A dorośli...?

– Tak pytasz, jakbyś sam nie kontaktował się z aniołami... Przecież to oczywiste! W Starym Świecie łatwo było ulegać pokusom upadłych aniołów, a tych dobrych się nie słyszało, ale nie teraz! Ale chodźmy do kaplicy.

– Pięknie otynkowany! – spojrzałem na ścianę domu, pokrytą „barankiem”. – Mówiłem wtedy, że nie warto na razie tynkować, bo od trzęsienia ziemi popękają ściany i trzeba je będzie wzmocnić...

– I tak było! Ile trzeba się było nad nimi napracować! Stary dom okazał się mocniejszy, chociaż drewniany i sprzed drugiej wojny. Chwiał się i trzeszczał, ale wytrzymał, tylko tynki odpadły.

– A ludzie leżący pokotem w obu domach, biedni, głodni, pozbawieni wszystkiego... Wtedy, gdy miasta legły w gruzach... Czy i ta moja wizja...?

– Ivan!!!

Nareszcie!!! Oto w otwartych drzwiach stała moja siostra

Aldona! Chyba nie muszę pisać, że nie lustrowaliśmy się nawzajem wzrokiem, nie ocenialiśmy, co zrobił z naszym ciałem ząb czasu, lecz natychmiast rzuciliśmy się sobie w objęcia!

Wież, która łączyła mnie z siostrą od dziecka, wzmocniła się bardzo pod koniec starej epoki, gdy trzeba było tyle wspólnie wycierpieć, a przecież nic tak nie łączy ludzi jak krzyż. Spośród rodzeństwa ona stała mi się najbliższa duchem, najlepiej też rozumiała moją pracę i wspierała mnie w niej dzielnie. Oboje mogliśmy przygotować się do nadchodzących wydarzeń, mających doprowadzić do przemiany świata, podczas gdy nasze otoczenie nie bardzo chciało o tym słuchać i w to wierzyć. I oto teraz, po latach... odnajdujemy się w tym wymarzonym świecie!

Jak bardzo pragnęliśmy znaleźć teraz jakiś spokojny kąt i zatopić się w rozmowie, mieć dużo czasu tylko dla siebie! Czuliśmy jednak, że nie możemy odizolować się w tym momencie od naszego otoczenia, trzeba się więc było z tym pogodzić i odłożyć rozmowę na później. Tym bardziej, że Rafał nie mógł wytrzymać, by nie zawołać mnie do największego pokoju, w którym chciał mi coś pokazać.

– Stryjku, stań teraz o tak, w tym kierunku... i zamknij oczy... Chwileczkę... Już! Zobacz!

Uległem jednak ciekawości i przez lekko rozchylone palce patrzyłem, jak wcisnął dwa klawisze i pokręcił gałką, znajdującą się na małej skrzynce zawieszonej na ścianie.

– Coś niesamowitego!!! – wykrzyknąłem.

Oto stałem przed olbrzymim ekranem, a właściwie jakby przed ścianą, która się otworzyła, ukazując... wnętrze kościoła! Obraz był tak ostry, a przy tym bez najmniejszych drgań, że rzeczywiście czułem się jak w kościele. Rzuciła się w oczy piękna różnokolorowa posadzka oraz „szklane” ściany i sklepienie, sprawiające wrażenie, że jest się pod gołym niebem, wśród drzew... Tylko dół ścian, do wysokości prawie trzech metrów, był

nieprzezroczysty. Ale, co najważniejsze, w centrum świątyni znajdowało się ogromne tabernakulum, jakby niebiański tron, ozdobiony rzeźbami, kwiatami, rzeźbienie oświetlony, a wysoko nad nim całe rzędy pięknych obrazów... Zwróciłem uwagę na wielki obraz Pani Wszystkich Narodów, znany z objawień w Amsterdamie. To było jedno z tych objawień, które przygotowywały ludzi do nadejścia Nowego Świata, zawierając szczegółowe wskazania oraz warunki, jakie powinny być przez ludzkość spełnione, by mogła nadejść ta szczęśliwa epoka miłości i pokoju...

– Stryjku, zobacz... Czy wiesz, kto to jest...?

– Ta klęcząca kobieta...? Ale tam, przy samym ołtarzu, na dwóch klęcznikach są ludzie... Po lewej dwaj mężczyźni... Nie, jakiś chłopiec i mężczyzna, a po prawej dwie kobiety... I jeszcze kilka innych osób... Aż tyle o tej godzinie...?

Rafał dalej wskazywał palcem wybraną przez siebie postać, bosą, w dość długiej sukni, klęczącą w skupieniu ze splecionymi dłońmi.

– To moja żona Agnieszka! A tamci ludzie w klęcznikach mają swoją godzinę adoracji, jedną albo dwie w tygodniu. Ja też mam. Wszyscy zresztą mamy, prócz małych dzieci.

– I tak od rana do wieczora...? O której kościół jest zamknięty?

– Stryjku, nie gniewaj się, ale przy niektórych twoich pytaniach można boki zrywać ze śmiechu! Jak kościół może być zamknięty? Przecież tam nie ma nawet żadnych zamków, a drzwi są potrzebne tylko na zimę! Adoracja nigdy nie jest przerywana, z wyjątkiem Mszy. Ja mam w tym roku swoją godzinę o drugiej rano – dość trudną, ale przynajmniej jest co Panu Bogu ofiarować.

Przy użyciu innego klawisza, przytrzymując go jak w kamerze z zoomem, Rafał przybliżył tabernakulum oraz klęczące przed nim osoby. Chciałem zapytać, dlaczego wszyscy są boso lub w skarpetkach, a nikt w butach, jednak nie zrobiłem tego, gdyż...

mój bratanek nie poprzestał na patrzeniu, lecz ukląkł jak w kościele i pogрузił się w cichej adoracji, więc poszedłem za nim. Po dłuższej chwili wstał, wyłączył ogromny „telewizor” i zaprosił mnie do domowej kaplicy.

Rzeczywiście niewiele się tu zmieniło. Domyśliłem się, że zasługa to mojej siostry, której bliskie było to pomieszczenie, chociaż miała pod boki kościoła. Te same figury i obrazy, z wyjątkiem Pani Wszystkich Narodów... – widocznie obraz ten stał się bliski wszystkim w Nowym Świecie. Nawet te same wazony – ile to już lat przetrwały! – z kwiatami i kwitnącymi gałęziami ogrodowych drzew. I jaka cisza, aż w uszach dzwoni... No tak, nie przejeżdżają już w pobliżu samochody, głośne ciągniki, a na niebie nie krzyżują się trasy samolotów odrzutowych. To już inny świat!

Opuszczając kaplicę, zajrzelśmy jeszcze po drodze do domowego warsztatu – nie będę tu opisywał jego wyglądu, lecz wspomnę, że prawie wszystkie urządzenia była mi nieznane, być może ze względu na te nowe rodzaje energii, którymi były zasilane. Niewiele za to zmieniła się spiżarnia, jak zawsze dobrze zaopatrzona rękami gospodyń, choć nie potrafiłem rozpoznać zawartości wielu słoików. Warto tu będzie wrócić z którąś „przewodniczką”. Termometr na środku pomieszczenia wskazywał tylko 4°C, jak w lodówce, co przy wysokiej temperaturze na zewnątrz świadczyło o zastosowaniu jakiegoś systemu wychładzania, którego dawniej tu nie było.

Wyszliśmy na dwór, zbliżając się znowu do piaskownicy, w której siedział grzecznie i cichutko Jaś, zapatrzony jak w obraz... w Anaela!

– Znaleźliście wspólny język...? Słucha cię jak dorosły...

– O tak, w s p ó l n y j ę z y k – potwierdził mój anioł, dobitnie akcentując te dwa słowa. Domyśliłem się, że nie mieli trudności z porozumieniem się.

Rafał opuścił nas na chwilę, więc usiadłem na ławeczce obok

mego przewodnika. Tak byłem w ostatnich chwilach zajęty napotkanymi osobami i oglądanymi miejscami, że nawet zapomniałem o jego obecności! Teraz objął mnie wpół z tajemniczą miną i zmusił do powstania... Weszliśmy na werandę, wskazał palcem jej kąt.

– Czy pamiętasz? Tu stał leżak, pod którym lubieś jako dziecko siadać. Tak, nie *na* którym, lecz *pod* którym. Tu też pewnego razu zastał cię twój ojciec jakby pogrążonego w ekstazie, duchem nieobecnego, gdy siedząc pod leżakiem trzymałeś kurczowo w dłoniach listwy nóg leżaka jak jakieś drążki sterownicze. Ojciec „obudził” cię i zapytał, co robisz. Był zdumiony twoją odpowiedzią:

– Latałem, bardzo wysoko i daleko, w takimś czymś... On nie miał wcale skrzydeł...

Twój ojciec roześmiał się, przypisując tę odpowiedź tylko twojej bujnej wyobraźni, i zapytał, jak się nazywał ten pojazd. Twoja następna odpowiedź jeszcze bardziej go rozśmieszyła, gdyż wydało mu się, że usłyszał słowo „plambuga”. Opowiedział to domownikom i to tajemnicze słówko zostało dopisane do innych śmiesznych dziecinnych powiedzonek. Odtąd nieraz tak cię określał, ku twojemu zdenerwowaniu, pytając na przykład twoje rodzeństwo, „gdzie jest Plambuga”...

– Aż tak dokładnie znasz moje życie...?! Oczywiście, dobrze to pamiętam... Ale dlaczego użyłem właśnie takiej nazwy... Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że duchem byłem już wtedy naprawdę w pojeździe podobnym do tego, którym teraz podróżujemy?! Może i tak... Te loty trochę pamiętam, leżak też, ale reszta zatarała się w mojej pamięci... Dlaczego wymówiłem wtedy właśnie takie słowo, uznane za śmieszne...?

– Odpowiedź jest prosta. Nie wysłałeś tej nazwy z palca, lecz podpowiedział ci ją twój Anioł Stróż, towarzysz twoich samotnych dziecięcych zabaw. Anioł użył określenia, które początkowo nadawali temu pojazdowi Anglicy. Gdy widzi się go z dołu, jak unosi się w powietrzu, często ruchem lekko zygzakowatym,

zwłaszcza nad większymi skupiskami ludności, przypomina latającą kartkę papieru albo szybującą książkę. I tak to brzmi po angielsku: „the flying book”, co w uszach twojego ojca zabrzmiało jak „plambuga”. Chociaż znał angielski, nie kojarzył sobie twojej odpowiedzi z niczym – nawet mu nie przyszło do głowy, że uczestniczył w poznaniu przez ciebie tajemnicy dość dalekiej przyszłości.

– Ach to tak...! – pokręciłem głową, zdumiony odpowiedzią mojego przyjaciela... Nie było jednak czasu na zgłębianie tej kwestii, gdyż dołączył do nas Rafał, prowadząc nas ścieżką w stronę ogrodu. W jego głębi rysowała się postać młodej gospodyni, która szła w stronę domu z koszykiem pełnym warzyw. To właśnie ją podejrzeliśmy niedawno w „telewizorze”, klęczącą w kościele. Powoli szliśmy na jej spotkanie. Była jeszcze daleko, na środku ogrodu, więc mogłem przez chwilę podziwiać piękno tego zakątka ziemi.

Gdy tylko wyszliśmy zza stodoły – jak dawniej nazywaliśmy ten budynek, teraz murowany, z kilkoma oknami – stanąłem jak wryty: oto wizja z dzieciństwa rozwinęła się przede mną w całej pełni!

Mój ojciec po wojnie osiadł tu na wsi, by uniknąć represji, zastrzeć niejako za sobą ślady, odizolować się od tego wszystkiego, co określamy mianem stalinizmu. Udało mu się to, nie był ciągnany na przesłuchania. Robił wszystko, by wtopić się w wieś i żyć jej życiem. Terenem jego pracy był ten właśnie skrawek ziemi, na którym harował od świtu do nocy, zajmując się ogrodnictwem, pszczelarstwem, a nawet uprawą żyta na niegościnnym poletku pod lasem, zanim nie posadziliśmy na nim sosen. Zawsze chętnie widział pomoc ze strony swoich dorastających dzieci, choć na ogół rygorystycznie jej nie wymagał. Był wdzięczny, gdy same ją proponowały, rezygnując z jakiejś zabawy. Latem, już prawie o zmroku, jechał rowerem do rzeki, by odświeżyć się po dniu

pracy. W środku lata nawet część niedziel spędzał przy pszczołach. Cieszył się z każdej pracy, którą mógł wykonać i doprowadzić do końca...

W tamtych czasach cały ogród był dobrze utrzymany, między jego drzewami prócz warzyw rosły rośliny miododajne – koniczyzna, łubin i facelia. Chętnie sypiałem przez całe lato w ogrodowej altance. Gdy budziło mnie słońce nagrzewające dach i ścianę, łóżko mojego ojca było już puste – najczęściej można go było zastać na którejś miedzy między drzewami, spoconego, ze szpadlem w ręku. Okopywanie miedz zaczynał wiosną po rozmarznięciu ziemi, a kończył dopiero wtedy, gdy na jesieni stwardniała od mrozu. Przekopany perz, po przegniciu, był dobrym nawozem dla drzew.

Altanka była świadkiem wielu moich „podróży w czasie”, chociaż jako dziecko wkładałem je między sny i nie traktowałem poważnie. Zwróciłem na nie uwagę dopiero wtedy, gdy zaczęły się potwierdzać zdarzenia oraz miejsca, w których już wcześniej – w taki dziwny sposób – byłem. Właśnie jedną z takich „podróży w czasie” była potrójna wizja naszego ogrodu: najpierw objąłem go jednym rzutem oka w jego ówczesnym kształcie, potem zobaczyłem go po wielu latach, po śmierci ojca – był zarośnięty darnią, z wieloma chorymi na raka drzewami, z dwoma tylko pasami uprawnymi przez całą jego długość. Wzdłuż jego ogrodzenia wznosiła się długa ściana budynku sąsiadów, przeznaczonego dla ogromnej ilości zwierząt. Strasznie smutny był to widok, po prostu mnie zmroził! Budynek ten stanowił barierę między ogrodem a lasem, izolował go od tej tajemniczej, pachnącej żywicą i grzybami, rozśpiewanej ptakami krainy naszych dziecięcych zabaw. I wreszcie w trzeciej wizji ujrzałem ten ogród... właśnie takim, jakim był w tej chwili!

I tu, i wszędzie w odwiedzanym przeze mnie Nowym Świecie, jak miałem się wkrótce o tym przekonać, uderzał dostatek energii

oraz wody, tego biblijnego znaku Bożego błogosławieństwa. To dzięki tym dwóm czynnikom ludzie, którzy potrafili odrzucić wszelki pośpiech i rywalizację, a za to znajdowali radość w dzieleniu się owocami swojej pracy oraz uprawianej przez siebie ziemi, uczynili z tej ziemi mały raj.

Cieszyły więc i tutaj oko wypielegnowane grzędy warzyw, także zupełnie mi nieznanych, których bujne liście i kwiaty o tej porze roku wprawiały mnie w zdumienie, przywodząc na myśl klimat w pełni śródziemnomorski. Pergola wokół altanki – tej samej, w której kiedyś sypiałem – opleciona była... – czyżbym się mylił...? – wspinającymi się na nią wysoko krzewami kiwi! Po drutach wiły się winogrona, odurzając wonią kwiatów, a drzewa... Cóż to były za drzewa! Niektóre z nich poznałem, ale jakże odmienione... Nie miały nawet blizn po zgorzeli rakowej, wyrosły, rozłożyły się szeroko. A więc jednak...! Kiedyś nie pozwalałem ich wyciąć zapewniając, że przyjdzie czas wielkiego powszechnego uzdrowienia – nie tylko ludzi, ale i całej przyrody – więc jeszcze i one mają szansę. Czyż nie o tym szczęśliwym okresie prorokował Izajasz, że ogród za bór będzie uznany?

W moich myślach wyraźnie pojawiła się uwaga, którą uczynił mi Anael, dołączyny do nas po swojej południowej modlitwie:

– A my, aniołowie...? Myślisz, że to tylko woda, ziemia, łagodny klimat i ludzka praca? Czy zapomniałeś, że to nam powierzył Umiłowany Bóg władzę nad całą przyrodą?!

– Dzięki ci, Anaelu! – odpowiedziałem mu w taki sam sposób, w myśli – ale czy ludzie o was pamiętają? Czy z wami współpracują?

– Nie miej co do tego wątpliwości. Wiesz dobrze, że dawniej ze smutkiem musieliśmy odchodzić od dusz, które zapraszały – nawet nieświadomie – szatana, ale teraz... Teraz łączy nas z ludźmi język miłości i wspólna praca na chwałę Stwórcy i Ojca.

– „Język miłości”...?

– A w jaki sposób my obaj porozumiewamy się teraz ze sobą? To jest przecież „język miłości”! Słyszałeś w Starym Świecie, że taki język dany będzie ludziom, ale nie miałeś najmniejszego pojęcia, na czym on będzie polegał. Pytałeś nawet pewną charyzmatyczkę, czy będzie to angielski, czy esperanto... a może łacina, czy jeszcze inny – chciałeś, by zapytała o to Pana Jezusa – ale umiała powiedzieć ci tylko to jedno: „Po prostu język miłości”.

W tej chwili Anael poprowadził mnie w wyobraźni nad brzeg rzeki, którą płynęliśmy niedawno, i przywołał moment spotkania dwóch kajaków. Przypomniałem sobie zdumienie, jakie mnie ogarnęło, gdy słyszałem, choć nie uszami, chrześcijańskie pozdrowienie, gdy machaliśmy do siebie wiosłami... Tak samo zdumiało mnie wcześniej przywitanie z Anaelem, gdy „przemówił” do mnie we wnętrzu mojej duszy, ale co anioł to anioł... A teraz miary mojego zdumienia dopełniła jego informacja:

– Ta mijana przez nas para turystów pochodziła z Mongolii – czy nie zauważyłeś, że to inna rasa? A jednak ich rozumiałeś, podobnie jak oni ciebie. To właśnie jest język miłości.

– Coś podobnego, jak w Jerozolimie w dniu zstąpienia Ducha Świętego...?! Tam Apostołowie mówili po aramejsku, a wszyscy rozumieli ich w swoich własnych językach...!

– No właśnie. Jeżeli chcesz ten język wypróbować, masz ku temu okazję. Jak dobrze wiesz, Jaś w piaskownicy ma bardzo ubogie słownictwo, umie powiedzieć niewiele więcej niż „tata” i „mama”. Spróbuj nawiązać z nim kontakt...

– ...?

– Odezwij się do niego, jak to nazywasz, w myśli, i zobacz jego reakcję.

Odwrociłem się w jego stronę – a dzieliła nas spora odległość, może ze trzydzieści metrów – i „wysłałem” mu pytanie:

– Jasiu, gdzie jest twoja mamusia?

– Idzie – odpowiedział w moich myślach, zwracając się w na-

sza stronę i pokazując paluszkami ścieżkę, na której staliśmy.

– Jakie piękne babki ulepiłeś z piasku!

Zamiast odpowiedzi wstał i zaklaskał w rączki, wyraźnie zadowolony.

– A z kim się bawisz?

– Z aniołkiem.

– A jaki jest twój aniołek?

Dziecku wyraźnie zabrakło słów, by opisać postać towarzysza zabawy – przecież takie pojęcia abstrakcyjne jak „dobry”, „piękny”, „kochany”, przychodzą w wieku późniejszym – lecz pod wpływem emocji rozłożył szeroko ręce i przeciągnął się, odreagowując to co przeżywał... Anael spojrzał na mnie z miną tryumfatora, a ja pokręciłem głową jakby z niedowierzaniem...

– Przypomnij sobie spotkanie z zajęcem na łące.

– Czyżby i zwierzęta znały „język miłości”?!

– Języka nie, jeśli chodzi o słowa, jednak odczytują obraz, który wytworzyłeś w swoim umyśle, zwłaszcza ten, który ich dotyczy. Zając wykonał po prostu posłusznie to, co mu, nie wiedząc o tym, przekazałeś, wyobrażając sobie głaskanie go po głowie i przytulenie go do nogi. Czy nie pamiętasz, jakie eksperymenty robiłeś na psach w Starym Świecie, zmuszając je myśłą do agresji lub łaszenia się? Nie przypominasz sobie, jak radziłeś komuś zrobić eksperyment z dwoma identycznymi kwiatami, tak samo podlewanymi, z których jeden był postawiony na stole i „głaskany”, a drugi – w kacie, obdarzany stale jakby pogardliwym machnięciem ręki skierowanej ku dołowi? Chodziło o zaobserwowanie, jak który z nich będzie się rozwijał i kwitł. W Nowym Świecie ten „język” został oczyszczony i wzmocniony przez miłość człowieka oraz przez działanie Ducha Świętego. To właśnie miłość sprawia, że przyroda, która „czuje się kochana” przez człowieka, odplaca mu jakby tym samym. Czy myślisz, że gdyby nie ta miłość, ten ogród byłby takim rajskim zakątkiem...?

– Czy ten „język miłości” nie wymaga głośnego wypowiadania słów...?

– Ależ wymaga! Są dwa różne sposoby posługiwania się nim: przy użyciu słów wypowiedzianych głośno albo wypowiedzianych tylko w myśli. Tym drugim towarzyszy zwykle obraz.

– Niezależnie od tego, w jakim języku są wypowiedziane...?

– Oczywiście. Przekonasz się niedługo, w czasie naszych podróży, jak to jest z tymi „obcymi językami”...

Nasza wymiana zdań, wraz z „testowaniem” tego „języka miłości” na Jasiu, zajęła w książce sporo miejsca, lecz jeśli chodzi o czas – odbyła się na tyle szybko, że gospodyni, idąca nam na spotkanie z koszykiem warzyw, zdążyła przejść pół ogrodu. Chciałem jeszcze zapytać Anaela, czy podobnym językiem posługują się w kontaktach ze sobą mieszkańcy nieba, lecz nie zdążyłem...

Przywitaliśmy się z młodą panią domu po przyjacielsku, uściskiem i pocałunkiem, choć przecież nigdy dotąd się nie spotkaliśmy. Wyczułem, że mama Jasia wiedziała o mnie dostatecznie dużo, by nie musiała stawiać pytań. W podobnie dyskretny sposób przywitała się z Anaelem-„Anatolem”. Jej wzrok był roziskrzony jak u kogoś, kto musi mieć bliski kontakt z Bogiem. Zresztą wracała przecież wprost z kościoła, do którego starała się zwykle wyruszać na dźwięk dzwonu, który myśmy tym razem zignorowali, zaabsorbowani rozmową przed domem. Zaprosiła nas na obiad „za godzinkę”, choć miałem co do tej „godzinki” wątpliwości, gdy spojrzałem na warzywa w koszyku. Musiała to odczytać w moich myślach, gdyż zaprosiła mnie, w wolnej chwili, do kuchni.

– Musisz, stryjkę, zobaczyć, jak ona teraz wygląda! Tak, jest tam, gdzie kiedyś była. Pracuje się w niej szybciej i przyjemniej, niż w Starym Świecie...

– A co, pewno jakieś supernowoczesne maszyny, roboty ku-

chenne...?

– Ależ skądże! Zwykła skrobaczka do jarzyn, nóż i deska! Ale za to mamy nowoczesny – superszybki – sposób gotowania i smażenia, inne energie niż gaz czy elektryczność. Ja maszyn nie lubię. Od czego są ręce? Czasu na wszystko mam dosyć!

– Superszybkie gotowanie – mówisz...? Coś jak krematorium: wkładasz nieboszczyka w trumnie i przez szybę patrzysz, jak się kurczy. Za chwilę wyciągasz garstkę popiołu...? – zażartowałem, co wzbudziło falę śmiechu. W tej radosnej atmosferze rozeszliśmy się w przeciwnie strony.

– A jednak są i pojazdy na kołach...? – zdziwiłem się. To coś przypominało mi malutki traktorek, otoczony całym kompletem wymiennego sprzętu.

– Chyba nie myślałeś, stryжку, że ziemię można uprawiać z powietrza?! Na kołach poruszają się rowerzyści, pracownicy zaopatrujący sklepy w osiedlach i wywożący śmieci, robotnicy leśni...

– A ciężki transport? Koleje, tiry...?

– To już tylko wspomnienie jakby zamierzchłej epoki, chociaż nie odeszliśmy od niej w czasie dalej, niż o kilkanaście lat. Od początku stare pojazdy nie miały zastosowania w podnoszącym się z ruin świecie. Zniszczone były drogi i mosty, tunele, tory i nasypy kolejowe, a ich odbudowa musiałaby trwać wiele lat. Ludzi zdolnych do pracy było mało, w niektórych regionach zaledwie garstka. I wtedy przyszło ludziom z pomocą Niebo...

– Ojej, ale ten traktorek wcale nie ma silnika! Chyba ta mała puszka to nie silnik...?! – przerwałem.

– Stryжку, ty ciągle wracasz do swoich silników! Silniki można spotkać już tylko w muzeum! Trzeba by ci zrobić krótki wykład techniczny, ale teraz nie mamy na to czasu.

Rafał odszedł na chwilę w głąb ogrodu w sobie wiadomym celu, zostałem więc sam na sam z Anaelem, kontynuując roz-

mowę.

– Były wielkie zniszczenia... Jeżeli tak było...

– Nie tylko zniszczenia, ale coś więcej! Wiedziałeś dobrze, że ma się zmienić mapa świata, nie kupowałeś już atlasów w przekonaniu, że wkrótce będą nieaktualne, i miałeś rację! Kiedy będziemy wysoko nad Europą czy Ameryką Północną, albo nad Atlantydą, dopiero zaczniesz się dziwić!

– Nad Atlantydą...? Coś takiego! Ale powiedz mi, Anaelu, jak to się stało, że ludzie – gdzieniegdzie ocalała ich tylko garstka, jak mówisz – w tak krótkim czasie doszli do tak wspaniałych wynalazków?! Wprawdzie sam mówiłem w Starym Świecie, że ówczesne wynalazki, którymi tak się wtedy szczycono i które tak nagradzano noblami, są jak z epoki kamienia łupanego wobec tej epoki, która wkrótce nadejdzie, ale... przecież nie mogłem wiedzieć, jak to się wszystko rozwinie, jak szybko, w jakim kierunku...

– Nie mogłeś? Oj, czy twoja pamięć nie jest zbyt krótka? A Xie Xiao Li...?

Stałem jak wryty... W jednej chwili doznałem olśnienia! Imię chińskiej dziewczynki, wymówione przez Anaela, było jakby rakietą, trafiającą precyzyjnie w cel!

To był, zdaje się, rok 1991. Z jednego z najgorszych brukowców ktoś wyciął i przyniósł mi krótki artykuł o genialnej dziewczynce. Można tam było przeczytać, że w 1979 roku, gdy miała ona niecały rok życia, wypadła z łóżeczka tracąc przytomność i przez 11 lat jej nie odzyskała, sztucznie podtrzymywana przy życiu w klinice neurologicznej. Po tylu latach nagle ocknęła się, wstała z łóżka i zaczęła opowiadać (ogólnie, gdyż na szczegółowe opowiadanie mieszkańcy „zaświatów” podobno jej nie pozwolili), że przebywała w świecie różowosrebrzystym i przymglonym, pełnym przyjaźni, ciepła i dobroci, w którym otaczały ją istoty życzliwe i bliskie, między innymi dalecy jej przodkowie. Istoty te

utwierdzały ją w przekonaniu, że jest w tym świecie gościem i będzie musiała niedługo wrócić na ziemię, i to ze specjalną misją: ma przekazać ziemianom rozległą wiedzę, przekraczającą obecne ich możliwości poznawcze. Dotyczy to zwłaszcza takich dziedzin jak historia, biologia i fizyka. Nauczyła się tam władać biegle pięcioma językami: chińskim, japońskim, angielskim, francuskim i rosyjskim, a jej wiedza matematyczna osiągnęła poziom absolwentów wyższej uczelni. Po jej wyjściu z letargu uczeni zaczęli analizować zasób jej wiedzy. Wiele rzeczy stanowiło dla nich sensację, a niektóre z nich okazały się wprost niemożliwe do zrozumienia. A przez 11 lat lekarze myśleli, że gdyby nawet Xie Xiao Li powróciła do samodzielnego życia, jej rozwój psychiczny nie przekraczałby poziomu rocznego dziecka!

Tyle artykuł. Domyśliłem się, że jeśli to prawda, dziewczynka jest przygotowana do wypełnienia swojej misji dopiero w świecie mającym przejść swoje Wielkie Oczyszczenie, gdy ustanie rywalizacja między narodami oraz produkcja coraz potężniejszych śmiercionośnych broni. Mimo niepewnego źródła tak byłem tą wiadomością przejęty, że przy okazji próbowałem nawet odszukać tę dziewczynkę – wówczas już dorosłą – w Chinach przez znajomą Chinkę, która nauczyła mnie wymawiać poprawnie jej imię: Sje Sjao Li. Nie udało się to jednak, więc odcinek z gazety pożółkł na słońcu, a ja w końcu przestałem myśleć o całej tej sprawie. I oto teraz, po latach, Anael wymówił to imię, nie tylko budząc wspomnienia, lecz potwierdzając tamte moje przypuszczenia: Xie Xiao Li musiała dobrze wypełnić swoje zadanie, skoro w tak krótkim czasie na ziemi, zniszczonej przecież przez straszliwe kataklizmy „apokaliptyczne”, dokonał się tak szybki skok cywilizacyjny!

Ileż to elementów, pozornie oderwanych od siebie, napotkanych na przestrzeni wielu lat, układało się teraz – nie tylko w moim umyśle, ale i w rozpoznawaniu otaczającej mnie rzeczywi-

stości – w jedną logiczną całość, w mozaikę, która coraz bardziej budziła mój zachwyt! Bóg, żyjąc w „wiecznym teraz”, nie musiał się śpieszyć z pewnymi rzeczami, lecz dawał poznać ich cień, zarys, fragmenty, by w określonym czasie piękno całej owej mozaiki Wiecznego Artysty mogło zostać odkryte przez Jego stworzenia. Musiał mieć także wyraźnie określony cel, skoro i mnie, małemu dziecku, pozwalał widzieć dość daleką przyszłość!

Ale oto staliśmy na głównej ścieżce ogrodu, który pamiętał moje najmłodsze lata. Dzisiaj jego wiosenna szata budziła mój zachwyt i przywoływała wspomnienia z przeszłości, które okazały się... „wspomnieniami z przyszłości”! Wrażenie to potęgował strumień, spływający z górki, tej samej, która za ogrodem zwieńczona była bryłą kościoła.

Czyżby strumień wiązał się jakoś ze świątynią? – stawiałem sobie pytanie... Chociaż od jego koryta odchodziły rowki nawadniające, nie brakowało w nim wody, która docierała aż do domu, zasilając maleńki staw, cicho szemrząc na progu niewielkiego mostku. Zawsze w swoich „snach-wizjach” oglądałem ten strumień, cieszyłem się radością dzieci puszczających w nim łódki, zbiegających się tu z sąsiedztwa. Dzisiaj ich tu wprawdzie nie było, ale pozostałe szczegóły w pełni znalazły swoje potwierdzenie.

Potwierdziło się także i to, że zniknęła wyżej wspomniana sąsiedzka bariera, dzieląca ogród od lasu. Lekki powiew przynosił więc do ogrodu, i tak już napelnionego przeobfitym bukietem zapachów, woń kwitnących sosen, pyszniących się szatą miniaturowych złotych kandelabrow. Wiosenne głosy rozszczebiotanych ptaków dochodziły ze wszystkich stron, i od lasu, i z ogrodu, który obwieszony był domkami lęgowymi. Byłem na tyle baczny obserwatorem, że zauważyłem dziwną prawidłowość: wszystkie domki były otworem zwrócone ku wschodowi. Zapytany o to Rafał wyjaśnił, że nie ma to nic wspólnego z położeniem kościoła, lecz po prostu tylko takie położenie wylotu względem słońca

uznają ptaki, w domkach źle zawieszonych nie zamieszkają.

Nawet nie wiadomo kiedy upłynęła ta godzina, którą „zamówiła” sobie Agnieszka gotująca obiad... Rozległ się od strony domu sygnał jakby gongu, więc trzeba było ruszać...

– Stryjku, to dopiero pierwszy sygnał, na mycie rąk, nie musimy się aż tak śpieszyć! – usłyszałem.

– To dobrze, chodźmy jeszcze nad strumień – zaproponowałem. Jakąż rozkoszą okazało się brodzenie w chłodnej czystej wodzie! Anael poszedł w moje ślady, a nawet skropił sobie głowę, nabierając wody w dłoń. Czuliśmy się jak małe dzieci, obdarowane przez ojca zbyt hojnie, by umiały zatrzymać tę radość w sobie. Skoro Psalmista zapraszał rzeki, by klaskały w dłonie, czemu nasze dłonie nie miałyby oddawać chwały Stwórcy i Ojcu? Wszyscy trzej klaskaliśmy, opryskiwaliśmy się wodą, wydawaliśmy głośne okrzyki z piersi wezbranych wdzięcznością.

Nagle Anael stanął w skupieniu, a jego twarz jakby lekko zajaśniała.

– Jeżeli tak piękna jest ziemia, to czym musi być niebo, które przygotował nam Bóg! – powiedział poważnie, tonem nieco uroczystym. I dodał: – Podziękujmy naszemu Dobremu Bogu.

– W głębokim pokłonie (kątem oka dostrzegłem, że Anael wdzięcznie skrzyżował dłonie na piersiach) zmówiliśmy krótką modlitwę uwielbienia, tę znad rzeki: *Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.*

Gdy my obaj wyprostowaliśmy się, Anael trwał dalej w pokłonie. Z jego ust popłynęło tylko jedno słowo: *ALLELUIA!*, i to nie wypowiedziane, ale wyśpiewane na tak piękną i bogatą melodię, że zadziwiła nas ona i miłością do Boga rozpałała nasze serca. Wątpię, czy ktokolwiek z ludzi potrafiłby tak ją zaśpiewać... Któż jednak z ludzi, poza mną, mógł się domyślić, że ma przed sobą anioła? Kilkunastoletni chłopiec, zwyczajnie ubrany,

bosy, nie kojarzył się nikomu z dostojnym śpiewakiem z chóru Książąt, trwającym w nieustannym pokłonie przed obliczem Najwyższego. Jego misja na ziemi, jedyna i niepowtarzalna, musiała pozostać naszą wspólną tajemnicą. Nie obyło się jednak bez pytania ze strony mojego bratanka:

– Jakie to piękne! Na pewno śpiewasz w jakimś chórze?

– Oczywiście – odpowiedział, co było zgodne z prawdą, choć nie dotyczyło ziemi...

Rozległo się, jak kiedyś w klasztorach, drugie uderzenie gongu, więc z „umytymi rękami” ruszyliśmy do domu, prosto do pokoju stołowego, tego samego, z którego można było oglądać na ekranie wnętrze kościoła. Jednak i nogi, a przynajmniej podeszwy stóp, wymagały umycia. Do tego celu służyło proste urządzenie, chyba nieznane w Starym Świecie, znajdujące się przy drzwiach. Była to mała płaska wanienka z wodą, a na niej kilka rolek. Jedne wyglądały jak gęsta szczotka – te pokręcane zanurzały się w wodzie, inne – jak gąbka. Wystarczyło przejechać nogą po rolce szczotkowatej, a potem po tej gąbczastej, by noga była czysta i sucha.

– Zapraszamy na skromny posiłek! Wszystkie miejsca są dla wszystkich. Stryjka jako najstarszego prosimy o modlitwę – zakomenderowała Agnieszka.

Posiłek był rzeczywiście skromny, jeśli chodzi o rozkosze wzrokowe, a do tego podany w naczyniach, które w Starym Świecie – przynajmniej w Europie, gdyż w biednych krajach łupina orzecha kokosowego lub puszcza po konserwach musiały wystarczyć – oglądało się tylko w muzeach. Tymi naczyniami były proste gliniane miski, ozdobione kolorowym szlaczkiem na polewie. Każdy nakładał do swojej miski drewnianą łyżką i widelcem pokarm z kilku garnków, ustawionych na środku stołu. Były to warzywa z ogrodu, i to w trzech postaciach: gotowane na parze pod ciśnieniem, pieczone oraz surowe. Za przyprawę służyły oliwa i ocet winny, sól i jakaś mieszanka ziół. Całości dopełniał pokro-

jony ciemny chleb, ser, owoce oraz pomarańczowy napój.

Pomyślałem, że jezioro i rzeka są w pobliżu, więc na stole mogłyby być ryby, a może i raki... Gdy byłem chłopcem, łowiłem raki dość często. Bywało i tak, że idąc do szkoły zastawiałem pułapkę na raki, a wracając opróżniałem ją. Zrobiłem ją ze starej bańki na mleko, umieszczając w jej otworze coś w rodzaju lejka z patyków. Rak mógł do niej wejść, ale wyjść już nie potrafił. To były dawne czasy... Dzisiaj bardzo często do nich powracałem, więc chyba nic dziwnego, że i w tej chwili już otwierałem usta, by zapytać Rafała o ryby i raki, gdy rozległ się w mojej głowie „alarm”: to Anael chciał mi zamknąć usta!

I dobrze, że w porę to zrobił. Gdy tylko się wyciszyłem, zauważyłem, że cała rodzina zachowuje się, jakbym to na pewno określił w Starym Świecie, „bardzo dziwnie”: wszyscy jedzą powoli, w milczeniu, z półprzymkniętymi oczyma, z lekko pochyloną głową, zupełnie tak (co za skojarzenie – wybacz, Panie Jezu!), jakby w kościele przystępowali do Komunii świętej! Możliwe, że byli skupieni na samej czynności jedzenia, ale zarazem wyczuwałem, że są... duchem jakby częściowo tylko obecni! Cóż za dziwny sposób jedzenia, no i w ogóle zachowania przy stole!

Posłałem tę myśl mojemu niebiańskiemu przewodnikowi, lecz zamiast jakiegoś rzeczowego wyjaśnienia usłyszałem tylko:

– Aldona i ksiądz wszystko ci wyjaśnią, cierpliwości. Teraz tak się je.

Spróbowałem i ja jeść w ten sposób, lecz mając głowę pełną wrażeń, nie potrafiłem tak łatwo pogрузić się w modlitwie. Była to jednak dla mnie dobra lekcja, od razu z „pracą domową” do odrobienia...

Nie powiem, by ten posiłek mnie nasycił, a nawet zaspokoił pierwszy głód, chociaż bardzo mi wszystko smakowało! Nie wypadało mi jednak napełniać swojego talerza, gdy inne talerze już opustoszały i zaczęto ukradkiem spoglądać na mnie. „Na de-

ser” pozostała mi więc już tylko... wspólna modlitwa, po której naczynia powędrowały do kuchni. Gospodynie jednak wróciły do stołu, już teraz w wyraźnie innym celu: mogła wywiązać się swobodna rozmowa. Nie zrezygnowałem więc z pytania o raki.

– Może i są – odpowiedział Rafał – jednak ani ich łowienie, ani gotowanie, nikogo teraz nie interesuje. Na pewno nie było to zbyt przyjemne! Aż mi się mdło robi na myśl, że mam zabijać żabę na przynętę, obdzierać ze skóry, przywiązywać, a potem złowione raki żywcem wrzucać do wrzątku! Ludzie teraz tak bardzo brzydzą się zabijaniem – wiem, kiedyś tak nie było! – że unikają go wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Dlatego bardzo rzadko jedzą mięso.

– I co, wcale nie polują? Ani na zające, ani na sarny?

– Słyszałem, że gdzieś zdarzają się myśliwi, ale chyba bardzo nieliczni, chociaż lasy roją się od zwierząt. Na pewno nie ma kłusowników. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zastawiać sidła czy jakieś żelaza na zwierzęta. Ani one nam, ani my im nie robimy nic złego. Po prostu nie patrzymy na nie jak na „mięso do złowienia”, a i one nas nie atakują. A czy stryjek kiedyś zabijał...?

– A więc wypełniło się to, co widział prorok Izajasz? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, robiąc unik i nie chcąc się przyznać do łowienia kiedyś zające. – Czy nawet dziecko, jak pisał Prorok, może się bawić bezkarnie na norze kobry...?

– Z kobraми nie mamy doświadczenia, ale na pewno ani wilk, ani dzik, ani niedźwiedź – tak, są u nas i niedźwiedzie – nie robi krzywdy żadnemu dziecku. Nie wiem, co by było, gdyby zwierzęta celowo drażnić, ale jeśli podchodzić do nich bez lęku, a za to z życzliwością, nie ma się czego obawiać.

– A więc... każdy może pogłaskać zająca... i lwa?

– Oczywiście! Nie tylko człowiek wyczuwa dobroć i życzliwość, płynącą ku niemu ze strony drugiego człowieka, ale i zwierzęta tak ją wyczuwają, jakby znały nasze myśli – odpowiedział Rafał, potwierdzając to, co wiedziałem już od Anaela, a co mo-

głem zauważyć w czasie przygody z zającem oraz eksperymentu z Jasiem.

A co do Jasia – maluch i teraz, trzeba przyznać, był wspa-
niały! Siedział na przysuniętym do stołu foteliku i zasłuchany był
w rozmowę, jakby wszystko rozumiał... Gdy spojrzałem na niego,
znów ogarnęły mnie wspomnienia...

W Starym Świecie udzielałem porad różnym ludziom, i to
w dość szerokim zakresie. Zdarzało się, że rodzice przywozili
dziecko, które miało kilka lat, a nie mówiło, albo też posługiwało
się jednym słowem, choć z różną intonacją głosu, rozpoznawalną
tylko dla rodziców. Trzeba było określić, czy jest to niedorozwój,
czy też rozwój prawidłowy, lecz według „nienormalnej normy”,
właściwej dla tego dziecka. Najczęściej chodziło o tę drugą sytu-
ację, mogłem więc ich wtedy uspokoić, że ich dziecko jest zdolne
i rozwija się prawidłowo, a zacznie mówić w swoim czasie, i to
wszystkie słowa na raz. Na razie dojrzewa w ciszy, słuchając
i obserwując swoje otoczenie.

Zauważyłem wtedy coś, co mnie wtedy szokowało: im młod-
sze były dzieci, tym zdolniejsze i bardziej duchowo rozwinięte.
Wydawało się, że między tymi maluchami a dziećmi starszymi od
nich o 7-10 lat jest ogromna przepaść kulturowa, duchowa, reli-
gijna. Byłem przekonany, że te najmłodsze zostały jakby „ina-
czej” stworzone, dla innej już epoki, w której panować będą inne
prawa, inne zasady więzi międzyludzkich oraz więzi między
człowiekiem a światem nadprzyrodzonym. Obserwacja zachowań Jasia
oraz jego „zabawy z Aniołem Stróżem” mogła być potwierdzeniem
tego, co kiedyś zauważyłem, ale chętnie bym posłuchał zdania
innych w tej kwestii.

Szczególnie cenne by były dla mnie spostrzeżenia mojej sio-
stry, wychowanej jak ja na przełomie obu epok, więc zaprosiłem
ją na spacer po okolicy. Zresztą, czy będąc w domu, można nie
pójść do lasu i na cmentarz...?

– Czemu nie? Chętnie! – odpowiedziała na moją propozycję, jednak Anael delikatnie mnie szturchnął: „A kościół...?” Byłem więc zadowolony z odpowiedzi Aldony, której także udzieliła się jakby jego myśl:

– Ale przecież mieliście iść w odwiedziny do proboszcza naszej parafii...? Potem Nieszpory, Msza i Apel Jasnogórski i... niewiele już z tego dnia pozostanie. Może odłożymy ten spacer na jutro?

– Oczywiście – odpowiedziałem – czas na wszystko musi się znaleźć. Masz rację, idziemy zaraz do kościoła i poszukamy księdza. Bardzo zależy mi na rozmowie z nim.

3. Ksiądz Leopold i jego parafia

Jedząc, a potem dzieląc się poglądami (nie wszystkie poruszone tematy tu zapisałem), spędziliśmy w miłym gronie rodzinnym tyle czasu, że gdy weszliśmy z Anaelem na główną ścieżkę ogrodu, z wieży kościoła rozległ się dzwon, obwieszczający zbliżanie się Godziny Miłosierdzia. Ruszyliśmy więc rażnym krokiem, nie zwracając już teraz uwagi na powaby wiosny. Pomyślałem tylko o ogrodzeniu sadu, o które kiedyś trzeba było dbać, a obecnie okazało się niepotrzebne. Nawet psy nie muszą tu niczego w nocy pilnować. A zwierzęta z lasu? Muszę zapytać Aldonę, czy żaden dzik ani sarna nie przychodzą tu pożywiać się rzymską sałatą albo szparagami...

Mały mostek przeprowadził nas nad strumieniem w miejscu, gdzie kiedyś była siatka ogrodzenia, i już mieliśmy przed sobą wszystkie zabudowania parafialne jak na dłoni, tym razem od strony niewidocznej dla przybywających znad jeziora. Obeszliśmy bryłę kościoła, wchodząc do niego głównym wejściem frontowym, nigdy – jak to już wiedziałem – nie zamykanym.

Już przy wejściu – zdumienie: obszerny przedsionek częściowo wypełniony był... obuwiem, jak w meczecie! Niektórzy wchodzili jednak boso, i to nawet w ubraniu roboczym, pewno wprost z pola lub z ogrodu, narzędzia swej pracy zostawiając na zewnątrz. To właśnie im służyły płytkie wanienki z rolkami do obmycia stóp, znane mi już z domu. Musieliśmy i my z Anaelem z nich skorzystać.

Przy wejściu kropielnica z wodą święconą, jak każe tradycja, ale już za progiem... puszysty, różnokolorowy dywan! A więc to nie mozaikowa posadzka, jak mi się zdawało, gdy oglądałem to wnętrze pokazywane przez kamerę w domu... Moje zdumienie musiało być wielkie, skoro Anael, mimo wielkiego skupienia na twarzy, przypomniał mi bezgłośnie słowa Anioła Pańskiego

z Księgi Wyjścia, którymi ten upomniął Mojżesza z płonącego krzewu: *Zdejmij sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą.* W podobny sposób odezwał się do Jozuego wódz zastępów Pańskich w pobliżu Jerycha. Zrozumiałem... Wyczucie świętości tego miejsca, w którym, jak w żadnym innym, niebo łączy się z ziemią, musiało stać się czymś powszechnym, skoro nawet tutaj, w tak niewielkim osiedlu... Ale ten dywan...! Nie mogłem uwolnić się od myśli, że Kościół poszedł w tym względzie za muzułmanami!

Podniosłem głowę. Objąłem szybkim rzutem oka wnętrze, nie mogąc nie zauważyć dość dużej, jak na tę porę dnia powszedniego, liczby klęczących, rozproszonych po całym kościele – wszyscy byli w skarpetach albo boso. Modlili się w wielkim skupieniu, nie zwracając zupełnie uwagi na swoje otoczenie.

Wzrok mój spoczął na tabernakulum, które, widziane z domu, wydawało mi się wkomponowane w ścianę, przypominającą wschodni ikonostas. Teraz wrażenie to jeszcze się spotęgowało, zauważyłem jednak, że tutejszy „ikonostas” nie całkiem jest zbudowany według kanonów wschodnich, chociaż z całą pewnością do nich nawiązuje. Przede wszystkim oparty jest o ścianę, a więc nie zawiera, jak w cerkwiach, bocznych drzwi ani carskich wrót, prowadzących do ukrytego za nimi ołtarza – ich miejsce zajmuje tabernakulum w bardzo bogatej oprawie. Brak też na samym szczycie centralnej ikony *Deesis*, ukazującej Chrystusa Pantokratora (czyli Wszechwładcę zasiadającego na tronie, aby sądzić żywych i umarłych), jak też dwie nieodłączne postaci modlących się świętych: zwróconą ku Niemu Maryję i Jana Chrzciciela. Zamiast tej ikony w tutejszym „ikonostacie” króluje Chrystus Miłosierny, który ukazywał się świętej Faustynie Kowalskiej, z wychodzącymi z serca promieniami białym i czerwonym. Na obrazie obok Maryja ukazana jest tak, jak Ją widziała w czasie objawień w Amsterdamie Ida Peerdeman: jako Pani Wszystkich

Narodów (na kuli ziemskiej otoczonej owcami, na tle krzyża, z rozłożonymi rękoma, zwróconymi ku ziemi). Po lewej stronie Chrystusa widzę obraz świętego Jana Chrzciciela. Niższe piętro zajmują – jest to wyraźny akcent wschodni – obrazy świętych Starego Testamentu. Trzecie piętro od góry – znowu zgodnie ze wschodnią tradycją – zajmują obrazy Zwiastowania, Narodzenia Jezusa, Zmartwychwstania oraz Zesłania Ducha Świętego.

Samo „ziemskie niebo” – tabernakulum – jest rzeźbiście przez cały dzień oświetlone światłem elektrycznym, ale także naturalnym: rzuca się w oczy siedmioramienny świecznik z lampkami oliwnymi. Tabernakulum wkomponowane jest w duży obraz Ostatniej Wieczerzy. Na obrzeżach tego obrazu, już w pobliżu bocznych ścian, widzę ikony adorujących swego Pana aniołów.

Obrazu tego dopełniają ziemianie, adorując Króla na dwóch długich klęcznikach, znajdujących się w pobliżu balustrady, oddzielającej prezbiterium od reszty kościoła. Mogę się domyślić, że są to te osoby, które, jak Rafał i jego domownicy, mają swoją godzinę adoracji. Są w różnym wieku: od starszych dzieci aż do staruszków z całkiem siwymi głowami. Za nimi, z głową niedaleko ich stóp, kilka osób leży krzyżem. Nad wszystkimi góruje postać księdza w białej komży, klęczącego w prezbiterium. Domyślam się, że to właśnie adorujący zapalili, na dużym „podświeczniku” dostępnym dla wszystkich, kilkanaście długich cienkich świeczek z pszczelego wosku, typowo cerkiewnych.

Moje obserwacje i cisnące się do głowy myśli przerywa donośny dźwięk dzwonu, ogłaszającego godzinę 15.00 – Godzinę Miłosierdzia. Różnie ją obchodzono w Starym Świecie. Często był to śpiew Koronki do Miłosierdzia Bożego, główną jednak praktyką, którą zalecił Jezus światu przez swoją „sekretną” Faustynę, miała być Droga Krzyżowa („na ile czas pozwala” – zapisała Święta). W Nowym Świecie czasu nikomu nie brakuje, więc nie dziwi mnie wcale, że i w tym kościele rozpoczyna się

Droga Krzyżowa (ofiarowana, według zapowiedzi księdza, za cierpiących w czyśćcu). Na ścianach nie ma obrazów z nią związanych, wyświetlane są jednak one na dużym ekranie, i to nawet trójwymiarowo. Co mnie zastanawia: nie słyszę wspólnych głosnych rozmyślań! Ksiądz zapowiada stację, przez chwilę wyświetlany jest jej obraz, a potem wszyscy w ciszy go rozważają, przeważnie klęcząc z zamkniętymi oczami. Tylko nieliczne osoby – widzę jakieś dziecko i staruszkę – posługują się przy tym książeczką, co by świadczyło o tym, że wszyscy pozostali nie potrzebują pomocy, duchowo dojrzały i wyćwiczeni w rozmyślaniu... Jakże pouczające staje się moje odkrywanie Nowego Świata!

Gdy wszystko ucichło, zostawiam Anaela pogrążonego w modlitwie i wychodzę za księdzem do zakrystii. Ten nie okazuje zdziwienia moją tu obecnością, chociaż przecież nie należę do jego parafian. Wita mnie serdecznie jak starego znajomego (czyżby coś o mnie wiedział?) i zaprasza na plebanie, gotów poświęcić mi czas, chyba że... wolę usiąść na ławce w cieniu drzew. Wybieram tę drugą możliwość, idziemy więc w zaciszne miejsce, pomiędzy piękne rozłożyste sosny i świerki, na skraj wielkiego klombu kwiatowego, gdzie dochodzi szum wody strumienia, spadającego kaskadami w dolinę.

– Jak tu pięknie! – wyrażam swój zachwyt. – Znam dobrze tę górkę z dawnych lat, ale ten strumień...?

– Odkryliśmy małe źródło przy kopaniu fundamentów, ale w trakcie budowy wody wciąż przybywało. Gdy płynął już prawdziwy strumień i były wątpliwości, czy łatwo da się go ujarzmić, architekt zaplanował skierowanie go ku schodom i zbudowanie tych kaskad, a twoja rodzina zaproponowała podzielenie go na pół i nawodnienie ogrodu. Wszyscy się na to chętnie zgodzili. Dla nas obfitość wody w tym miejscu, po stronie ołtarza, to symbol obfitości łask Bożych...

– A te sosny... – czy ktoś je sadził już jako duże, czy to samo-

siejki, pamiętające moje młode lata...?

– Różne drzewa nadają się do przesadzania, świerki także – te posadzone zostały już jako duże, podobnie modrzewie – ale sosny najmniej, a to ze względu na potężny głęboki korzeń palowy. Te sosny już tutaj rosły.

– Jak szybko poszły w górę i zgrubiały! – nie mogłem wyjść z podziwu.

– Wiesz przecież, że cała przyroda, uzdrowiona przez Boga wraz z człowiekiem, rzuciła się do rośnięcia po Wielkim Oczyszczeniu... Na pewno znałeś i tamten las? Z daleka wygląda jak puszcza, ale i z bliska nią jest, warto się przekonać. Mnie też, wciąż na nowo, ogarnia zdumienie, jak to wszystko szybko urosło, pamiętam przecież dobrze te strony...

– Czyżby Ksiądz stąd pochodził...?

– Wprawdzie tu się nie urodziłem, ale to było miejsce mojej pracy.

– O...! – z zaciekawieniem podniosłem brwi.

– Zarówno mój ojciec, jak i ja, byliśmy geodetami w tym właśnie powiecie, więc nie masz się czemu dziwić. Nachodziliśmy się po tych polach i lasach dosyć.

– A więc... spóźnione powołanie?

– Oczywiście, mam już czterdzieści pięć lat, a do seminarium wstąpiłem dziesięć lat temu. Nauka trwała tylko dwa lata, a nie sześć, jak w Starym Świecie.

– Dla wszystkich kleryków tylko dwa lata?

– Dla wszystkich. Większość to były „spóźnione powołania”, jak je nazywasz.

– Ale jak można było nauczyć się wszystkiego w tak krótkim czasie...? Czy wszyscy byli niezwykle zdolni?!

– Ależ skąd! A właściwie... może i masz rację. I tak można to określić: „niezwykle zdolni”, ale nie z natury, tylko z Bożego oświecenia. Dziwisz się? Czyżbyś nie wiedział, jakie skutki

w duszach ludzi spowodowało objawienie się Chrystusa, nazywane „Ostrzeżeniem”? Ależ prawda! – trzepnął się w kolano, a potem uniósł i rozłożył ręce – przecież ty tego jeszcze nie przeżywałeś, więc skąd mógłbyś wiedzieć...?! Musimy więc cofnąć się do tamtego momentu, bo inaczej nie zrozumiesz tego świata, który jest obecnie tak piękny, ale narodził się w tak niesamowitym bólu Wielkiego Oczyszczenia!

O to mi właśnie chodziło – pomyślałem po cichu. Cieszyłem się, że ksiądz nie patrzył na zegarek, nie śpieszył się. Rozsiedliśmy się wygodniej i popłynęła opowieść, przerywana tylko moimi wykrzyknikami i pytaniami...

– Przypuszczam... ależ tak, czytam to w twoich myślach – że interesowałeś się w Starym Świecie objawieniami Matki Bożej w Garabandal w Hiszpanii w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku... Musisz więc wiedzieć, jak bardzo je zlekceważono (nawet niektórzy przypisywali je szatanowi), zwłaszcza dlatego, że jedna z widzących, po złożeniu zeznań przed biskupem, potem je odwołała. Lekceważono je nawet wtedy, gdy pod naciskiem papieża Jana Pawła II powołano komisję w celu ponownego zbadań całości objawień.

– O ile mi wiadomo, do końca miejscowy biskup wahał się z oficjalnym uznaniem objawień za prawdziwe, mimo iż ta ostatnia komisja wydała opinię pozytywną...

– Możliwe, nie znam tych szczegółów. Otóż w Garabandal zostały dość dokładnie opisane przyszłe wydarzenia, składające się na pojęcie oczyszczenia świata, takie jak Ostrzeżenie, Cud oraz Kara, a nawet odległość między nimi. Potem Matka Boża objawiała się przez długie lata w Medziugorju w Hercegowinie, przekazując widzącym to samo pod postacią „Dziesięciu Tajemnic”, a nawet upoważniła niektóre osoby do ostrzeżenia świata w określonym terminie przed nadejściem momentu wypełnienia się poszczególnych Tajemnic. Szatan robił wszystko, by pomniej-

szyc ranę tych zapowiedzi i przytłumić je, mimo iż wielu biskupów z całego świata było w Medziugorju i po owocach mogło się przekonać, że Niebo tam nie milczy. Wszystko to było niemal na próżno, gdyż prawie nikt, na większą skalę, nie brał sobie do serca ostrzeżeń udzielanych widzącym.

– A La Salette...?

– To miejsce objawień Maryjnych spotkał podobny los, a osiedli tam zakonnicy zrobili wszystko, by widzącą, Melanię Calvat, uznano za niespełna rozumu, a pozostawiony przez nią opis Kary, wraz z mającym nastąpić po niej szczęśliwym dla świata okresem, włożyć między bajki. A jednak... na naszych oczach tamte zapowiedzi wypełniają się!

– A więc świat przeżywa teraz okres swojego szczęścia, pokoju, niby-raju, zapowiadanego od tak dawna... Ale dlaczego ludzie, u schyłku Starego Świata, z takim uporem odrzucali to wszystko?

– Trudno powiedzieć „ludzie”... Właściwie ludzkość podzieliła się wtedy na obojętnych na wszystko (tacy zawsze byli na świecie – żyjący wyłącznie sprawami tej ziemi, praktycznie niewierzący), na odrzucających zapowiadane powtórne przyjście Chrystusa (to byli zwłaszcza „uczeni w Piśmie”, doktorowie, erudyci Kościoła, z uporem twierdzący, że do końca świata żadnego „przyjścia” nie będzie, niewrażliwi nawet na krwawe łzy, płynące z figur i obrazów), wreszcie na „wierzących”, do których należała także moja rodzina. Traktujący poważnie objawienia charyzmatyczne byli względnie nieliczni, ale to właśnie oni, a właściwie większość z nich, otrzymali łaskę przygotowania oraz wejścia do tego świata „oczyszczonego”.

– Czyli jednak – jak o tym byłem zawsze, i to na sto procent, przekonany – podane przez Jezusa ewangeliczne opisy kary, związanej z Wielkim Oczyszczeniem, odnosiły się nie do końca świata, lecz do tego, przez co świat już przeszedł?! *Znaki na niebie, a na ziemi trwoga narodów, bezradnych wobec szumu*

morza i jego nawałnicy... Twierdziłem wtedy, że opisy te nie mogły dotyczyć końca świata, gdyż nie miałyby najmniejszego sensu – właśnie w momencie końca – takie „budzenie trwogi” przez Sędziego Żywych i Umarłych u Jego wybranej „Reszty”...

Przecież Sąd Ostateczny, mający objąć wszystkich, żywych i umarłych, ma się dokonać poza czasem i przestrzenią, z którymi my obecnie jesteśmy związani. Na tym Sądzie staniemy w ciałach zmartwychwstałych, więc ziemia nie będzie nam już potrzebna. Najlepiej opisał ten moment święty Paweł w Pierwszym Liście do Tesaloniczan: wraz ze zmarłymi w Chrystusie (a więc w stanie łaski Bożej) *będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób już na zawsze z Panem pozostaniemy...*

– Nic dodać, nic ująć, Ivanie! Ale interesuje cię *trwoga narodów*... To było tak straszne, że wprost nie do opisania! Nikt zresztą do dzisiaj nie próbował tego opisać, gdyż trzeba by było zebrać świadectwa wielu ludzi, wnikać w ich przeżycia – a przecież każde z nich było jedyne i niepowtarzalne, więc powstałyby całe opasłe tomy – ale po co...?

– Jak to „po co”...?! Czy nie byłaby to głęboka nauka, a zarazem przestroga, dla tych, którzy urodzili się już po Wielkim Oczyszczeniu...?

– Może by była, jednak weź pod uwagę, że dzieci wychowują się już w innym świecie, w rodzinach niemal świętych, jeśli porównać je z dawnymi rodzinami, a do tego w epoce, w której smok piekielny *został związany, aby nie zwodzić narodów*. Wydaje się mało prawdopodobne, by te dzieci, gdy dorosną, powróciły do dawnego stylu życia i umożliwiły szatanowi powrót na ziemię, chociaż... No tak, Apokalipsa opisuje jego powrót. Wydaje się on jednak czymś tak odległym, że aż niemożliwym... Ja przynajmniej nie umiem, nawet nie chcę o nim myśleć, podobnie jak o przeszłości. My dzisiaj żyjemy teraźniejszością, i chyba dzięki temu jesteśmy tak szczęśliwi.

– A przyszłością – wcale?! Przecież nie można być szczęśliwym – tak mi się wydaje – bez nadziei, przenoszącej naszego ducha tam, gdzie ma być nasze prawdziwe życie! Czy ziemia może człowieka w pełni uszczęśliwić?!

– Jasne że nie! A jeśli w ogóle uszczęśliwia, to właśnie dzięki temu, że nigdy człowiek nie miał tak potężnej cnoty nadziei, jak obecnie, nigdy tak nie potrafił umieszczać swego serca tam, gdzie jest SKARB, zgodnie ze słowami Jezusa. Jak się wkrótce przekonasz, ludzie umierają z radością, tęskniąc za swoim wiecznym domem. Inaczej też wyglądają pogrzeby niż dawniej, nie ma „kondolencji”, „żałoby”...

– Cnotę nadziei i ja rozumiem jako właściwą postawę wobec wieczności. Ale mnie chodziło o tę „zwykłą” nadzieję, czysto doczesną!

– Przecież i ja myślałem o tej przyszłości ziemskiej mówiąc, że równie mało ona nas interesuje jak przeszłość, gdyż żyjemy tylko teraźniejszością. Czy myślisz, że zapomnieliśmy całkiem o przepowiedni świętego Malachiasza, prymasa Irlandii, w której podaje on symboliczne imiona papieży? Dobrze pamiętamy jego zapowiedź, dotyczącą ostatnich dwóch papieży, ale... po prostu nie potrafimy o niej myśleć! Popytaj ludzi, a przekonasz się, że jest jak mówię. Jeżeli naprawdę ten koniec świata tak bardzo cię interesuje, wybierz się do Północnej Holandii, do brata Konrada pustelnika. Jest to bardzo świątobliwy starzec, mający ukryte stygmaty, człowiek wielkiej pokuty. On pokutuje nie tylko za dusze w czyśćcu cierpiące, jak wszyscy ludzie, lecz dana mu jest pamięć o przeszłości oraz znajomość przyszłości; możliwe więc, że już dzisiaj ofiarowuje się Bogu za tych, których los nie jest mu obcy. Wprawdzie niechętnie o tym mówi (a może nie ma komu nawet go o to pytać), lecz myślę, że tobie nie zaoszczędzi tego opisu, jeśli tylko rozpozna w tym wolę Bożą.

– W Północnej Holandii...? Ale w jakiej miejscowości?

– Tak, na wyspie tak nazywanej – roześmiał się mój rozmówca, lecz za chwilę spoważniał. – To nie jakiś wielki teren pokryty puszcza, lecz tylko niewielka wyspa, jedna z dwóch, jakie wyłoniły się z morza po zniknięciu całej Holandii. Większą z nich, na pamiątkę po tym kraju, nazwano Południową Holandią, znajduje się na niej klasztor, przyjmujący gości na rekolekcje. No tak, ale skąd masz znać te sprawy, skoro masz jeszcze w głowie starą mapę świata?! Pokazałbym ci nową – na pewno byłbyś zaszokowany tym widokiem – ale może zostanmy jeszcze przez chwilę wśród drzew, tak lubię to miejsce...

– A jeśli chodzi o przeszłość...? – powróciłem do poprzedniego wątku naszej rozmowy. – Pamiętam, jak bardzo papież Jan Paweł II nawoływał do ocalenia kart historii Starego Świata dla następnych pokoleń, do zachowania zeznań żyjących jeszcze świadków męczeństwa wielkiej rzeszy ludzi, do upamiętnienia miejsc i okoliczności ich męczeństwa... I co, to „następne pokolenie”, obecnie żyjące, całkiem zerwało z przeszłością? I z tą piękną, i z tą tragiczną?!

– Nawet jeśli Papież nawoływał, skąd mógł wiedzieć, jak potoczą się losy świata? Podobno widział obrazy przyszłości, a nawet płakał, będąc pod ich wpływem... Nie mógł jednak przewidzieć tego, że aż tak głęboko w duszy człowieka zapisze się łaska Wielkiego Oczyszczenia. Czy myślisz, że gdyby Bóg nie uwolnił ludzi od złych wspomnień, mogliby być uzdrowieni?

Ziemia stała się jakby częstką nieba właśnie przez to uzdrowienie. Gdyby w niebie ktokolwiek zachował wspomnienie zła, dokonanego i doznanego na ziemi, czy niebo byłoby *n i e b e m*? Mówiąc obrazowo: gdybyś spotkał w nim złodzieja, który cię okradł, i pamiętałbyś to zdarzenie, a z kolei twoi bliscy pamiętaliby twoje potknięcia – złe słowa, czyny, zaniedbania – czy byłaby to dla ciebie *P e ł n i a S z c z ę ś c i a*...? A dla złodzieja, gdyby na twój widok musiał bić się w piersi przez całą wieczność?!

Wiedz, że i na oczyszczonej ziemi całe zło poszło w zapomnienie. Zarówno to, którym raniliśmy Serce Boże, jak i to, które wyrządziliśmy ludziom. Między innymi dlatego zamieszkała na ziemi wielka radość, dotychczas od Raju nieznana. Było to jakby „nowe stworzenie” – stworzenie człowieka na nowo, bez garbu przeszłości. Mogę ci tylko tyle (obrazowo) powiedzieć, że na widok przychodzącego Jezusa oraz stanu swojej duszy człowiek nie wpadł w rozpacz (myślę o tych, którzy przetrwali wszystkie etapy Oczyszczenia), lecz pogrążył się w tak wielkim płaczu, że obmył się cały w swoich łzach i stał się jak małe dziecko, do zła niemal niezdolne.

– Przyszła mi w tej chwili na myśl święta Teresa od Dzieciątka Jezus oraz jej droga duchowego dzieciństwa...

– Zupełnie słusznie, bo właśnie o wejście na podobną drogę chodziło. Reszty dopełniła Krew Baranka, ofiarowana za nas Ojcu Niebieskiemu. Bóg dokonał tego WIELKIEGO CUDU, zostawiając na ziemi tylko tych, którzy byli w stanie rozpocząć takie właśnie – nowe, święte – życie. Pozostałych zabrał. Co nie znaczy, że zabrał samych złych lub nie rokujących nadziei na gruntowną przemianę życia. To pozostawienie na ziemi tylko niektórych ludzi pozostanie do końca Jego tajemnicą, zwłaszcza na tych rozległych terenach, które całe zostały zniszczone.

– Zamieszkała radość – powiedział Ksiądz... Tak, dla mnie uderzająca! Radość świętych. Pierwsi chrześcijanie określali siebie „świętymi”, ale jeśli panowała wśród nich podobna atmosfera, to nic dziwnego...

– Wprawdzie powiedziałem: „od Raju nieznana”, ale przecież masz rację: radość ta była znana już pierwszym chrześcijanom, wyzuty z siebie i ze wszystkiego z miłości do Boga.

– „Oczyszczenie z garbu przeszłości”... Czy przez to chce Ksiądz powiedzieć, że nikt nie zajmuje się już historią, a także literaturą, opartą na przeszłych wydarzeniach...?

– Jeśli sam chcesz się przekonać, pochodź po domach i zobacz... Spróbuj znaleźć na rodzinnych półkach książki opisujące wojny, okresy niewoli i rozbiorów, zesłania i tułaczki, nie mówiąc już o kryminałach czy erotykach. Cały ten „chory i zdiablony” świat przeminął jak pęknięta bańka mydlana. Spróbuj wypytывать ludzi o przeszłe zdarzenia, a zobaczysz, że pamiętają tylko dobro. Złych, wstrząsających przeżyć, nawet własnych, nie tylko nie chcą, ale nawet nie potrafią wspominać⁷!

Wiem, że liczyłeś na to, iż opiszę ci jak najdokładniej to straszne i bolesne Wielkie Oczyszczenie, oczekiwałeś ode mnie wielu szczegółów... Nic z tych rzeczy! Podobnie jak inni, i ja nie potrafię ani nie chcę wracać myślą do tamtych dni, wskrzeszać bolesnych wspomnień. Ale dam ci radę. Pomódl się za swoją siostrę, a Bóg może jej umożliwić powrót do tamtych bolesnych dni ze względu na zadanie, które masz teraz do wykonania. Spróbuj... Wydaje mi się także, że brat Konrad z Północnej Holandii, którego wszyscy uważają za wielkiego świętego, będzie ci mógł w tym pomóc. Ten starzec żyje jakby ponad czasem, a nawet ponad ziemią, duchem pogrążony w niebie, nic nie może wytrącić go z równowagi, zamącić jego spokoju.

– Księżę Leopoldzie, patrzy Książdz na zegarek... Jeszcze małe pytanie... Jak do tego doszło, że powstała tutaj parafia, chociaż do sąsiednich osiedli, większych, jest tak blisko? Patrząc z góry miałem wrażenie, że jest tu około stu domów, może nawet mniej... Kto więc budował ten kościół? Sami mieszkańcy? I czy ma Książdz środki na utrzymanie własne i parafii...?

– Jak widzisz, żyje nam się całkiem nieźle! – uśmiechnął się.
– Jeszcze nie muszę się tak bardzo śpieszyć, więc chętnie odpo-

⁷Miałem więc rację, gdy mówiłem ludziom pod koniec starej epoki: jeżeli chcesz napisać i wydać pamiętnik, śpiesz się, bo potem już nikt nie weźmie go do ręki...

wiem na twoje pytania.

W naszej parafii, jak w każdej prawdziwej, dobrej rodzinie, nie ma biednych i bogatych, dzielimy się wszystkim co mamy. A potrzeby nasze są tak niewielkie w porównaniu z tymi, które miał chociażby przeciętny Europejczyk w Starym Świecie. On wciąż gonił za zyskiem, za czasem na jego pomnażanie, zajęty był nabywaniem coraz to nowszych i droższych rzeczy, zabezpieczeniem sobie dostatniej przyszłości... Nie mówiąc już o pogoni za znaczeniem, stanowiskiem, sławą. Tamta pogoń jest dla nas czymś zupełnie obcym – umiemy poprzestawać na małym, a całe nasze życie jest oparte na słowach Pana Jezusa, przekazanych przez świętego Pawła, a zapisanych przez świętego Łukasza w *Dziejach Apostolskich: Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu*. Kto by tego nie rozumiał, nie pojawiłby panującego teraz na ziemi szczęścia. Sam Bóg wciąż przychodzi nam z pomocą, byśmy to rozumieli i stosowali w codziennym życiu, gdyż niemal natychmiast dobroć okazana innym powraca do nas, i to w najprzeróżniejszych formach. To nas zdumiewa i stale zmusza do wielbienia Boga za *wielkie rzeczy, które nam czyni*. Patrz, wsłuchuj się, podziwiał, doświadczaj, chłoń otaczającą cię miłość i odpowiadaj miłością – to wszystko! Ludzie tak dobrze to rozumieją, że nie są im potrzebne moje kazania, katechezy, jak te głoszone przez księży w Starym Świecie, ani uczone księgi, coraz grubsze katechizmy... Wszyscy – takie odnoszę wrażenie, że nawet dzieci – są lepszymi teologami ode mnie!

– Jeśli tak jest, to jak do tego doszło? Czyżby wszyscy otrzymali od Boga wiedzę wlaną, na wysokim poziomie, a do tego nagle...?! Jak Szaweł w drodze do Damaszku, gdy objawiona mu została cała Ewangelia...?

– Owszem, twoje porównanie trafia w sedno sprawy: to było objawienie, nagłe i powszechne, to znaczy obejmujące każdego mieszkańca ziemi. Nie muszę ci tego dokładnie wyjaśniać, gdyż

w Starym Świecie zetknąłeś się z objawieniami Matki Bożej w Garabandal oraz z książkami Vassuli Ryden...

– A więc jednak... „Ostrzeżenie”...? I to ono miało takie właśnie skutki?!

– Właśnie ono. Była to dla nas nie tylko wizja Chrystusa w otwartym niebie, w otoczeniu aniołów, częściowo jakby ukrytych za mgłą, a potem wizja stanu naszych dusz – tak dokładna i wstrząsająca, że mieliśmy wrażenie, iż jesteśmy na pośmiertnym sądzie szczegółowym. To, co zapowiadano jako „Ostrzeżenie”, było jednocześnie przejmującym do głębi objawieniem Bożej miłości... O nie, nie tej nieskończonej, gdyż takiego objawienia nikt by nie przeżył, lecz tylko tej, która obejmowała właśnie nas, konkretne osoby.

– Ale co to objawienie miało wspólnego z „małym sądem”...?

– Ta Osobowa Miłość w następnym momencie nie tylko uznawała i przyjmowała nasze przyznanie się do wszystkich win oraz nasze łzy, nasz wielki płacz, lecz każdemu stawiała pytanie: „Co dalej...? Czy teraz, gdy widzisz swoje grzechy i zaniedbania, chcesz zacząć żyć na nowo? Czy chcesz Mi służyć tak, jak Ja to dla ciebie przewidziałem przed wiekami? Oto twoja droga, twoje powołanie... Spójrz... Czy chcesz...?” I to był moment niesamowicie jasnego światła, może lepiej powiedzieć: oświecenia, poznania... W tym świetle zobaczyliśmy swoją drogę zbawienia, i to w powiązaniu z drogami innych ludzi, a także poznaliśmy Boga na miarę swoich możliwości...

– I to właśnie poznanie sprawiło, że wszyscy w jednej chwili stali się nie tylko wierzącymi, ale i „teologami”...?!

– Właśnie... I teraz już się nie zdziwisz, że nie trzeba było wielu lat, by dojrzeć do święceń kapłańskich. To nadprzyrodzone poznanie dało mi więcej, niż tysiąc wykładów i setki książek, nawet więcej niż całe lata rozmyślań i rekolekcji. To była w jednej chwili cała filozofia, psychologia, etyka, teologia dogmatycz-

na i moralna... A do tego potwierdzenie, że taka a nie inna ma być moja dalsza droga – bez najmniejszego cienia wątpliwości. Dzięki temu seminaria duchowne mogły zapełnić się ludźmi – młodymi i starszymi, oczywiście bezzennymi – którzy potrzebowali już tylko uzupełnienia wiedzy praktycznej: znajomości liturgii, prowadzenia parafii...

– Wystrój tego kościoła nasunął mi myśl, że musiał się Ksiądz zetknąć z liturgią wschodnią – tyle tu zapożyczeń z cerkwi...

– Nie tylko ja, gdyż wszyscy klerycy musieli poznać tę liturgię, a także tradycję wschodnią, w oparciu o którą budowane były dawne cerkwie prawosławne...

– Były...? I co, już nie są budowane...?

– Ależ są! Tyle że nie „prawosławne”, gdyż nie ma już dawnego rozłamu w Kościele! Różne są tylko sposoby sprawowania liturgii – inaczej „obrządku” – ale Kościół jest *jedną owczarnią pod przewodem jednego pasterza*. Z Wielkiego Oczyszczenia wyszedł już zjednoczony, problem ekumenizmu sam Bóg rozwiązał w jednej chwili!

– Jedna owczarnia...? A więc wszyscy chrześcijanie...? A protestanci, anglikanie...

– Nie tylko chrześcijanie się zjednoczyli, ale i wyznawcy innych religii zapragnęli przyjąć chrzest – zupełnie jak w Jerozolimie w dniu Pięćdziesiątnicy.

– A więc... Nowa Pięćdziesiątnica?! Ta, o której mówił już Jan Paweł II, tęsknił za nią, łączył ją z „nową wiosną Kościoła”...?

– Oczywiście. Duch Święty w jednej chwili zburzył wszystkie bariery, oczyścił umysły i serca, oświecił ludzi nie tylko co do prawd wiary, ale ukazał każdemu jego powołanie, no i umożliwił wzajemne porozumienie wszystkich dzięki językowi miłości.

– I to wszystko stało się w jednej chwili? Właśnie w momencie tego „Ostrzeżenia”...? A muzułmanie, którzy w Starym Świe-

cie zalewali Europę...? Budowali w naszych miastach meczety, ale także kupowali kościoły i zamieniali na swoje świątynie?!

– Bóg ich oświecił i ukazał im piękno Kościoła, do którego wstępowali z ogromną gorliwością. I to głównie dlatego – ze względu na nich – do naszych kościołów wkroczyły dywany, wraz ze zwyczajem zdejmowania obuwia w przedsionku.

– A więc moje skojarzenie z meczetem, podobnie zresztą jak z cerkwią, jest w pełni uzasadnione?!

– O tak. Nie ma teraz Mszy świętej bez użycia kadzidła, a z zasady także bez udziału chóru. Przepiękne śpiewy cerkiewne bardzo ubogaciły naszą liturgię – co mówię! – już nie „naszą”, lecz całego Kościoła. A ponieważ nie musimy się śpieszyć, jak to dawniej w kościołach bywało...

– W żadnej cerkwi po Oczyszczeniu jeszcze nie byłem... Ciekaw jestem, czy i Kościół wschodni przejął jakieś zwyczaje, a może coś z liturgii, od zachodniego?

– Oczywiście. W każdej cerkwi zobaczysz konfesjonały, w wielu z nich organy... co jeszcze... klęczniki, ale, co chyba najważniejsze, we wszystkich odbywa się całodzienna adoracja Najświętszego Sakramentu. Nie jest On już ukryty, jak dawniej, za ikonostasem, lecz tabernakulum bardzo przypomina nasze, zachodnie. Wysunięte jest przed ikonostas, albo wkomponowane w carskie wrota. Aha, siedmioramienny świecznik – menora – chyba go zauważyłeś? – jest także we wszystkich kościołach. Jak łatwo się domyślić – z synagogi żydowskiej. A synagogi teraz, po nawróceniu żydów, niczym nie różnią się od kościołów.

– A jeśli chodzi o inne religie? Chyba nie powie Ksiądz, że i zwyczaje buddystów, hinduistów, animistów czy wyznawców innych religii przejął Kościół?!

– Niektóre tak – te, które były możliwe do przejęcia – zwłaszcza na tych terenach, gdzie dawniej chrześcijanie byli nieliczni. Gdy będziesz podróżował, sam się przekonasz. Czy może być zły,

na przykład, zwyczaj używania dzwoneczków przez składających jakieś ofiary w świątyni, by zwrócić na siebie i na swoją potrzebę – jak każe pewna tradycja – uwagę już nie bóstwa, ale Prawdziwego Boga? My, księża, mówimy między sobą, że Pan Bóg nie marszczy brwi, lecz uśmiecha się do swoich dzieci, słysząc ich dzwoneczki... A czy surowe pokuty, którym oddawali się niektórzy, by, jak wierzyli, przez „zniweczenie złej karmy z poprzednich wcieleń” zbliżyć się do „wyzwolenia”, nie mogły zostać ukierunkowane na pomoc bliźniemu – temu cierpiącemu w czyśćcu? Wszystko, co naprawdę było dobre, zostało uszlachetnione i przyswojone przez Kościół, i to w sposób o wiele doskonalszy i szerszy niż w ramach tak zwanej dawniej „inkulturacji” (na terenach misyjnych). Duch Święty sam pokierował tym procesem.

– I nie było, po Oczyszczeniu, żadnego soboru powszechnego, który by zajął się tymi sprawami?

– Nie było. Każdy znał swoją drogę i Boże wymagania, miał pomoc z nieba w postaci natchnień, przychodzących od świętych i aniołów, więc wszyscy – od papieża aż do dziecka – działali jak doskonały zdrowy organizm, w którym wszystkie organy oraz ich funkcje pozostają bez zakłóceń. Świat był początkowo tak zniszczony, że nikomu sobór nie przyszedł na myśl, a zresztą... po co cały stos papierów, dokumentów, obrady i dyskusje, skoro w świetle Bożym wszystko było jasne? A potem... Potem także wcale nie był potrzebny ten rozbudowany system kontroli, rozciągający się od kancelarii parafialnej aż po te dykasterie watykańskie, przed którymi biskupi musieli składać raporty w ustalonym czasie. Tamten system – tak zwana administracja, i państwowa, i kościelna, z mnóstwem urzędów i urzędników różnych stopni i hierarchii – przeminął wraz ze Starym Światem – mamy nadzieję, że raz na zawsze. Teraz ludzie ufają jedni drugim, a i Bóg im ufa, gdyż wszystko oparte jest na przykazaniu miłości...

– *Dilige et quod vis fac* – „Kochaj i rób co chcesz”...?

– Właśnie. Każdy rozlicza się przed Bogiem, i to często, a nie raz w roku albo dwa – tylko w Adwencie i w Wielkim Poście – jak kiedyś wielu! Jeszcze mnie nie widziałeś w konfesjonale, zwłaszcza w piątki, kiedy to księża mają najcięższy dzień pracy. Spowiadamy w tym dniu od rana do wieczora. Większość ludzi spowiada się co tydzień, a rzadko można znaleźć kogoś, kto rzadziej niż raz na dwa tygodnie... A że wszyscy mają sumienie delikatne, reagujące na najmniejsze zło, czyż można się dziwić, że zewnętrzna kontrola nie jest potrzebna?

– A co z Watykanem? Pewno się „skurczył”, skoro jego urzędy przestały być potrzebne...?

– Runął, jak i prawie cały Rzym, w czasie Wielkiego Trzęsienia Ziemi, i tylko częściowo został odbudowany...

– Ale na pewno coś z niego ocalało...?

– Resztki pozbierano w kilku salach... Bazylika Świętego Piotra została częściowo odbudowana, lecz już nie w tak okazałej formie. Kolumnada Berniniego nie istnieje. Tylko kopuła przypomina tamtą Bazylikę sprzed lat. A papież żyje bardzo skromnie, wystarczy mu niewielki dom i jedna sala reprezentacyjna na uroczystości.

– I skarpetki...? – zażartowałem.

– A co myślałeś? Przed majestatem Boga wszyscy jesteśmy równi, więc i papież w Miejscu Świętym zdejmuje buty! Jeżeli chce udać się do jakiegoś kraju, czyni to bez rozgłosu, jak pokorny pielgrzym, nawiedzając lokalne sanktuaria. Ma swój mobil i może wylądować gdzie chce, nawet bez uprzedzenia. Nie musi już teraz zbierać ogromnych tłumów, by wypominać im błędy i wzywać do nawrócenia. Nie musi upominać rządzących i udzielać im pouczeń, gdyż wszyscy są ludźmi Kościoła...

– A jeśli chodzi o administrację – powiedział Ksiądz, że przestała być potrzebna... Czy całkowicie? Jak to możliwe?!

– Nie istnieje władza państwowa. Chociaż biskupi i prymasi nie zajmują się administracją, nie sprawują władzy świeckiej, jednak wokół nich gromadzą się ludzie świeccy, odpowiedzialni za dany teren. Przestały istnieć województwa i powiaty, pozostały tylko diecezje, dekanaty i parafie. No i oczywiście stolica każdego państwa. Żebyś to mógł lepiej zrozumieć, zacznijmy od takiej „najniższej jednostki”, jaką jest parafia.

Wyobraź sobie, że na jakimś terenie ludzie wyszli spomiędzy ruin i zgłiszcz jako niedobitki po Wielkiej Karze. Zbierając się i witając z wielką serdecznością, wszyscy mają na ustach to pytanie: „Czy słyszeliście o jakimś księdzu?! Gdzie go szukać...?” I gdy jakiegoś znaleźli, gromadzą się przy nim jak dzieci wokół ojca. Budują schronienie – najpierw prowizoryczne – dla niego i dla Pana Jezusa w tabernakulum, a więc jakąś kaplicę, najczęściej w miejscu dogodnym do zamieszkania dla całej tworzącej się społeczności, obfitującym w wodę i drewno. Jeżeli nie mogą znaleźć kapłana, na ich czele staje chwilowo osoba obdarzona zmysłem organizacyjnym w najszerszym tego słowa znaczeniu, gdyż trzeba nie tylko zatroszczyć się o warunki do życia ciała, lecz zadbać i o potrzeby duchowe – zorganizować wspólną modlitwę. Jest oczywiste, że ten naturalny przywódca – duchowny, lub chwilowo świecki – grupuje wokół siebie ludzi najbardziej operatywnych, którzy w przyszłości stanowić będą radę parafialną. Bez kontaktu ze światem – zniszczone są drogi i mosty, nie istnieje sieć telefoniczna ani energetyczna – rodzi się podstawowa komórka społeczna – „rodzina rodzin” – parafia, posiadająca własny samorząd. Po kilku latach – mówiliśmy już o skróconym seminarium – każde takie osiedle, i to na całym świecie, mogło otrzymać swojego kapłana.

– Ale przecież księża nie mogą wnikać w szczegóły życia świeckiego lokalnej społeczności – przerwałem.

– To jasne. Od tego są dziesiętnicy, pięćdziesiątnicy, setnicy

i tysiącniczy – ci ostatni w dużych osiedlach oraz w diecezjach. Nawet nie wiadomo, w czyjej głowie zrodził się pomysł – przypuszczamy, że w wielu jednocześnie, musiało to być Boże natchnienie – by wykorzystać radę Jetry, teścia Mojżesza. Na pewno pamiętasz ten opis, zawarty w osiemnastym rozdziale Księgi Wyjścia. Widząc, jak Mojżesz nie może nadażyć z rozstrzyganiem spraw spornych, Jetro zachęcił go, by wyszukał między ludem kandydatów na tysiącników, setników, pięćdziesiątników oraz dziesiętników, którzy mogliby go zastąpić w sprawach mniejszej wagi. Gdy im powierzył zwierzchnictwo nad podległą im liczbą ludzi, sam mógł spokojnie poświęcić uwagę tylko sprawom najważniejszym.

Wprawdzie nie ma u nas prawie nigdy spraw spornych, lecz życie wspólne wymaga od nas trzymania się pewnych zasad, a od samorządu – ustalania tych zasad oraz dopilnowywania, by nie wchodziły w kolizję z zasadami, którymi kierują się sąsiednie wspólnoty albo ogół społeczeństwa. Nie są do tego potrzebne grube kodeksy praw, wystarczy tablica ogłoszeń. Dziesiętnicy czuwają nad życiem nie dziesięciu osób, lecz dziesięciu rodzin, pięćdziesiątnicy – pięćdziesięciu rodzin i tak dalej, gdy posuwamy się wzwyż. Każdy z nich musi sobie znaleźć zastępcę. Mogą sobie utworzyć coś w rodzaju rady, w zależności od potrzeb. Członkowie samorządu – od dziesiętników aż po tysiącników – są mianowani przez radę parafialną na cztery lata, mogą swoją funkcję pełnić przez trzy kadencje.

– A czy ich wiek jest określony?

– Nikt go nie określał. Jest wielu młodych, obdarzonych przez Boga wielką mądrością i charyzmatem przywódców, ale jest też wielu starych wiekiem, lecz młodych duchem, którzy mogą służyć społeczności.

A więc... dziesiętnicy odpowiadają za swoją działalność przed swoim pięćdziesiątnikiem, ten przed swoim setnikiem,

a setnik przed tysiącnikiem. Rada tysiącników związana jest z miejscowością, w której mieszka biskup. Naczelnik tysiącników jest prawą ręką biskupa, a rada naczelników, z prezydentem na czele (wyłania go ona spośród siebie na cztery lata) – prymas. Tak urządził sobie życie cały świat.

– A pieniądze...? Czy można się bez nich obejść?

– Od początku wszyscy dzielili się tym co mają, zwłaszcza żywnością i ubraniami, gdyż w jednej chwili wszystkie pieniądze na całym świecie przestały się liczyć, nawet złoto. I dzisiaj w parafii nie prowadzimy między sobą, tak jak w wielkim klasztorze, ścisłych rozliczeń, więc moglibyśmy się obejść bez pieniędzy. Inaczej jednak bywa w naszych kontaktach zewnętrznych. Po jakimś czasie okazało się, że każda parafia ma jakieś nadwyżki produkcji, bo przecież wszyscy pracują, ale też jakieś braki, wynikające z niedoboru surowców, pomysłów, technologii...

– Parafia czy osiedle...?

– Mówiąc „parafia” mam na myśli osiedle, używam tych dwóch terminów zamiennie. Czy każda parafia potrafi, na przykład, wytworzyć mobile i zaopatrzyć w nie wszystkich? Jakies pieniądze stały się więc, z tych właśnie względów, konieczne. Powstała myśl, by wynagrodzenie za całodzienną pracę nazwać, jak w czasach biblijnych, denarem. Najpierw tymi „denarami” były zwykłe karteczki z pieczęcią każdej parafii, potem zaczęto używać trwalszego, już specjalnego, papieru...

– I co, każda parafia ma swój „bank”?

– Po co zaraz taka szumna nazwa! Czy jedna kieszeń nie wystarczy? Każdy setnik ma swojego skarbnika, a ten, korzystając z pieczęci parafialnej, wytwarza tyle denarów, ile ich potrzebujemy do zakupu towarów u nas nie wytwarzanych albo niedostępnych. Większość tych towarów w niewielkiej ilości (zawsze przecież można je sprowadzić) jest dostępna w sklepiu osiedlowym, w którym każda rodzina ma swoje „konto” i swój „przy-

dział”. Dziwisz się...? Weź to pod uwagę, że wszędzie panuje duch ubóstwa i poprzestawania na małym, na tym co konieczne! Rzadko się zdarza, by któraś z rodzin wyczerpała swój „przydział”. Jeśli tak się dzieje, to prawie wyłącznie tam, gdzie rodzina nastawiona jest na przyjmowanie gości ze świata. Wtedy ma prawo otrzymać dużo większy „przydział”.

Gdy na nasz teren przychodzą fachowcy, na przykład specjaliści od zakładania w domach telewizji, poszczególne rodziny zgłaszają zapotrzebowanie na ich usługę, a wynagrodzenie otrzymują oni od setnika.

– Czy istnieje jakiś limit, jeśli chodzi o napełnienie denarami tej „kieszeni parafialnej”?

– Parafia ma prawo wytworzyć rocznie tyle denarów, ile dniówek przepracowała – to najprostsza reguła, rozumiała sama przez się, a do trzymania się jej zobowiązuje się w sumieniu każdy skarbnik. Jeśli wytworzy więcej denarów – gdy na przykład parafia ma coś większego do zbudowania – w następnych latach musi zaoszczędzić, chyba że otrzyma dotację ze stolicy diecezji lub z innego źródła. Dziesięć procent przekazuje corocznie na wspólne cele radzie działającej przy biskupie, na przykład na organizację życia kulturalnego, na sieć łączności. W praktyce wygląda to tak, że przeciętna parafia prawie zawsze wytwarza tyle denarów, że ma ich nadmiar i może podzielić się z innymi.

– Czy dniówka każdego z pracujących jest warta tyle samo?

– W zasadzie tak, są jednak trzy wyjątki, związane ze służbą społeczną, wymagającą szczególnych poświęceń i bycia do dyspozycji innych nie tylko w dzień, lecz i w nocy...

– Na pewno straż pożarna do nich należy...?

– Straż nie. Teoretycznie są wprawdzie strażacy na służbie stale, w dzień i w nocy, ale w praktyce tak rzadko muszą gasić pożary, że do tych wyjątków ich nie zaliczono. Podobnie jest z lekarzami, którzy mają bardzo mało pacjentów. Podwójnym

denarem wyróżniono księży, nauczycieli i rodziców wychowujących dzieci.

– To rzeczywiście mądre i bardzo praktyczne rozwiązanie. A gdy ktoś udaje się w podróż zagraniczną, czy otrzymuje jakiś większy „przydział” denarów?

– To byłoby logiczne, gdyby nie... – no właśnie, znów nie-pisana – reguła gościnności, jakże ewangeliczna, przestrzegana chętnie przez cały świat. Polega ona na tym, że my, jako parafia, poczuwamy się do obowiązku udzielenia gościny wszystkim do nas przybywającym, zarówno krajowcom jak i zagranicznikom, a udając się w podróż mamy prawo korzystać z ich gościnności. Chodzi o przyjęcie nie tylko jednostek, ale całych grup ludzi. Mamy mobil stuosobowy, w tej chwili pożyczili go nasi sąsiedzi. Możemy nim śmiało podróżować po całym świecie i mieć pewność, że wszędzie będziemy życzliwie przyjęci. Ponieważ bariera językowa przestała istnieć, prawie wszyscy chętnie podróżują. Czy widzisz ten spory budynek, trochę na uboczu...? To właśnie nasz „hotel” parafialny...

– Kto go prowadzi? Czy często bywają tu goście...?

– W środku tygodnia rzadziej – to są najczęściej ludzie wykonujący jakieś prace – ale już w piątek wieczorem często zjawia się ktoś z turystów albo pielgrzymów i pozostaje zwykle do niedzieli.

– Pielgrzymów...?

– O tak, wielu ludzi łączy pielgrzymowanie z turystyką, przemierzając kraj lub świat. Sanktuaria nie zawsze mają dostateczną ilość miejsc noclegowych, więc ludzie korzystają z hotelików mniejszych parafii, położonych na trasie. Tu u nas teraz dwie rodziny obsługują gości, ale już za dwa miesiące, w okresie wakacyjnym, będzie ich więcej. Po prostu to ich specjalizacja – lubią to robić, nikt im tego nie narzuca, kierują się starym przysłowiem: „Gość w dom – Bóg w dom”.

Nasz hotelik bywa nawet przepełniony w niektóre soboty

i niedziele, i to niezależnie od pory roku, rozbrzmiewa różnymi językami. Z miejscami noclegowymi nigdy nie ma kłopotu, gdyż mamy namioty...

– Ooo...! I duże także...? Dla pielgrzymów czy turystów?

– Zapraszamy chóry i grupy teatralne z różnych stron świata, jesteśmy zaprzyjaźnieni z niektórymi parafiami Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Oczywiście i my otrzymujemy od nich zaproszenia. Mamy chór i dwa zespoły dziecięco-młodzieżowe, mamy też i teatr.

– W takiej małej parafii – teatr...?!

– Trudno by było znaleźć parafię bez teatru. Jest to bardzo ważny, wprost konieczny środek wychowawczy, zarówno jeśli chodzi o wychowywanie innych, jak i o samowychowanie, o pracę nad sobą. Widzisz to wejście? Te schody prowadzące w dół, do podwójnych drzwi...? Tam jest właśnie nasza sala teatralna, olbrzymia, tej wielkości co kościół, chociaż z zewnątrz niewidoczna.

Pytałeś o namioty... To doskonałe rozwiązanie, cały świat z nich korzysta. Są małe, na wyposażeniu każdego mobilu, ale są i olbrzymie, a ich rozstawienie to kwestia sekund...

– Jak to „sekund”...?!

– To bardzo proste: przy każdym z nich jest pojemnik ze sprężonym powietrzem, więc napełnienie nim czegoś w rodzaju szkieletu odbywa się błyskawicznie, namiot sam staje i wystarczy umocować go do podłoża. Zimą używamy namiotów z dwiema ściankami, między którymi znajduje się ciepłe powietrze. Zewnętrzna ma warstwę odblaskową, więc z góry taki zimowy namiot wygląda jak srebrna kopuła...

Ksiądz Leopold dyskretnie spojrział na zegarek, a potem odwrócił się ku komuś dla mnie niewidzialnemu. Za chwilę z tej strony rozległo się nawoływanie dzieci i jakby dźwięk potrząsanych dzwoneczków, a w następnym momencie spoza drzew

wysypała się spora grupa dzieci w różnym wieku i otoczyła nas z radością. Niektóre z nich przyniosły instrumenty muzyczne. Były to skrzypce, duża harmonijka ustna, dwa flety różnej wielkości, kilka tamburynów, ale też coś w rodzaju bałałajki. Jedna z dziewczynek postukiwała dwiema parami jakby drewnianych małych miseczek, wydających dźwięk podobny do kastanietów. Były też instrumenty zupełnie mi nieznane.

– Czekam na miły obowiązek przećwiczenia z tą dzieciarnią nowej pieśni, więc chyba... na razie... rozstaniemy się? – usłyszałem słowa księdza, których mogłem się spodziewać.

– A czy mógłbym zostać i posłuchać...? Dzień niedługo się kończy, nie mam już niczego ważnego w planie...

– Ależ proszę bardzo! Dzieci!!! Zaczynamy! Olga! Filip! Czekamy na was!

Do naszej ławki podszedł średniego wzrostu chłopiec z wielkim futerałem, z którego wydobył... najprawdziwszą cytrę! Usiadł przed nią na rozkładanym krzeselku, a obok niego stanęła mała dziewczynka, kładąc na ławce cymbałki. Reszta dzieci z instrumentami stanęła z boku, a mali śpiewacy – wprost przed nami. Zauważyłem, że chłopiec z cytrą rozłożył na jej podstawie tekst pieśni z podkładem muzycznym, drugą podobną kartkę wręczył księdzu, a trzecią jednej z dziewczynek, robiącej wrażenie najstarszej. Zerknąłem ukradkiem na kartkę trzymaną przez księdza i mogłem odczytać tytuł, gdyż pieśń była napisana wyraźnie, drukiem komputerowym: CAŁYM SOBĄ WIELBIĘ CIEBIE, MÓJ BOŻE.

– Sergiusz (ksiądz wskazał na tego właśnie chłopca) i Dina (ta najstarsza) przynieśli nową pieśń, chcielibyśmy się jej nauczyć... Dzieci, uwaga!

– A kto ją skomponował? – zapytałem.

– Właśnie oni. Kto się modli i słucha natchnień przychodzących z nieba, nie ma z tym problemu!

Zaczęło się ćwiczenie. Byłem zdumiony, jak prędko mała orkiestra potrafiła się zgrać i zapamiętać, przecież bez nut, wszystkie akordy, a pozostałe dzieci – refren, a potem cały tekst. Musiały mieć fenomenalną pamięć! Rzucało się też w oczy przejęcie, z jakim się uczyły, a pod koniec nauki – tak, przecież nie mogłem się mylić – ich wyraźnie kontemplacyjne zatopienie się w słowach i melodii... Dzieci „nabierały skrzydeł”, jakby unosiły się ku niebu, modląc się słowami tej pieśni! Wskazywały na to chociażby płynne, harmonijne ruchy ich rąk i całego ciała, jakby zapisane przez wytrawnego choreografa, chociaż nikt z ludzi nie udzielał im przecież żadnych wskazówek! Może aniołowie – pomyślałem...

Wyjąłem notes i starałem się zapisać wszystkie słowa. Zwrotki były rymowane. Wiedziałem, że przetłumaczenie ich na inne języki pozbawi je rymu, jednak nie przeszkodzi nikomu wczuć się w ich treść. Nut, niestety, nie potrafiłem zapisać. Byłem przekonany na sto procent, że zapamiętam melodię, przecież nieskomplikowaną, jednak po jakimś czasie częściowo uleciała z mojej pamięci. Może kiedyś uda mi się jeszcze spotkać księdza Leopolda i jego małych przyjaciół, by wydobyć od nich dokładny zapis tej i wielu innych pieśni.

Czy jednak ludzie, zanurzeni jeszcze w Starym Świecie – tak, to jest pytanie... – potrafią docenić piękno tych pieśni, co więcej: czy będą zdolni nimi się modlić...? Wydaje mi się, że trzeba być, jak te dzieci, czystego serca, by móc, jak one, modlić się całym sobą, a więc i wszystkimi zmysłami!⁸

Gdy wstaję o świcie i otwieram okno,
tonę z radością w szczebiocie ptasząt

⁸Na pewno Czytelnik zauważy, że każda ze zwrotek odnosi się do innego z naszych pięciu zmysłów.

witających Stwórcę promiennego słońca.
 Oto przebiegam wszystkie kraje świata,
 zbieram najpiękniejsze melodie i pieśni,
 łączę dla Ciebie w wielką symfonię miłości.

REFREN:

O Boże, kochany mój Ojczy,
 radość duszy udziela się ciału.
 Całym sobą Cię wielbię, dziękuję,
 obejmij mnie, przytul na wieki.

Czerwienią płonie tarcza słońca,
 upaja mnie daleki błękit nieba,
 zieleń liści kąpie się w kroplach rosy,
 cudne kwiaty ukazują swe złote serca;
 zbieram po całym świecie ich naręcze
 i wznoszę ku Tobie tęczę miłości.

Las wiosenny bucha swoją wonią,
 otaczają go pachnące łąki i pola,
 kwitnące sady wabią ludzi i pszczoły,
 woń posiłku zaprasza głodnych do stołu.
 Dym kadzideł wielkiej świątyni świata
 wznoszę ku Tobie w ofierze miłości.

Słodki nektar wszystkich kwiatów świata
 złoci się w cudownych czarach pełnych blasku,
 wszystkie niemowlęta rozkoszują się mlekiem
 z pełnej piersi kochającej je matki.

Zanim będę kosztować słodczy niebiańskiej,
 smak mej ziemskiej miłości ofiaruję Tobie.

Pieszczota rodziców niesie radość dzieciom,
 dziadkowie tulą i całują swoje wnuki,
 skrzydła aniołów we śnie nas muskają,
 święci delikatnie okazują nam serdeczność.
 Niech czułe dotyki wszystkich, co kochają,
 pomogą mi rzucić się w Twoje ramiona.

Po zakończeniu próby ksiądz Leopold poszedł na chwilę do

siebie, by przygotować się do Mszy świętej. Przed odejściem zdążył mi wyjaśnić, że we wszystkich prawie parafiach świata są codziennie dwie Msze, ranna i wieczorna, by wszyscy, niezależnie od obowiązków, mogli w którejś z nich uczestniczyć. Także tutaj na obu Mszach jest dużo ludzi, większość przychodzi dwukrotnie w ciągu dnia, czując ogromną potrzebę zjednoczenia się z Panem nieba i ziemi, Królem serc.

Po wejściu do kościoła odniosłem wrażenie, że wszyscy uczestnicy Mszy byli już obecni... Nie zauważyłem nikogo, kto by, aż do wejścia księdza z asystą, wchodził w pośpiechu, lecz wprost przeciwnie: wszyscy oczekiwali od dłuższego już czasu, wyciszeni, większość z różańcem w ręku. Podobnie zachowywały się dzieci, nawet najmłodsze siedziały cichutko na piętach, z pochyloną głową, nie rozglądając się na boki. Mimo tego wyciszenia panowała w świątyni atmosfera niemal rodzinna, którą potęgowało dyskretne oświetlenie, puszysty dywan, no i przede wszystkim obecność całych rodzin, oczywiście kilkupokoleniowych.

Schola gdzieś ukryta, pewno na chórze, rozpoczęła pieśń na wejście kapłana, i to przy akompaniamencie niektórych instrumentów spośród tych, które widziałem przed chwilą w rękach dzieci. Melodia brzmiała uroczyście i spokojnie, a słowa... były chyba oparte na którymś z Psalmów. Zdziwił mnie tylko refren: „Chłopcy i dziewczęta, chwalcie imię Pana”. Czyżby to była Msza specjalnie dla dzieci? – stawiałem sobie pytanie.

Ksiądz Leopold wyszedł w otoczeniu kilkunastu ministrantów w komżach i pelerynkach oraz lektora w albie. Na wstępie wyjaśnił, że to Msza w intencji Adeli, sześciolatniej dziewczynki, którą rok temu Pan Bóg zabrał do siebie. Przywitał więc w szczególności jej rodzinę, koleżanki i kolegów. Słuchając jego homilii podziwiałem zwięźłość i prostotę wypowiedzi, piękny język oraz bardzo dobry kontakt ze słuchaczami w różnym wieku. Ten kapłan musiał poważnie traktować zasadę swojego Mistrza

Jezusa, który rzadko przemawiał do ludzi bez przypowieści, bez podziałania na wyobraźnię słuchaczy... Dialogowana homilia była tak piękna, że warto ją tu przytoczyć.

– Mały słonecznik rozwinął się o świcie i, naśladując dorosłe słoneczniki, zwrócił swoją twarz, okoloną złotymi płatkami, w kierunku mającego wzejść słońca. Gdy wzeszło, zadrżał z radości i całym sobą pił jego złote promienie. Wciąż obracając się w kierunku słońca nie mógł pogodzić się z tym, że zbliża się jego zachód, a wraz z nim noc. Błagał słońce, by nie zaszło za horyzont, by nie zachodziło nigdy! I stał się cud: to nie słońce się zatrzymało, lecz słonecznik stracił całkiem kontakt z ziemią i, machając liśćmi jak ptak, pofrunął w kierunku słońca. A słońce co zrobiło? Jak myślicie, dzieci? Chyba nie muszę dodawać, że ten słonecznik to była nasza Adela... (Przy tych słowach wskazał na dużą fotografię uśmiechniętej dziewczynki, ustawioną, wraz z płonąca świecą, w pobliżu balustrady). Boskie Słońce, nasz ukochany Pan Jezus, wyruszyło na spotkanie słonecznika-Adeli, i odtąd są już zawsze razem. Jeżeli ktoś bardzo tęskni za niebem, to choćby był zakorzeniony w ziemi, uleci szybko do Krainy Szczęścia. Kto z was tęskni jak mała Adela za niebem i za Panem Jezusem, kto chciałby już dzisiaj, w tej chwili, tam się znaleźć...?

Zaskoczyło mnie to pytanie, w napięciu czekałem na reakcję słuchaczy, starszych i młodszych. Po kilkunastu sekundach – a więc jednak po zastanowieniu się wszystkich – podniósł się las rąk! Wtedy padło następne pytanie, jakże trudne, będące nieuchronną konsekwencją pierwszego:

– Jednak, jak wiecie, bez śmierci, bez pozostawienia na ziemi ciała, niczyja dusza nie może być wzięta do nieba. W takim razie kto z was już w tej chwili chciałby umrzeć...? Nie wrócić do domu, lecz poszybować prosto do nieba?

Tym razem w pierwszym momencie podniosło się tylko kilkoro rąk, reszta słuchaczy spuściła głowę i trwała w pełnej napię-

cia ciszy. Za chwilę zaczęły się podnosić ręce, coraz liczniejsze, z coraz większą odwagą, przekonaniem, siłą decyzji. Byłem zdumiony, gdyż większość spośród obecnych w kościele tym gestem wyraziła swoje TAK! Niektóre dzieci aż wspinały się na palce i kołysały całym ciałem, a nie tylko ruszały ręką! Jak wielka musi być duchowa dojrzałość tych ludzi – pomyślałem – jeśli nawet dzieci, tak bardzo przywiązane do swojego środowiska rodzinnego, potrafią tęsknić za wiecznym zjednoczeniem z Bogiem! Czułem, że to TAK nie jest ani wymuszone, ani sztuczne lub nieprawdziwe, lecz płynie z głębi serc.

Ten gest podniesionych rąk obudził we mnie wspomnienia... Na moment przeniosłem się w wyobraźni do kościoła w Żytomierzu, który teraz jest katedrą biskupa, lecz w czasach, gdy komunizm dopiero zaczynał się chwiać, był bastionem wiary („dowodzonym” przez dzielnego proboszcza, który potem został tam biskupem). Znalazłem się w nim w uroczystość odpustową, gdy uczestniczyłem w obchodach Tysiąclecia Chrztu Rusi. Nabity był po brzegi, i to mimo upału. Na ambonę wyszedł ksiądz, który przyjechał z zagranicy, i w ramach odpustowego kazania zapytał: „Gdyby kościół otoczyła teraz milicja i wojsko, grożąc śmiercią wszystkim, którzy przyznają się do wiary w Boga, a puszczając wolno tych, którzy się jej wyprą – kto z was byłby gotów w tej chwili stanąć pod ścianą i paść pod kulami karabinów maszynowych?” Moje zdumienie nie miało granic: nie było uczestnika Mszy, który by nie wstał i nie podniósł ręki... A do tego z jakim ogniem w oczach wykonywali wszyscy ten gest!

Ale wróćmy do naszego kościoła. Wszyscy uczestnicy Mszy, oczywiście z wyjątkiem maluchów, z wielką pobożnością przyjęli Chrystusa w Komunii świętej, klękając przy balustradzie przykrytej białym obrusem. Pieśń na Komunię oparta była na motywach Pieśni nad Pieśniami, a więc tej księgi Pisma Świętego, która opiewa miłość oblubieńczą między Jezusem i duszą ludzką z Nim

zjednoczoną. Nie zabrakło odniesienia do „wiecznej komunii” w niebie.

Wzruszające było dziękczynienie po Komunii, trwające bardzo długo. Ukradkiem spoglądałem na twarze bardzo skupione i ręce skrzyżowane na sercu. Cisza przeplatała się z krótkimi zwrotkami pieśni, jakże piękne były jej słowa! Było to błaganie Ducha Świętego, by rozpałił serca taką miłością, jakiej pragnie Serce Jezusa, jak też podobna prośba skierowana do Maryi, Matki Jezusa i naszej. Było zaproszenie wszystkich aniołów i świętych do wspólnego wielbienia Boga, którego oblicze oglądają teraz w niebie. Było wreszcie włączenie do tego hymnu uwielbienia i dziękczynienia wszystkich stworzeń, w których przejawia się częśćka Bożego piękna i dobra.

Nikt, mimo dość późnego wieczoru, nie śpieszył się do domu, nikt się nie kręcił, nie spoglądał na zegarek. Odnosiłem wrażenie, że ludzie wzniesli się jakby ponad czas i przestrzeń i wolą nie myśleć, że trzeba za chwilę znowu w nich się zanurzyć...

Gdy ksiądz z asystą opuścił prezbiterium, w całym kościele zrobił się dziwny ruch. Ludzie nie szli ku wyjściu, lecz wprost przeciwnie: w kierunku prezbiterium! Dzieci stojące najbliżej niego, przy samej balustradzie, wzięły się za ręce i dwoma sznurami wkroczyły w przestrzeń, na którą przedtem nie zwróciłem uwagi: zaczęły okrażać prezbiterium, wchodząc między zakończenia balustrady a ścianę, a dalej w puste miejsca w „ikonostasie”. Ci, którzy nawiedzali sanktuarium, w których można obejść ołtarz dookoła, wiedzą o czym mówię. Za dziećmi podążyli dorośli, też trzymając się za ręce, aż do zamknięcia kręgu. Wtedy zain-tonowano przepiękną pieśń na pożegnanie Boskiego Gospodarza, zapraszającą Go jednocześnie do domów rodzinnych. Wstyd mi było, że nie umiem jej śpiewać, ale chyba nikt nie zwrócił na mnie uwagi, tym bardziej, że w czasie pierwszej zwrotki korowód przesunął się w lewo, a w czasie drugiej w prawo. Gdy tylko pieśń

ucichła, natychmiast wszyscy uklękli na swoim miejscu z twarzą zwróconą ku tabernakulum, a po chwili zaczęli opuszczać kościół. Przy balustradzie na klęczniku pozostały tylko te osoby, które miały teraz swoją godzinę adoracji.

Po wyjściu z kościoła same usta otwierały się, by powitać i zagadnąć rozpoznanych znajomych i sąsiadów – tak dawno nie widzieliśmy się, nic nie wiedzieliśmy o sobie – lecz... wszyscy, nawet małe dzieci, w drodze do domu trwali w wymownym milczeniu, nie zwracając uwagi na swoje otoczenie, a za to spoglądając w głąb swego serca, wziętego w posiadanie przez Jezusa. Jakież to było odległe od pośpiechu i rozgardiaszu Starego Świata; od tego nagłego, już za drzwiami kościoła, rozproszenia, gwaru, częstowania się papierosami, a potem szybkiego wskakiwania do samochodów! W jakiej zresztą atmosferze ktoś wybierał się wtedy do kościoła, w takiej na ogół go opuszczał... Jak to dobrze, że przeminęły tamte czasy!

W towarzystwie Anaela oraz swojej rodziny znów przekroczyłem strumień, przechodząc przez mały mostek, i przez pachnący sad udałem się do domu na spoczynek. Tak zakończył się pierwszy, jakże pełen niezapomnianych przeżyć, dzień mojego pobytu w Nowym Świecie.

Aha, jeszcze o jednym zapomniałem! Nie potrafiłem utrzymać języka za zębami w drodze z kościoła i po cichu zapytałem swoją siostrę o ten „korowód taneczny” na pożegnanie Pana Jezusa w Jego domu. Dowiedziałem się od niej, że to zwyczaj Afrykanów, którzy co jakiś czas odwiedzają naszą parafię. Bardzo się wszystkim spodobał i przyjął się szybko, a nawet kilka innych parafii od nas go przejęło. Zapytałem Aldonę, czy i w czasie Mszy próbowali tańczyć razem z Afrykanami, ale tylko się roześmiała. Przypuszczam, że mogli próbować, ale tylko wtedy, gdy sami podróżowali do Afryki...

4. Moja siostra przewodniczką

Jeśli chodzi o ranne wstawanie, Aldona nie należy do „skowronków”, lecz raczej do „starych lokomotyw”, które długo się rozpędzają i dopiero koło północy są na pełnych obrotach. Z trudem udało mi się ją przekonać, że wschód słońca jest piękny i warto go zobaczyć... Anael zniknął z pola widzenia, chcąc zostawić rodzeństwu trochę swobody, więc wyruszyliśmy we dwoje zwiedzić okolicę, jak też pomodlić się przy rodzinnym grobie.

Myśląc o wyjściu do lasu, z przyzwyczajenia chciałem szukać klucza do furtki, lecz w porę sobie przypomniałem, że „to nie te czasy” – furtki nie istnieją!

Szybko przeszliśmy przez sad, lecz zanim skręciliśmy do lasu, nie mogliśmy przejść obojętnie w pobliżu kościoła. Moja siostra bez słowa skierowała swoje kroki do głównego wejścia i na chwilę zatopiła się w modlitwie. Idąc w jej ślady mogłem się przekonać, że rzeczywiście nie tylko świątynia jest otwarta o tej porze, lecz przed ołtarzem klęczy sześć osób, które mają swoją godzinę adoracji. Nie mam powodu, by nie wierzyć mojemu bratankowi, że podobna adoracja jest we wszystkich kościołach świata... Wśród adorujących był nawet, mimo tak wczesnej pory, jakiś chłopiec. Na myśl przyszła mi rozmowa z 11-letnim chłopcem, oczywiście w Starym Świecie, na temat „bardzo nudnej” – jak twierdził – Mszy świętej. Nudził się najbardziej tym, że we Mszy były chwile ciszy i nie wiedział, czym je wypełnić...

W przedsionku, w którym zostawia się obuwie, zwróciła moja uwagę bardzo długa tablica ogłoszeń. Korzystać z niej może każdy, kto ma jakieś pytanie, sprawę do załatwienia, prośbę o pomoc, ale też sam chce komuś okazać pomoc, czymś się podzielić, sprawić radość. Pod większością nazwisk i adresów widniały numery VF, wielocyfrowe. Aldona wyjaśniła, że to wideofony, będące w powszechnym użyciu, pracujące w sieci dzięki satelitom. Po szcze-

góły techniczne odesłała mnie do Rafała.

Gdy wyszliśmy, górny rąbek tarczy słonecznej ukazał się już nad dalekim lasem po drugiej stronie doliny, zalewając swą czerwienią i złotem niebo i pierzaste chmurki na nim. Wszystkie ptaki, i te na drzewach sadu, i polne, i leśne, ze wszystkich sił kontynuowały swój wspaniały koncert na cześć Stwórcy.

Ponieważ jedna z ławek przykościelnych zwrócona była w stronę słońca, przysiedliśmy na niej na kilka minut, chłonąc piękno zawarte w barwach i dźwiękach otaczającej nas przyrody. Chwila ta nappełniła nas duchową energią i radością.

Gdy ruszyliśmy dalej, już po kilku krokach wskazałem Aldo-
nie mobil, który zawisł nieruchomo nad drzewami.

– To częsty u nas widok, nikogo nie dziwi. Pamiętasz sąsiadkę Tatjanę, w naszym wieku? Tak bardzo lubi wschód słońca i głosy ptaków, że o tej porze lubi siedzieć w mobilu ponad wierzchołkami drzew. Mówi, że to dla niej najwspanialsza modlitwa. Zresztą i ptaki ją lubią – ma w sobie coś takiego, że gdzie się pokaże, zlatują się do niej, siadają jej na ramionach, na rękach...

– Chociaż dokarmiania chyba nie potrzebują...? Myślę, że nawet zimą, skoro klimat się ocieplił...

– Masz rację, dokarmiać ptaków nikt nie musi, są jednak ludzie, którzy, jak Tatjana, tak bardzo je lubią, że karmią je niezależnie od pory roku. Słyszałam od niej, że mają wstęp do jej domu, do kuchni – na przykład wróble – wcale nie boją się ludzi. Ale zobacz! Widzisz tę pliszkę...?

Spojrzałem ze zdumieniem na tego małego ptaszka, którego wcale nie płoszyło nasze przejście: siedział na gałązce tuż przy naszych głowach i śpiewał, zapatrzony w wyłaniającą się tarczę słońca. Dobrze pamiętam, że dawniej pliszki były bardzo płochliwe, z byle powodu wyrażały swoje zaniepokojenie, szybko i nerwowo machając ogonkiem...

Szliśmy ścieżką wśród łąnów pszenicy, która już miała doro-

dne młode kłosy.

– Zaraz, zaraz – zdumiałem się – tutaj pszenica, i to tak bujnie rośnie?! Pamiętasz, jak na tym polu nic nie chciało rosnać? Ja przynajmniej pamiętam taki rok, kiedy tutaj na jednym polu gospodarz zostawił ugór po zbożu, a za miedzą inny gospodarz posiał zboże i posypał je – tak przypuszczam – nawozem sztucznym. I co się okazało? Szło się ścieżką przez bujne wysokie zboże, choć miejscami trochę rzadkie – przez to, które samo się wysiało – i wchodziło się w zboże niziutkie, może półmetrowej wysokości, o małych kłoskach – właśnie w to posiane przez człowieka! W nielicznych miejscach strzelały kępki zboża wysokie i dorodne, widocznie tam, gdzie nawóz mineralny nie dotarł. Takie to było sianie!

Nazwałem wyżej las, do którego teraz wybraliśmy się, tajemniczą krainą naszych dziecięcych zabaw. Dawniej znałem tu każdą ścieżkę, a nawet, już od dziecka, brałem udział w sadzeniu drzew. Była to praca dość żmudna i nie warta zachodu, gdy trafiła się sucha wiosna. Dziwiłem się wtedy, jak to może być: drzewa, które wyrosły same z nasion, padających na twardą ziemię, tak pięknie i szybko rosną, a sadzonki człowieka, mimo lepszych warunków, przyjmują się niekiedy z wielkim trudem...

Nikogo zapewne nie zdziwi, że teraz chciałem najpierw zobaczyć tamte zasadzone przez siebie drzewa, lecz tak bardzo wszystko się zmieniło, że trudno było do nich trafić! Aldona jest mi świadkiem, jak wiele dzisiaj w tym lesie wychodziło z moich ust okrzyków pełnych zdumienia.

– Te sosny mogą mieć najwyżej sześćdziesiąt lat, a wyglądają na stuletnie! A ten dąb u zbiegu dróg, na którym zawsze o świcie śpiewały słowiki... co za olbrzym z niego wyrósł! Tu widać, jak wszystko, po Wielkim Oczyszczeniu, rzuciło się do rośnięcia! Musisz mi pomóc znaleźć nasz las, niczego nie poznaję!

– „Nasz”? – uśmiechnęła się moja siostra... – No tak, ty jesz-

cze żyjesz w Starym Świecie! Teraz wszystko jest „nasze”, czyli wspólne! O, zobacz, to ślad po ścieżce, którą wchodziliśmy wtedy do lasu, a tam... jeszcze trochę dalej... droga na cmentarz, ta którą jeździli ludzie wozami konnymi, gdy jeszcze nie było wybrukowanej szosy. A ta szeroka przecinka prowadzi na ugor między pasami zasadzonego lasu...

– A za nami (obejrzałem się) – prosto przez pola do kościoła! Czyżby ludzie z kościoła tędy chodzili do lasu?

– Chodzą, i to nawet niektórzy codziennie. Ale to niespodzianka... Czy pamiętasz, jak w tym ustroniu myślałeś o powieszeniu na drzewie kapliczki? Rozum podpowiadał, że nie powisi nawet jednego dnia, tylu mieliśmy „młodych gniewnych”, zbuntowanych przeciwko wszystkim i wszystkiemu, nie umięających uszanować żadnych wartości. Ale teraz stało się to możliwe i ktoś poszedł za twoją myślą. Nie tylko tobie podobało się to miejsce...

Tak rozmawiając, doszliśmy do... pierwszej „niespodzianki”. Jak się okazało, była to, zawieszona na sośnie, ostatnia stacja Drogi Krzyżowej! Rzeczywiście moje zaskoczenie było wielkie. Poszliśmy w dół, mijając kolejne stacje, misternie rzeźbione w grubych balach drewnianych, polichromowane, każda z daszkiem i podpisem. Wydeptana była wzdłuż nich już nie tylko ścieżka, ale cały szeroki pas, świadczący o modlitwie całych grup ludzi w tym pięknym zakątku. Do kościoła nie było stąd daleko, najwyżej dwieście metrów, więc łatwo było tu dotrzeć.

– Wczoraj byłeś w Godzinie Miłosierdzia w kościele i widziałeś, że było tam sporo ludzi. Ale o tej porze jest ich nie mniej właśnie tutaj. Przychodzą całymi rodzinami. Mamy dużo pięknych rozważań, przystosowanych do każdego wieku. Ta Droga Krzyżowa zakręca tam, za tamte drzewa, i jest dość długa, więc nikt nikomu nie depcze po piętach. W niektóre dni przychodzi tu cała parafia.

Postanowiłem, że nie będę tylko widzem i przyjdę tutaj o in-

nej godzinie na modlitwę. Na razie ruszyliśmy w głąb lasu, w kierunku cmentarza. I tu również czekało mnie wiele niespodzianek. Najpierw była nią sama droga, na którą zwróciłem uwagę:

– Jak tu się wszystko zmieniło! Jak tu czysto! Pamiętasz te czerwone tablice z napisem: „Wysyp śmieci wzbroniony”, a przy nich – sterty śmieci?! To właśnie w tym miejscu pewien brudas i egoista wywalił na drogę cały swój śmietnik! Trzeba było chodzić po jego gruzie, żużlu z pieca, potłuczonych naczyaniach... Jakiś początkujący detektyw łatwo mógłby trafić na ślad jego, a nawet jego rodziny, na przykład po szczoteczce do zębów, po kawałku grzebienia... Może był łysy, a tego grzebienia używała jego żona...? Trzeba było potykać się o jakieś puszki, pudełka po margarynie – to wszystko wywiózł w sam środek naszego lasu! Może przy tym wydawało mu się, że zrobił „bardzo dobry uczynek”, skoro trochę te śmieci rozgarnął...

– O tak, dobrze to pamiętam. Sama nie wiem, w jaki sposób to wszystko zniknęło, czy ktoś nad tym pracował... Drogi i ścieżki, jak widzisz, pozostały, chociaż las jest taki wysoki i gęsty. Dużo ludzi tu przychodzi, i jest po co: konwalie, maliny, jeżyny, dużo grzybów... Gdy byliśmy dziećmi, też było ich dużo, ale potem poszycie lasu wyschło, ludzi było coraz więcej, a grzybów coraz mniej. Bołączką Starego Świata był ciągły brak wody, którego teraz nie odczuwamy. Czy pamiętasz strumyk, który dawno temu płynął za cmentarzem?

– I co, teraz znów płynie...?

– Oczywiście, dopływa aż do rzeki, a w miejscu dopływu są mokradła, których kiedyś nie było. Może dotrzemy tam dzisiaj.

– Ścieżki są tak wydeptane, jakby często tędy ktoś chodził. Pewno na cmentarz...?

– No właśnie. Pod koniec starej epoki prawie zupełnie zarosły, bo ani nikomu nie chciało się spacerować po lesie – ludzie siedzieli z nosem w telewizorze – ani nie było na to czasu –

wskakiwało się do samochodu, byle szybciej. Na cmentarz też. Nie mówiąc o tym, że młodzi woleli omijać cmentarze... Za to sataniści – chodzili, by niszczyć krzyże i nagrobki!

– A pamiętasz zdjęcia, które robiłem w tym właśnie miejscu? Czy jeszcze wiszą w domu? Było na nich kilka pięter lasu – od chwastów i krzewów aż po ścianę starych lip, a pośrodku młode brzoźki. Jakie to teraz potężne brzozy! A na tej drodze robiłem ci zdjęcia na nartach. Ściana lasu przypomina puszcę, nawet te powalone stare pnie...

– Co, może myślałeś, że ktoś tu teraz przychodzi po drzewo na opał, żeby przetrwać zimą...? – Aldona uśmiechnęła się. – Ani nie ma takich zim jak dawniej, z wielkimi mrozami, ani pieców, w których trzeba by było palić!

– A kominki?

– To jedyne, co pozostało z tamtych czasów. Bardzo lubimy siedzieć przy ogniu. Są nawet domy, w których na ruszcie komin-ka wszystko się gotuje...

– Prawdziwy ogień nadaje podobno potrawom szczególnie smak i wartość, tak twierdzą Chińczycy. Czy jeszcze gotujesz chińską zupę, jak dawniej, w pięciu elementach?

– To była niesamowita mieszanka! Można było do niej wrzucić wszystko, co było w domu do jedzenia, oczywiście w odpowiedniej kolejności. Teraz nie bawię się w takie gotowanie, wszystko i bez tego jest zdrowe dla człowieka. Po co zresztą godzinami dreptać przy kuchni...?

– ...Wszystko jest zdrowe...? A weźmy, na przykład, cukier? W Starym Świecie większość ludzi nie potrafiła się bez niego obejść... Pamiętasz mój artykuł o jego trujących właściwościach?

– O, dobrze pamiętam! „Ogromna siła trucicia dwusiarczyny zawartego w cukrze, a pochodzącego z rafinacji”... Mimo twoich „wykładów” trudno było ludziom, nawet chorym, zrezygnować z tej trucizny, nie trafiała do nich informacja, że do rafinacji wsze-

dzie stosuje się wapno gaszone, kwas węglowy i kwas siarkowy. Wtedy całe koncerty walczyły ze sobą o rynek zbytu, reklamy budziły apetyt na cukier u dzieci, a odżywki dla dzieci już od niemowlęstwa wpędzały je w straszny nałóg... Ty nie podawałeś nigdy gościom cukru do herbaty czy kawy, zawsze miałeś dla nich miód, chociaż ja... – różnie to bywało, nie umiałam odmówić dzieciom cukierków ani czekolady. Teraz te problemy mamy już, na szczęście, za sobą!

– Czyżby już nikt nie uprawiał trzciny cukrowej ani buraków cukrowych...?

– Mamy dużo miodu... Ale jeszcze i buraki się uprawia, i trzcinę, tylko nie ma na świecie cukrowni.

– To po co się je uprawia?

– Czy pamiętasz, jak próbowałeś kiedyś kogoś przekonać, że wcale nie trzeba zamykać cukrowni, lecz inaczej je wykorzystać? Wtedy nikt nie chciał ciebie słuchać, ale teraz ludzie zmądrzeli i sami się przekonali, że odparowany syrop buraczany i trzcinowy, bez żadnej chemicznej obróbki, jest bardzo zdrowy.

– A aspartam? Czy czytałeś o nim? Nie...? Ten sztuczny słodzik, aż 180 razy (w stosunku wagowym) słodszy od cukru, wynaleziony został w USA w 1965 roku, a pojawił się w sprzedaży w USA w 1982 roku, chociaż testy szkodliwości wypadły bardzo niepomyślnie. Pamiętam dość dobrze, bo śledziłem ten problem, że u siedmiu małych noworodków, którym podawano ten środek w mleku, jeden zdechł, a u pięciu pojawiły się objawy padaczki. Kolejne badania wykazały, że aspartam powoduje guzy rakowe mózgu u myszy. Amerykański Urząd do Spraw Żywności i Leków (FDA) opublikował listę aż 92 objawów zatrucia ludzi przez aspartam. Były wśród nich: astma, rak mózgu, niewydolność płciowa, drgawki, uszkodzenie wzroku, tydzień, chroniczne zmęczenie, a nawet zgony, a mimo to, pod silnym naciskiem polityka Donalda Rumsfelda, właściciela firmy, w której wynaleziono

aspartam, za aprobatą rządu Urząd (FDA) dopuścił ten słodzik do powszechnego użytku. To było diabelstwo! Chorzy, których ostrzeżono przed trującym działaniem rafinowanego cukru, przechodzili na aspartam, a potem, nawet dość szybko i sprawnie... na tamten świat! I do tego wierząc, że uniknęli trucizny...! A zażywali ją w tak zwanej „zdrowej żywności”, w mnóstwie środków spożywczych, napojów, a nawet leków...

– Szczegółów nie znam, zaledwie obito mi się to o uszy. Jak to dobrze, że przeminęło już to „diabelstwo”, jak je nazwałeś. Ludzie teraz nie ustępują zwierzętom, jeśli chodzi o wycucie tego, co im szkodzi lub sprzyja, po prostu otrzymali od Boga jakby instynkt ostrzegający ich przed zagrożeniem. Może mieli go i dawniej, przynajmniej niektórzy (Indianie nad Amazonką?), lecz na ogół był ukryty i niewykorzystany przez odejście daleko od natury i jej praw. Co ja mówię: „odejście” – przecież to było życie wbrew naturze, niszczenie jej! Czy pamiętasz, jak próbowaliśmy psy nakarmić kaszą kukurydzianą? Nawet głodne, wcale nie chciały jej ruszyć! Wtedy na własne oczy mogliśmy się przekonać, co to jest „żywność genetycznie zmodyfikowana”, o której tyle się słyszało! Czy świnię by ją jadły, tego nie wiemy, lecz o ludziach krążyło powiedzonko: „Człowiek nie świnia, wszystko zje”...

– Tak było! A inne „diabelstwo”, jakim były papierosy...? Mówiło się tylko o „nałogu”, ale nieliczni zdawali sobie sprawę, że uzależnienie od setek trucizn zawartych w dymie, a więc powolne samobójstwo, to potężne zniewolenie szatańskie! Czy pamiętasz, jak w pewnej kaplicy ksiądz egzorcyzmował kobietę palącą papierosy...? Jak diabeł nią miotał, wzbudzał strach, odczucie zimna, a w końcu odebrał jej przytomność?

– Dobrze ten fakt pamiętam! Ksiądz rozkazał duchom nikotynizmu, żeby opuściły tę kobietę. Pytasz, jak jest teraz... Jestem pewna, na sto procent, że możesz podróżować po całym świecie, a nigdzie nie spotkasz człowieka palącego!

– Jak to się stało? Od razu po Wielkim Oczyszczeniu wszyscy przestali palić? Nie było przecież środków łączności, artykułów ani wykładów na ten temat...

– Od razu, w jednej chwili! Gdy ukazał się wszystkim Chrystus w otwartym niebie, dał też każdemu poznać, jak widzi jego życie, i to w najdrobniejszych szczegółach. Czy możesz wątpić, że i ten problem ukazał w dostatecznie jasnym świetle?; podobnie pijaństwo, narkomanie, seksomanie i wszystkie inne „manie”, ze służbą mamonie włącznie.

– I co, od razu wszyscy się nawrócili pod wpływem tej wizji, tego duchowego wstrząsu...?

– Tak można powiedzieć. Ale z nałogami i zniewoleniami to nie taka prosta sprawa! Wprawdzie w pierwszej chwili wszyscy, pogrążeni w najgłębszym żalu, postanowili poprawę, ale Bóg zastosował pół roku „kwarantanny”, albo inaczej próby wytrwania w tym postanowieniu. No i tu zaczęła się straszna walka ludzi ze swoimi słabościami, a z ludźmi – walka mocy piekielnych! Piekło chciało odzyskać utracone pozycje i wpadło w niesamowitą wściekłość, wykorzystując nawet cień swoich możliwości...

– A czy mogłabyś zdradzić mi coś ze swoich osobistych przeżyć, które towarzyszyły Ostrzeżeniu...? To był ten pierwszy etap Oczyszczenia, prawda?

– To wspomnienie jest czymś tak osobistym, intymnym, że trudno o tym mówić... (Aldona szła przez dłuższą chwilę zapastrzona w ziemię, a może w głąb siebie, milcząc). Skoro jednak tak bardzo ci na tym zależy... Ale przecież ty sam przeżywałeś coś podobnego?

– Tak, w czasie nocnej modlitwy. Chociaż było to przeżycie wstrząsające i miałem wrażenie, że stało się ono udziałem wszystkich ludzi Ziemi, jednak doświadczyłem go tylko w sobie... Zdawało mi się, że nie tylko ja sam, ale i wszyscy moi bliscy stanęli na sądzie Bożym, lękałem się...

– To chyba jednak nie było to samo, gdyż Ostrzeżenie przeżywał każdy w taki sposób, jakby tylko on jeden żył na świecie. Najpierw była to wizja wspaniała i pocieszająca, przynajmniej dla mnie, gdyż zobaczyłam Chrystusa, otoczonego nieprzeliczonym rojem aniołów jak złotym pyłem. Poznałam Go wtedy jako Miłość nieskończenie miłosierną, zatroskaną o mój los, o najmniejsze szczegóły mojego życia. Następnie spojrzałam na siebie jakby Jego wzrokiem – i to było coś strasznego, czego ci na pewno nie opiszę żadnymi słowami! Było to dogłębne poznanie całej przebytej już przeze mnie drogi życia, a zarazem niesamowicie bolesne zestawienie tego, co było... no tak, trzeba by użyć takiego obrazu: coś jak w dwukolumnowej tabeli – tego, co było „po stronie Boga”, a następnie moja odpowiedź na to lub kompletny jej brak, a więc to, co było „po mojej stronie”... Powiedziałam: „bolesne”, ale żadne słowo tego nie odda. To był niesamowity żal, wstyd, powalenie w proch, chęć zapadnięcia się pod ziemię!

– Czy długo to trwało?

– Prawdę mówiąc – nie wiem... Mogło to trwać ułamek sekundy albo kilkanaście minut, ale mnie się zdawało, że to trwa całe wieki! I na koniec coś, co może było nie mniej bolesne, ale niosło w sobie ogromną chęć naprawienia wszystkiego, zadośćuczynienia zlekceważonej Miłości, choćby trzeba to było robić w ekstremalnie trudnych warunkach i bez względu na upływ czasu. Wyobraź sobie, że znalazłam się... w czyśćcu, w tym właśnie miejscu, które mi się w tej chwili należało!

Moja siostra wypowiedziała ostatnie słowa łamanym głosem, a potem na dłuższą chwilę zamilkła. Nie wróciła już do osobistych wynurzeń:

– Więcej już nic ci nie powiem, bo to przekracza moje możliwości. Z rozmów z ludźmi wiem, że mieli podobne przeżycia. Były nawet wśród nich osoby, które znalazły się wtedy... w piekle! Ktoś uchodził za osobę dobrą i pobożną... Wydaje mi się, że

zataił jakiś grzech i całymi latami go nie wyznawał. A mogło być i tak, że ze wstydu wyznał ten grzech w sposób niejasny lub ogólnikowo, a potem o tym zapomniał...

– No tak, mógł to być efekt spowiedzi i komunii świętokradzkich! Diabeł mieszkał w takiej duszy, lecz nawet nie wiadomo, na ile ten ktoś zdawał sobie sprawę ze swojego stanu! Ale powiedz mi, czy po tym Wielkim Ostrzeżeniu było tak jak niektórzy zapowiadali: ustawiły się kilometrowe kolejki do spowiedzi wszędzie, gdzie tylko znaleziono księdza?

– Tak, to się potwierdziło. Księża padali ze zmęczenia, nawet niektórzy umarli z wycieńczenia, ale nie mieli innego wyjścia. Czuli, że waży się wieczny los dusz i oni nie mogą zawieść.

– Powiedziałaś, że Bóg dał ludziom „pół roku próby”, a co było potem...?

– Możesz się domyślić, że było właśnie to, co znaleźmy z objawień w Garabandal: próba zakończyła się cudem – wizją świetlistego krzyża z czerwonymi smugami światła, wychodzącego z miejsc ran Chrystusa. Krzyż wkrótce zniknął, ale pozostały „słupy dymu”, które zapowiadał prorok Joel w Piśmie Świętym.

– I są do dzisiaj?! Miały być niezniszczalne do końca świata!

– Oczywiście że są. W dzień przypominają rzeczywiście słupy dymu albo mgły o niebotycznej wysokości, a w nocy nieruchome smugi ognia i światła. Na pewno wybierzesz się w podróż, więc będziesz mógł je zobaczyć w kilku miejscach na świecie.

– No dobrze: „Ostrzeżenie”, „Cud” i... pozostała już tylko... „Kara”!

– Czuję, że zechcesz teraz ze mnie wyciągać, na nowo rozgrzebywać, tamte straszne i bolesne wspomnienia! Wcale nie mam na to ochoty, a na pewno nie dzisiaj. Zresztą mogę dać ci dobrą radę. Jeżeli piszesz książkę dla ludzi Starego Świata i chcesz ich przygotować do wejścia w Nowy, to lepiej pomiń samą Karę Oczyszczającą...

– Tak zupełnie mam pominąć, wcale o niej nie pisać...?!

– Całkiem pominąć jej nie możesz, ale z tym opisem nie przesadzaj. Wydaje mi się, że wystarczy napisać o jej skutkach: o tym, jak zmieniła się mapa świata... (zamyśliła się na dłuższą chwilę) ...no i o ludziach, którzy po Karze zostali na ziemi...

...Przychodzi mi w tej chwili na myśl taki obraz: chory na raka żołądka, z wielkim guzem w brzuchu, szykuje się do operacji – ten pacjent to Stary Świat. Przychodzi pomocnik chirurga i zaczyna opowiadać o szczegółach operacji – w naszym wypadku mającej nadejść Kary. Maluje przed oczyma nieszczęśnika uciążliwość dokładnego płukania jelit, obraz rozcinania powłoki brzusznej, rozsuwania jelit, rozcinania żołądka i wycinania guza, oczywiście wraz z częścią żołądka, potem zszywania... Mówi o konieczności odżywiania kroplówką przez pierwsze dni po operacji, a na końcu dopiero... pociesza pacjenta, że jeśli wszystko się uda, a nawrotów choroby nie będzie, ma szansę na powrót do zdrowia! I powiedz mi: po co to wszystko, jaki to ma sens? Czy to pomoże pacjentowi? Czy z takim opisem „operacji”-Kary twoja książka będzie naprawdę „krzepić serca”?!

Istnieje zresztą taki opis, chyba wystarczająco szczegółowy – to ten, który dał nam Chrystus. Wystarczy – tak myślę – jeśli uświadomisz ludziom, że to, co napisali na ten temat Ewangelisci, wcale nie odnosiło się do samego końca świata, jak błędnie sądzono przez tyle wieków, lecz właśnie do tej Kary Oczyszczającej, przez którą przeszedł świat. Wystarczy, jeśli napiszesz, że zapowiedzi Chrystusa wypełniły się co do joty – ludzie nawet *mdleli ze strachu w oczekiwaniu wydarzeń, zagrażających ziemi*. Reszty ludzie dowiedzą się sami i przeżyją na własnej skórze. Teraz nawet nie chcieliby może o tym czytać, powiedzieliby o tobie: o, jeszcze jeden więcej katastrofista i prorok zagłady...

– Dzięki, Aldono! Czuję, że twoja sugestia jest słuszna, a ten twój „opis operacji przed operacją” trafia do mnie! Możliwe, że

spotkam jeszcze kogoś, kto na ten temat zechce rozmawiać, a jeśli nie – niech zostanie „biała plama”...; może zresztą „szara”, bo przecież niektóre wydarzenia dadzą się łatwo poznać po ich skutkach. Jeżeli nawet nie opiszę, na przykład, samego Wielkiego Trzęsienia Ziemi, lecz tylko niektóre spowodowane przez nie zmiany na mapie świata, czy to nie wystarczy...?

– Oczywiście. Nawet tutaj, gdzie nigdy dawniej trzęsień nie było... Czy nie zauważyłeś, że idziemy pod górę...?

– Tak wszystko zarosło, że nie zwróciłem uwagi, zresztą zamysliłem się... Rzeczywiście! Czy wiesz, co mi to przypomina? W swoich „snach-wizjach” oglądałem jakieś wzniesienie... Szedłem na południe od naszego sadu, w głąb lasu, i dochodziłem do wysokiej góry, z której dużo ludzi zjeżdżało na nartach...

– To się właśnie stało, a więc to nie był sen. Tylko co do tych nart... – rzadko teraz spada tyle śniegu, żeby na nich pojeździć, no i śnieg krótko leży. Mam nadzieję, że i do góry jeszcze dojdziemy, ale najpierw chodźmy na cmentarz.

Ostatni stumetrowy odcinek drogi przeszliśmy w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Gdy weszliśmy w bramę cmentarną, czekała mnie kolejna niespodzianka: nie mogłem poznać tego miejsca! Dawnym gospodarzom przeszkadzały drzewa i krzewy, więc ogołocili z nich znaczną część cmentarza, lecz teraz... tonął w zieleni krzewów, pachniał i cieszył oko jak międzynarodowa wystawa kwiatów! Mimo środka tygodnia na grobach płonęło mnóstwo zniczy, a same groby... – to były cuda sztuki kamieniarskiej, rzeźbiarskiej, malarskiej, a nawet – być może – jubilerskiej! Wiele grobów było małymi pięknymi kaplicami, z witrażami albo firankami w okienkach. Ileż w tym smaku, ale przede wszystkim... serca – pomyślałem. Aldona stwierdziła jednak, że to widok najzwyczajniejszy, wszędzie na świecie jest podobnie i nikogo to nie dziwi.

Przy bramie widniała tabliczka z napisem: „Cmentarz znajdu-

je się pod opieką Ś.W.C. przy parafii...” (poniżej – nieodłączny numer wideofonu). Aldona podała mi rozwinięcie tego skrótu: „Świeccy Wspomożyciele Czyśćca”. Skierowaliśmy kroki do grobu rodziców, pogrążając się przy nim w modlitwie, a następnie zagłębiliśmy się w alejki, odczytując jakże wiele znajomych nazwisk, oglądając zdjęcia. Gdy już nacieszyłem oko pięknem tego miejsca oraz promieniowaniem miłości, która, niewątpliwie, kazała ziemianom w ten sposób troszczyć się o zmarłych, usiedliśmy na ławeczce i popłynęła przyciszona rozmowa.

– A więc nie pomyliłem się, mówiąc kiedyś, że w czasie Wielkiego Oczyszczenia ten cmentarz zajmie całą dolinkę i sięgnie aż pod las...

– Pamiętam to twoje „proroctwo”, dokładnie się wypełniło. Pochowano tu także wielu ludzi z miasta, bo tam zabrakło miejsca, nawet na groby zbiorowe. Ale tego strumienia, płynącego przez cmentarz, nie przewidziałeś...

– On płynął środkiem dolinki, ale tylko wiosną w czasie roztopów i na jesieni po długotrwałych deszczach. Teraz musi mieć swoje źródło...? Ale powiedz mi, kto wyrzeźbił w granicie ten „łuk tryumfalny” i figurę na naszym grobie rodzinnym?

– Znałeś go, rzeźbił dla różnych parafii, a potem miał zakład pogrzebowy. Teraz dobrze wykorzystuje swoje zdolności. Pewno trudno ci będzie uwierzyć, ale ani on, ani inni tu pracujący nie traktują swojej pracy jako źródła dochodu, lecz jako uczynek miłosierny względem dusz czyśćcowych. Należą do świeckiej gałęzi zakonu Wspomożycieli...

– Aha, do tego „Ś.W.C”... Cóż to za zakon? Pewno z tych najnowszych...?

– Wprost przeciwnie – z tych starych! Powstał już w XVII wieku w Polsce i nie wykroczył wtedy zbyt daleko poza jej granice. Założył go człowiek, który miał łaskę duchowego obcowania z czyśćcem, Stanisław Papczyński. Pełna nazwa to Zakon Niepo-

kalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Dziewicy Wspomożycieli Dusz Czyśccowych. Miał piękną, ale i skomplikowaną historię, musiałabym ci zrobić cały wykład na jego temat. Krótko mówiąc, Zakon został skasowany przez cara z dwóch powodów: za to, że jego białe habity z niebieskim pasem przypominały dogmat o Niepokalanym Poczęciu Maryi i objawienia w Lourdes, jak też za modlitwy w intencji poległych w obronie ojczyzny...

– No tak, rozumiem, Rosja połknęła Polskę i nie mogła znieść modlitwy za jej obrońców, a jako prawosławna – „katolickiego” dogmatu!

– Właśnie. Teraz jednak, w Nowym Świecie, zakon ten błyskawicznie się odrodził i ogarnął cały świat – nawet chyba nie ma takiej parafii, w której nie byłoby Wspomożycieli.

– „Musiałabyś mi zrobić cały wykład”... Czyżbyś i ty do niego należała?!

– Zgadłeś! I w naszej parafii jest bardzo prężny. Trzy jego gałęzie: męska, żeńska i świecka są najliczniejszym zakonem w świecie. Przecież dobrze wiesz, że ostatnio czyściec zapełnił się już nie tylko milionami, ale miliardami dusz, więc potrzebuje licznych wspomożycieli.

– Interesuje mnie ten temat! Czy masz jakąś książkę o tym zakonie?

– Jest nie jedna, i to w różnych językach. I o zakonie, i dla zakonu.

– Czy chodzi tu o jakieś surowe pokuty, długie modlitwy...?

– Wolałabym teraz nie poruszać tego tematu. Mamy swoją własną duchowość, opartą na wielowiekowej tradycji, ale także na współczesnych objawieniach dusz czyśccowych. Jest niemało ludzi na świecie, którzy mają od Boga dar obcowania z czyścem, więc chyba się nie zdziwisz, że i oni mają wpływ na nasze praktyki. Ale te praktyki to nie biczowanie ani średniowieczne owijanie się koczastymi łańcuszkami. Miłość do bliźniego, tego potrze-

bującego pomocy w czyśćcu, ma rzutować na całe nasze ziemskie życie. Tyle na razie powinno ci wystarczyć. Mógłbyś się wybrać do jakiegoś klasztoru Wspomożycieli albo Wspomożycielek, dobrze by ci to zrobiło...

Cisnęły mi się na myśl różne pytania, ale przysiadł się do nas znajomy z osiedla, więc musiałem zamilknąć. Okazało się, że jest o kilka lat od nas młodszy i dobrze mnie zna. Mnie trudno było go poznać, tak się zmienił. Pamiętałem go jako bezrobotnego alkoholika, bardzo biednego ale nie okradającego innych. Zbierał puszki po piwie, żeby móc kupić papierosy i piwo i uraczyć się. Był chwiejącym się wrakiem, młodym staruszkiem... Teraz wyprzystojniał, wyprostował się, odmłodził – jak nie ten sam człowiek! Powspominaliśmy znajomych, których ciała spoczywają na tutejszym cmentarzu, a zakończyliśmy rozmowę wspólną modlitwą przy grobie jego rodziców, pięknie utrzymanym, zanurzonym w kwiatach.

Wiosna napełniła mnie taką energią, że mogłbym chyba iść bez zmęczenia dziesiątki kilometrów. Widziałem, że i Aldona nie ma zamiaru oszczędzać nóg, więc wróciliśmy do lasu, kierując się teraz w stronę przeciwną.

Znałem kiedyś tę drogę, upodobali ją sobie ludzie ze wsi, by jej pobocza zasypywać śmieciami, i to mimo tablic ostrzegawczych. Teraz bujna roślinność zagłuszyła wszystko. Z puszystych dywanów mchu wyłaniały się nie tylko gęste zarośla, ale i jakieś pnącza, przypominające podzwrotnikowe liany, i wspinały się aż na czubki drzew. Gdzieś tam połacie zrytej ziemi świadczyły o obecności zwierząt, może dzików. Dość głośne trzaski gałęzi w głębi lasu zaczęły napawać mnie lękiem, lecz gdy próbowałem nasłuchiwać i rozglądać się, moja siostra nie mogła powstrzymać się od śmiechu – wciąż byłem niepoprawnym przybyszem ze Starego Świata! Musiała przypomnieć mi prorocstwo Izajasza, dla którego symbolem tych nowych czasów było wkładanie przez

dziecko ręki do kryjówki zmii.

Często mijaliśmy jakieś ptaki, które przyglądały się nam ciekawie, wcale nie spłoszone naszą obecnością, nawet gdy byliśmy bardzo blisko. Rozpoznałem nieruchomą posępną sowę uszatkę i czujną dzierzbę. Także sójki, które kiedyś były utrapieniem myśliwych, gdyż głośnym chrapliwym wrzaskiem reagowały na każdy ruch w lesie i płoszyły zwierzynę, teraz siedziały ciche i spokojne. Para dzikich gołębi grzywaczy, z charakterystyczną białą plamą na szyi, czyściła dziobami swoje pióra, nie zwracając na nas uwagi, a szpaki wprost kręciły się koło naszych nóg.

Za chwilę znaleźliśmy się nad strumykiem i poszliśmy jego brzegiem. Teren, kiedyś nizinny i płaski, teraz jakże bardzo się zmienił. Trzęsienie ziemi wypiętrzyło ogromną, jak na te okolice, górę, którą porósł gęsty las. To właśnie tę górę oglądałem jako dziecko, brakowało tylko śniegu, by obraz był pełny...

Strumyk po dwóch kilometrach rozlał się szeroko, a na jego brzegach było trudne do przebycia trzęsawisko. Sterczały z niego pnie drzew, obgryzionych i powalonych przez... bobry! Widziałem kiedyś te zwierzęta tylko w zoo i na zdjęciach, a teraz – tu, w naszym lesie! Także tutaj próbowały utworzyć coś w rodzaju małej tamy, choć pewno nie było to łatwe. Gdy już zdawało mi się, że za chwilę zobaczę jedno z tych zwierząt, z poruszającego się błota wynurzyła się... głowa żółwia!

– Zobacz, zobacz, żółw błotny!! Czytałem kiedyś w przewodniku, że już tylko w kilku miejscach naszego kraju ocalały te zwierzęta, ale tutaj...?!

– Stare przewodniki są już naprawdę stare, wszystko się zmieniło. Nie tylko mapa naszej okolicy, ale całego świata!

– Wiem już o tym, ksiądz Leopold miał mi pokazać, ale nie doszliśmy do mapy. Czy dużo tu jest tych żółwi?

– Kto to może wiedzieć? Czy myślisz, że po świecie uganiają się teraz całe grupy uczonych, geografów, opisywaczy fauny

i flory?! Że ktoś liczy, fotografuje, klasyfikuje? Nic z tych rzeczy! Komu by to miało służyć? Kiedyś – owszem, ludzie kierowali się hasłem: ratujmy od wymarcia, zachowajmy dla następnych pokoleń. To już przebrzmiało, chyba na zawsze. Dla nas też przyroda jest środowiskiem życia, ale najbardziej cenimy ją sobie przez to, że kieruje naszą myśl ku Stwórcy, który dla nas wszystko podtrzymuje w istnieniu.

– Masz rację – Bóg zawsze na pierwszym miejscu! W takim pięknym zakątku jak ten... może u podnóża tamtej góry... albo na szczycie! – dlaczego tu nikt nie mieszka...? Teraz, kiedy nic nikomu nie grozi, czy nie mogliby tu mieszkać pustelnicy?!

– Wiedziałam, że o to zapytasz (może raczej wyczułam), więc nic ci nie mówiłam... Za rzeką możemy odwiedzić jednego z nich, jeżeli tylko zastaniemy go w domu.

Weszliśmy na mały betonowy most, pamiętający jeszcze Stary Świat. Tak mocno nadwerężony został przez trzęsienie ziemi, że miejscami pozostały same druty zbrojenia. Poziom rzeki podniósł się bardzo, szumiała na niewielkim progu. Ponieważ był upał, poczułem nagle pragnienie, więc zeszedłem nad samą wodę, by je zaspokoić. Znałem już smak tej wody, gdyż piłem ją, siedząc z Anaelem w kajaku. Teraz wydała mi się o wiele smaczniejsza. Polałem nią sobie głowę, z rozkoszą zanurzyłem na chwilę ręce i nogi.

– Może masz ochotę na małą przekąskę? – usłyszałem z góry pytanie. Widocznie Aldona przewidziała, że możemy być długo w drodze, i zaopatrzyła się w owoce. – Jabłka, kiwi, figi – do wyboru!

Gdy spojrzałem na nią, z jakim „nabożeństwem”, powoli, wyciszona wewnętrznie spożywała dary nieba, od razu przypomniałem sobie wczorajszy obiad, więc zagadnąłem ją o to.

– Czy zawsze jecie w milczeniu? Tak jak wczoraj obiad...?

– Zawsze. Z gośćmi też, nie dziw się temu. Po prostu łączymy

pośilek z modlitwą. Jak ci to wyjaśnić... (na chwilę przymknęła oczy) ...Jest to modlitwa uwielbienia Boga za Jego dobroć i hojność, proste okazanie Mu wdzięczności. Do tego nie trzeba nawet słów, to się po prostu czuje w sercu. Ale żeby ta modlitwa w pełni nasyciała duszę, trzeba jeszcze objąć myślą, wyobraźnią, siedzących obok nas ludzi, a nawet całą kulę ziemską, i wypromieniować z serca ku wszystkim to co najlepsze: życzliwość, serdeczność, wdzięczność. Gdy jem na oczach Boga, pochylając się przed Nim z wdzięcznością, a jednocześnie myślę w ten sposób o ludziach, wiesz co się dzieje...? Przenika mnie tak potężna fala energii, miłości, chęci do życia, że gdybym nawet zjadła suchy kawałek chleba, czułabym się nasycona! Spróbuj tak jeść, a sam się przekonasz!

Wdzięczny byłem swojej siostrze za tę lekcję... „jedzenia po nowemu”! Spróbowałem dostosować się do jej wskazówek jedząc jabłko, ale jakoś niewiele mi z tego wyszło. Może dlatego, że już byliśmy w ruchu, a do tego trzeba unieruchomić swoje ciało...?

Droga, kiedyś wchodząca wprost w łąki, teraz musiała mieć swój nasyp, prowadzący w głąb lasu, będącego dawniej parkiem narodowym. Nie było tu już żadnych tablic informacyjnych ani ostrzegawczych, a droga kończyła się niewielką polaną, przypominającą parking. Dalej już tylko leśna głusza... Ale nie – Aldona bez wahania odnalazła ledwie widoczną wśród zarośli ścieżkę, która wyprowadziła nas na inną polaną, wprost na... domek pustelnika!

Musiałem unieść bezwiednie brwi, a może wyczytała w moich myślach zdziwienie, gdyż odezwała się pierwsza:

– Pewno się spodziewałeś, że to stara chata z sosnowych bierwion, kryta byle czym, a tu – dom z glinianych prefabrykatów, jak większość w naszych osiedlach! I dach nowoczesny, przepuszczający promienie słońca, latem izolowany błyszczącą folią...

– Dobrze mnie wyczułaś! I tu od strony południowej jest ta

folia, błyszcząca jak lustro... To już teraz wiem, dlaczego niektóre dachy tak błyszczały, gdy od strony jeziora zbliżaliśmy się do osiedla. Ale jak tu, w głąb gęstego lasu, przetransportowano tak ciężkie gotowe elementy?

– A mobil od czego? Teraz wszystko „spada z nieba”, drogi nie są konieczne. Rzeką też pływa się tylko dla przyjemności, w celach turystycznych.

– Chyba mi nie powiesz, że i pustelnicy poruszają się mobilami, mają w domach telewizję, wideofony...!

– Mogliby mieć, ale nie chcą, jak nasz brat Ivan...

– O, mój imiennik! W jakim może być wieku?

– Ma 35 lat, wygląda bardzo młodo. To chodząca radość, w stylu świętego Franciszka. Widuję go co niedzielę w kościele, a często na Drodze Krzyżowej. Ale chodźmy!

Dom okolony był miniaturowym płotkiem, wyglądającym na symboliczny, gdyż żadnej praktycznej roli nie mógł pełnić. W miejscu furtki było coś w rodzaju szlabanu: kij położony na dwóch podporach, przy czym jedna z nich była wysoka i miała sęk z uczepionym do niego drutem, poruszającym dzwonek. Aldo na pociągnęła za drut, ale nie było żadnej reakcji, cisza...

– Tego można się było spodziewać, przecież już zaczęły się czarne jagody. Gdyby nawet zresztą był, i tak nie odezwałby się ani słowem, gdyż podjął jako pokutę post milczenia.

– Cóż to takiego?! Wcale się nie odzywa?

– Tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne. Ale post milczenia to coś więcej niż niemówienie, bo przecież można równie dobrze mówić w myślach z zamkniętymi ustami. Kto ślubował milczenie, ma obowiązek wyciszyć także swoje myśli.

– To po co dzwonek?

– Zdarza się, że ktoś przychodzi prosić brata Ivana o modlitwę albo przynosi mu coś do jedzenia, więc dzwonek jest potrzebny. Brat wychodzi wtedy przed drzwi, kłania się z daleka, kładzie

rękę na sercu – to gest dla niego charakterystyczny – i wysłuchuje tego, co ktoś mu mówi (niektórzy piszą swoje prośby na kartce), a potem składa ręce, o tak, i unosi do góry na znak, że będzie się modlił.

– Czy brat Ivan należy do jakiegoś zakonu...?

– Do Wspomożycieli Czyśćca, ale do jego gałęzi świeckiej. Co jakiś czas chodzi do klasztoru, odległego stąd o dziesięć kilometrów.

– A czy ty masz kontakt z tym klasztorem?

– Raczej rzadko. Częściej bywam u siostr Wspomożycielek. Bracia z tego klasztoru bywają i w naszej parafii z pomocą, prowadzą rekolekcje, czasem zastępują naszego proboszcza.

– Bracia...? Nie ma tam kapłanów, ojców?

– Są ojcowie, ale nazwa ta wyszła z użycia, teraz nazywamy ich po prostu braćmi.

– To jak odróżnić braci kapłanów od braci, którzy nie mają święceń?

– Przyjęło się na całym świecie, że kapłani noszą na prawym ramieniu niewielki krzyż, metalowy lub wyhaftowany.

– A brat Ivan – czy nosi habit Wspomożycieli?

– Nosi, jako pustelnik ma do tego prawo. W kościele łatwo go rozpoznasz. Nie tylko po białym habicie z niebieskim pasem, ale także po czerwonym pasku na lewym ramieniu, widocznym z przodu i z tyłu. To znak, że ktoś podjął post milczenia... To co, wracamy do domu?

– A czy nie można by było zajrzeć do tego domku, choć przez szparę w drzwiach...?

– Jeżeli tak bardzo ci na tym zależy, to myślę że można, może grzechu nie będzie. W środku jeszcze nigdy nie byłam...

Na nasze głośne pukanie do drzwi też nikt nie odpowiedział, więc uchyliliśmy je, zaglądając do środka. Rzuciły mi się w oczy dwie rzeczy: wielkie ubóstwo, a jednocześnie porządek i czystość.

Nie było tu szaf, lecz tylko duża skrzynia z wiekiem, drewniane łóżko, a nisko nad nim półka z książkami. Na drążku w kącie wisiał ciemny płaszcz i biały habit, osłonięty przezroczystą folią, pod nimi stały buty. Nad półką zwracał na siebie uwagę wielki obraz, ukazujący Maryję w białej sukni z niebieskim pasem, z białym szkaplerzem w prawej dłoni i z Dzieciątkiem na lewym ręku. Przed Matką i Dzieckiem klęczał ze złożonymi rękoma zakonnik ubrany tak jak Maryja, wyraźnie orędujący za duszami czyścowniczymi zanurzonymi w ogniu. To właśnie ku tym duszom wyciągała Maryja rękę ze szkaplerzem, a towarzyszący Jej aniołowie pomagali niektórym duszom wydobyć się z ognia.

Ponieważ nie było tu żadnego paleniska ani kuchni, mogłem się domyślić, że miejsce do przyrządzania i spożywania posiłków znajduje się za drzwiami widocznymi w głębi.

Wycofaliśmy się w milczeniu... Aldona poczuła skrupuły z powodu tych niedyskretnych oględzin, ale uspokoiłem ją, że sumienie może mieć czyste, gdyż zrobiła to dla mnie, a więc z miłości bliźniego. Uspokoiła się i stwierdziła, że rzeczywiście sama nigdy na coś takiego by się nie zdobyła.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziała, kierując się ku zarośłom.

– Dobrze, to i ja skorzystam – odpowiedziałem, zanurzając się w zieleni w wiadomych potrzebach. Gdy się spotkaliśmy, miała minę dość tajemniczą, ale nie zdołałem przeniknąć jej myśli... – Może potrafi zawiesić myśli, jak przy poście milczenia – pomyślałem.

Nagle... kątem oka zauważyłem dużą bryłę, spadającą na nas z nieba z dość dużą szybkością! Odruchowo skuliłem się, chowając głowę w ramionach, o mały włos nie upadłem! Aldona pokładała się ze śmiechu:

– Przewidywałam, że możesz dziwnie zareagować, ale nie myślałam, że aż tak się przestraszysz!

Jakiegolwiek wyjaśnienia były zbędne, gdyż o kilka metrów od nas wylądował czerwony mobil Rafała, a za moment wysiedli z niego ojciec z małym synkiem, którego Aldona przygarnęła do siebie z radością.

Nie mogłem powstrzymać się od pewnych pytań:

– Jak ty nas znalazłeś?!

– To proste, stryjenka ma przy sobie wideofon...

– I poszła w krzaczki, żeby cię tu przywołać!

– Oczywiście. Ale nawet gdyby tego nie zrobiła, i tak bym was znalazł, pod warunkiem, że wideofon jest włączony. Wysyła on co chwilę sygnały naprowadzające, więc nikt z nim nie zginie, ani w powietrzu, ani na lądzie...

– ...Ani pod wodą...?

– Pod wodą też, bo jest wodoszczelny, ale wysokich ciśnień by nie wytrzymał. Ale zapraszam, już dość późna godzina!

Przed domem czekał na nas Anael. Zostaliśmy zaproszeni przez Agnieszkę na obiad (tak, już obiad, jak szybko ten czas od rana upłynął!).

Posiłek był, jak i poprzedniego dnia, wyśmienity, choć potrawy były w zasadzie takie same. Pobyt w lesie okazał się też „dobrym kucharzem”, wzmagając głód. A jeśli chodzi o zachowanie przy stole – umiałem się już teraz dostosować do wszystkich, pograżając się w cichej modlitwie uwielbienia Boga i Jego Opatrzności, a bliźnich obejmując „polem życzliwości”. Mogę tylko zachęcić wszystkich Czytelników, by próbowali jeść w ten sposób, a nie tylko poczuć prawdziwy smak potraw, lecz i duszę swoją obficie nakarmić. A jeśli dane im będzie znaleźć się w Nowym Świecie, może staną się nauczycielami innych...?

5. Rozmowa z Rafałem (o technice, i nie tylko)

Mój bratanek otrzymał tyle pochwał od swojej żony i od stryjki jako „tęga głowa” i „Złota rączka”, że postanowiłem wciągnąć go w rozmowę na tematy techniczne, tym bardziej, że bierze czynny udział w życiu społecznym jako strażak i jako setnik. Nadarzyła się ku temu sposobność, gdy po obiedzie siedzieliśmy w cieniu drzew, nieopodal mostka nad szemrzącym strumykiem. Anael nie był z nami, znowu gdzieś się ukrył.

– Słyszałem, że gasisz pożary...? Czy często to się zdarza?

– Bardzo rzadko, może raz na dwa lata...

– Masz pewno pod opieką niewielki teren?

– Myśląc dawnymi kategoriami – dość duży, bo o promieniu kilkunastu kilometrów. Tak się uтарыło, że straż pożarna trzyma się nie parafii, lecz dekanatów, tam właśnie znajdują się mobilne strażackie.

– I co, na jakiś sygnał, pewno odebrany przez wideofon, wskakujesz do swojego mobilu i lądujesz w parafii dziekańskiej?

– Zgadłeś, stryjkę, przez cały czas muszę być w pogotowiu. Dlatego też na moim mobilu – nie kojarz sobie czasem jego czerwonego koloru ze strażą – znajduje się nie litera „C”, oznaczająca dostępność dla wszystkich, lecz „F” w kółeczku. Przy niej stale powinna świecić się czerwona lampka. Wszyscy wiedzą, że nie powinno się tego mobilu używać, chyba że w razie ścisłej konieczności, lecz wtedy powinien jak najszybciej wrócić na swoje miejsce.

– „F”? Z niczym nie kojarzy mi się ta litera... Na pewno nie z łaciną... *ignis, incendium*...

– A z angielskim...? *Fireman* – przypomnij sobie. Stąd właśnie „F”!

– Rzeczywiście! Ale dlaczego teraz tak rzadko wybuchają pożary – raz na dwa lata...?!

– Może trochę przesadziłem... A właściwie nie! To my musimy je gasić tak rzadko, bo i bez nas ludzie sobie radzą zupełnie nieźle i szybko. Wszędzie są wspaniałe gaśnice, bardzo wydajne, są też przecież mobile, pozwalające na błyskawiczną sąsiedzką pomoc, i to z powietrza, a poza tym... złe duchy nie hasają po świetle, jak dawniej!

– Myślę, że chyba to właśnie jest tu najważniejsze – duchy pożarów, piorunów i nawalnic! Zdarzyło mi się kiedyś być bardzo blisko płonącego lasu w Bośni. Wydawało się w nocy, że lada chwila ogień zagrozi domom, a ratujący stali z łopatami i patrzyli bezradnie. Wtedy użyłem starego egzorcyzmu przeciwko duchom ognia, którego nauczył mnie staruszek pielgrzym, i ogień wkrótce zgasł!

– Czy stryjek pamięta ten egzorcyzm?

– Oczywiście, jest bardzo łatwy, nauczyłem go grupę strażaków w Starym Świecie, nie wiem jednak, czy go wykorzystali. Trzeba robić ręką duży krzyż, a przy kolejnych jego częściach: najpierw górnej, potem dolnej, przy lewym i prawym ramieniu, wymawiać kolejne części egzorcyzmu, przypominającego złym duchom zwycięską moc Chrystusa: „W Nazarecie się począł – w Betlejem się urodził – do Egiptu uchodził – w Jeruzalem umarł”. Ten krzyż-egzorcyzm trzeba wykonać cztery razy, czyli zwracając się w cztery strony świata. Stary pielgrzym mówił, że wykorzystał jego moc w różnych sytuacjach, nawet na pielgrzymce do ugaszenia płonącego stogu siana. Możesz i ty go wypróbować!

– Dziękuję, stryjkule, wypróbuję! Nie słyszałem o tym sposobie na duchy pożaru, może się przydać. Wprawdzie jest tych duchów teraz mniej i pewno są słabsze, ale i te całkiem nie śpią!

– Można więc powiedzieć, Rafale, że masz podwójny zawód: strażaka i setnika?

– Można było tak powiedzieć w bardzo dawnych czasach –

odparł ze śmiechem. – Zawód kojarzy ci się na pewno z zawieraniem umowy o pracę, z pensją, z podpisywaniem listy obecności... Z czym jeszcze... – nie wiem, bo nie pamiętam na tyle tamtych czasów. Chociaż odpowiedniki dawnych zawodów istnieją, zwłaszcza w dziedzinie różnych rzemiosł, nie pytaj nikogo, jaki jest jego zawód, bo otworzy szeroko oczy ze zdziwienia i nie będzie umiał odpowiedzieć! Zapytaj inaczej: *n a c z y m p o l e g a j e g o s ł u ż b a*. Na to pytanie odpowie ci każdy: strażak, setnik, krawcowa, tkaczka, ministrant, chórzysta, członek orkiestry, ale też rolnik, ogrodnik, nauczyciel...

– I to wszystko służba społeczna – bez wynagrodzenia za pracę?!

– Wynagrodzeniem jest wdzięczność ludzi, którzy z naszej pracy korzystają, ale i nadzieja na „wieczne wynagrodzenie”, to w niebie.

– I nie ma wcale próżniaków, żyjących tylko cudzym kosztem?!

– Oczywiście że nie ma. Każdy ponosi odpowiedzialność za swoje czyny przed Bogiem, a przecież On powiedział przez swojego Apostoła: *Kto nie chce pracować, niech też nie je*. A odpowiedzialność przed ludźmi – także, zwłaszcza przed dziesiątnikiem. To on jest powołany do czuwania nad tym, by wśród dziesiątciu rodzin, które mu podlegają, nie było próżniactwa. Wszyscy muszą pracować na rzecz wspólnoty parafialnej, ale to „muszą” nie oznacza przytłaczającego ciężaru, lecz wprost przeciwnie – radość, że jest się komuś potrzebnym, że dla kogoś się żyje.

– A jeżeli czyjaś służba nie wykracza poza dom rodzinny, to co wtedy...?

– To też jest przecież służba społeczna, skoro rodzina jest podstawową komórką wszystkich większych społeczności.

Jeśli chodzi o dziesiątnika – on dobrze wie, kto, gdzie i komu jest potrzebny do pomocy, więc potrafi właściwie zorganizować pracę. A jeśli chodzi o „rozliczanie” każdego – zewnętrzne, na pa-

pierze czy w komputerze – istnieje ono tylko w niewielkim zakresie: jest to odnotowanie przepracowanych dniówek. Ważniejsze jest „rozliczenie wewnętrzne”, lecz to już nie należy do dziesiętnika...

– To znaczy jakie...?

– Jeszcze stryjek ma wątpliwości?! Przecież w konfesjonale! Dziesiętnik pomaga każdemu znaleźć ten rodzaj służby, który jest dla niego najbardziej właściwy, ale z tego, jak ten ktoś ją wykonuje, pomaga rozliczyć się z samym Bogiem ksiądz na spowiedzi.

Ściśle zewnętrzne rozliczenie ma miejsce tylko w odniesieniu do dziesiętników, setników i tysiączników. Jeżeli moja służba nie spodoba się ludziom, nie przedłużą mi mandatu na następne cztery lata. Wprawdzie nie słyszy się o natychmiastowym, „karnym” pozbawieniu mandatu, ale taka możliwość istnieje. Do tego wymagana jest nie zwykła, lecz absolutna większość głosów w radzie parafialnej.

– A na czym polega służba setnika?

– Najprościej mówiąc, na organizowaniu życia wspólnotowego stu rodzin. Stu teoretycznie, gdyż ich liczba może dojść do stu pięćdziesięciu. Gdy ten limit zostanie przekroczony, powołuje się następnego setnika i każdemu z nich dwóch podlega odtąd siedemdziesiąt pięć rodzin.

Jako setnik muszę utrzymywać kontakt z dziesiętnikami, z proboszczem parafii, a także pracować w radzie setników związanej z dekanatem. Czy widziałeś tablicę ogłoszeń w kościele? Ona jest dla mnie wielką pomocą. Przyjrzyj się jej dokładniej, a zobaczysz, że ma jakby dwa działy: społeczny i prywatny. Po prawej stronie może każdy coś ogłaszać – są to powiadomienia, prośby, publiczne podziękowania, pytania... A po lewej swoje ogłoszenia zamieszcza parafia, rzadziej dziekan czy biskup. To jest właśnie i moja strona.

– A więc pełnisz, w jakimś stopniu, rolę dawnego sołtysa...?

– To chyba bardzo dalekie porównanie! Chociaż jako chłopiec nie bardzo interesowałem się pracą sołtysa – wiem, że zbierał podatki i wieszał gminne albo wiejskie ogłoszenia – trudno by było nasze funkcje porównywać. Aha, chyba istniała we wsi jakaś rada sołecka, określony był budżet i ustalało się sposób wykorzystania go w danym roku... Pod tym względem jakieś podobieństwo istnieje, bo mamy radę parafialną, a i własny budżet, na który składają się wszystkie „dniówki” mieszkańców parafii, przeliczane na denary. Handlu nie prowadzimy – jeżeli coś sprzedajemy poza parafię, to nie dla zarobku, lecz dla odzyskania denarów. Takie ściśle odzyskiwanie równowartości naszej pracy trudno nazwać handlem, bo chodzi tu tylko o wycofanie tego, co w Starym Świecie nazywano kosztami własnymi. Nikt się z nikim nie targuje. Jeżeli wiadomo, że wykonanie, na przykład, wielkiego dywanu do kościoła pochłonęło pięćset dniówek...

– Ojej, aż tyle?!

– Pomyśl, ilu ludzi musiało przy nim pracować! Wytworzenie włóczki, ufarbowanie jej, praca kilku warsztatów tkackich...

– A gdyby ten dywan był wykonany w fabryce, maszynowo, czy nie byłby dużo tańszy...?

– Stryjku, chyba żartujesz! Przecież to wzniosła i piękna służba nie tylko ludziom, ale samemu Bogu – praca na rzecz Jego świątyni! Na taką pracę nikt nie żałuje czasu, wysiłku, talentów, materiału! Zresztą na wszystkie inne prace też. Już dzieci uczą się robić wszystko z tak szlachetną intencją.

– Teraz rozumiem, w jaki sposób w Nowym Świecie udało się ludziom zapanować nad chęcią zysku! A więc... służba mamonie, którą tak ostro napiętnował Chrystus, poszła w zapomnienie?!

– O tak! Gdybyś widział, stryjku, pracujących w skupieniu, wyciszeniu, rozmodleniu i z radością, dopiero mógłbyś docenić wartość pracy! Praca to ofiara miłości, składana Bogu... Ale ludziom także. Czy wiesz, jaką radość sprawia szewcowi to, że

może komuś ofiarować buty, nowe albo naprawione, bez żądania zapłaty? Albo ogrodnikowi, gdy może rozdawać owoce i warzywa, widząc wdzięczność obdarowanych? Ta wdzięczność znaczy dla niego więcej niż denary!

– Ksiądz Leopold wspomniał, że skarbnik każdej parafii używa pieczęci parafialnej do drukowania denarów. A jeśli bywają sytuacje, gdy drukuje denary bez pokrycia, na przykład przy większych wydatkach parafii – co wtedy...?

– Tak, ma do tego prawo, ale wyłącznie na wniosek rady parafialnej, czuwającej nad budżetem. W takim wypadku w następnym roku, a nawet przez kilka lat, trzeba oszczędzać aż do wyrównania deficytu, chyba że pomoże go wyrównać ktoś z zewnątrz, na przykład jakaś parafia z zagranicy, dziekan albo biskup.

– Czy każda rodzina ma prawo zaczerpnąć z budżetu parafialnego na własne cele? I czy istnieje jakiś limit, którego nie wolno przekroczyć?

– Tak, każda rodzina ma do tego prawo, od chwili zawarcia małżeństwa poczynszy, kiedy to otwierane jest konto rodzinne. Ponieważ jest ono puste, nowożeńcy dostają dożywotnio od parafii dom i niezbędne sprzęty: łóżko, szafę, pościel oraz urządzenie kuchni. A jeśli chodzi o „limit”, o który pytasz, jest nim liczba przepracowanych przez kogoś dniówek, czyli wypracowanych denarów. W praktyce nie zdarza się, by ktoś wyczerpał swój limit. Gdyby wyczerpali go wszyscy, budżet parafii bardzo by zmalał, lecz wszyscy starają się go pomnożyć na wszelkie możliwe sposoby, a nie wyczerpać...

– Nowożeńcy otrzymują dom, mówisz?! To niezły prezent, jak na początek!

– Dzisiaj dom to nie problem! Gdy stryjek będzie przy kościele, proszę zajrzeć na plac parafialny, okolony drzewami, więc z daleka mało widoczny. Złożone są na nim, między innymi, prefabrykowane części domów, wykonane z gliny. Wystarczy płytki

fundament, który wykonuje nasza ekipa parafialna na terenie już uzbrojonym – mamy kilka fundamentów już czekających na nowe rodziny – żeby błyskawicznie zestawić na nim dom z gotowych części. Ponieważ piękne jest dla nas to co naturalne, nikomu nie przychodzi do głowy, by glinę chować pod tynkiem... Nawet ze względów zdrowotnych, gdyż przy wyrabianiu gliny do wody dodaje się – jest to wynalazek japoński, znany już pod koniec Starożytności – mikroorganizmy, wytrzymujące wysoką temperaturę wypalania. Wystarczy odrobina pary wodnej w powietrzu, by zaczęły one pracować i oczyszczać powietrze...

– Jak w jaskini...? Kiedyś czytałem, że właśnie z podobnego powodu najzdrowiej jest mieszkać w jaskini, a alergików i chorych na płuca zwożono pod ziemię w celach leczniczych...

– Być może. Wprawdzie alergików nie ma teraz na świecie...

– Wcale...?! Przed Oczyszczeniem w naszym kraju mówiło się, że co czwarty mieszkaniec jest alergikiem! Przeciwnie co czwarty, bo gdyby pominąć starszych, bardziej odpornych na te przypadłości, wśród młodych może byłby nim co trzeci, a nawet co drugi!

– No tak. Teraz ludzie zmądrzeli, nikt nie pali papierosów, nie łyka trucizn służących wtedy do konserwacji i słodzenia żywności, nie nosi na swoim ciele sztucznych włókien, więc nie mamy z tym problemu. Nikt nie wypuszcza w powietrze ani do wody trucizn, a to też ma znaczenie.

– Nie ma dymów, nie licząc tych z domowych kominków, a mimo to ludzie dysponują tak potężnymi energiami... Czy już niczego się teraz nie spala dla uzyskania energii?

– Węgla, ropy naftowej i jej pochodnych, gazu ziemnego... – to stryjek miał na myśli, prawda? To oczywiste, że tego się już nie spala. Ale jeśli chodzi o „spalanie” w ogóle, w tym najszerszym znaczeniu, to można za nie uznać uzyskiwanie energii z bombardowania materii cząsteczkami antymaterii. Mam na myśli

przemianę materii w energię, co ma zastosowanie chociażby w napędzie mobilii.

– Słyszałem, że istnieją nawet olbrzymie transportowce na liniach międzykontynentalnych... Właśnie to mnie intrygowało, gdzie podziewa się cały ich napęd!

– Wystarczy małeńka komora, w której dokonuje się wspomniany proces, chociaż w Starym Świecie – myślę o eksperymentach, wszystko wtedy było w stadium prób – musiała być ogromna, a to ze względu na zastosowanie par metali ciężkich, promieniotwórczych, na przykład uranu. Wymagało to potężnych, grubych osłon dla pracowników laboratorium. Myślę, jak by to stryjkowi wyjaśnić... Aha, już wiem. To coś jak piorun kulisty, rzadkie zjawisko meteorologiczne. Taki piorun to kula plazmy, albo inaczej antymaterii. Gdy napotka na swojej drodze cząstkę materii i zderzy się z nią, następuje anihilacja tej cząstki – po prostu znika ona, jakby wyparowała, a wyzwala się ogromny błysk energii.

– Pamiętam ze szkoły, że gdy elektron zderzy się z pozytonem, albo inaczej antyelektronem, materia przemienia się w energię, wypromieniowując dwa fotony gamma czyli kwanty światła.

– Tak jest. Gdyby nagle doprowadzić do zetknięcia się jednego grama materii z taką masą antymaterii, uzyskalibyśmy energię 180 bilionów dżuli, równoważną wybuchowi 45 tysięcy ton trotylu! Wystarczą więc bardzo małe masy, rzędu mikrogramów, by uzyskać potężną energię. Aby ją czerpać, a nie dopuścić do wybuchu, konieczne są pułapki magnetyczne, służące do przechowywania antyprotonów i pozwalające na uwalnianie ich bardzo powolne. Jednak teoria teorią – ta już była znana w Starym Świecie – a praktyka praktyką. Niech stryjek nie oczekuje ode mnie dalszych wyjaśnień, gdyż ja ich udzielić nie potrafię...

– Jak to, nie umiesz wyjaśnić, w jaki sposób działa napęd mobilu?! Trudno mi w to uwierzyć!

– A jednak tak jest, i wcale się tego nie wstydę. Jestem przekonany, że prawie nikt w naszym kraju nie umie tego wyjaśnić... Po wyjaśnienie musiałbyś wybrać się do Chin, ale wątpię, czy jakiś Chińczyk chciałby ci zdradzić tajemnicę! Dlaczego właśnie tam...? Otóż Chińczycy twierdzą, że tylko im została powierzona przez Boga tajemnica tych energii oraz wykorzystania ich w codziennym życiu, a reszta świata może korzystać z ich wiedzy i z ich produkcji.

– Dlaczego mówisz „energii” w liczbie mnogiej?

– Bo chodzi o dwie podstawowe, prawdopodobnie różne, chociaż podobnie działające, przynajmniej dla oka laika: o energię niwelującą pole przyciągania ziemi oraz o energię napędzającą mobile i inne urządzenia. Podejdźmy do mobilu, to coś ci pokażę.

Rafał najpierw ze schowka w podłodze swojego mobilu, a potem spod deski rozdzielczej, wyjął czerwone pudełeczka z białym chińskim napisem i dał mi do ręki. Były bardzo ciężkie i miały wielobiegunowe gniazdka, ale niczego poza tym nie potrafię o nich powiedzieć. Oto co usłyszałem:

– Cały świat sprowadza je z Chin i nikt nie próbuje wydrzeć Chińczykom ich tajemnicy, bo po co? O, tu widać numer... MB-1 oznacza, że są przeznaczone do najmniejszego mobilu (im większy, tym wyższy numer), a litery mówią o zastosowaniu: AG w antygrawitronie, a MD w napędzie mobilu.

– Czy mobil nie spadnie na ziemię, gdyby energia uległa wyczerpaniu?

– Jeszcze się to nie zdarzyło, chociaż każde ludzkie dzieło jest niedoskonałe i może ulec awarii... Mamy jednak aż kilka zabezpieczeń. Na tablicy rozdzielczej pokazywany jest zasób energii, a gdyby nawet wszystkie energie zawiodły, na dachu mobilu jest balon ratowniczy. O, zobacz, w tej kopułce. A w kabinie jest rączka do uruchomienia go. Wystarczy jeden ruch, a przebity zostaje pojemniczek z bardzo lekkim gazem, którym

napęlnia się błyskawicznie balon. Nawet kilka metrów nad ziemią pełny balon zdąży uchronić mobil przed upadkiem. Mobile międzykontynentalne, ale i inne poruszające się nad morzami, mają także awaryjną poduszkę powietrzną od spodu.

– A czy i do innych urządzeń „baterie”, jak ja bym je nazwał, także pochodzą z Chin?

– Do innych też. Zresztą Chińczycy mają na swoim koncie o wiele więcej wynalazków, których teorię zachowują dla siebie, a tylko praktyczne rozwiązania udostępniają innym krajom.

– A więc mają patenty...?

– To pojęcie poszło w niepamięć! Przecież wiązały się z nim zyski, a w Nowym Świecie nikt do zysku nie dąży, poprzestając na odzyskaniu kosztów własnych.

– U schyłku Starego Świata Chińczycy znani byli z masowej produkcji mnóstwa artykułów tanich, ale często zawodnych i łatwo się psujących. Czy teraz jest inaczej?

– Chyba nie myślisz, że w ogóle można porównywać czasy komunizmu z obecną epoką! Jeżeli ktoś za „Pracodawcę” uznaje samego Boga i przed Nim rozlicza się w sumieniu, jak mógłby produkować buble?! A poza tym Chińczycy uważają, że mają bardzo ważną misję do spełnienia wobec innych narodów. Krąży wieść o jakiejś dziewczynce, która dość dawno temu otrzymała specjalne oświecenie z nieba w tym kierunku, „objawienie” różnych wynalazków, ale nie wiem, na ile to prawda...

– Czy nie znasz jej imienia? Może Xie Xiao Li...?

– Być może, jej imienia nie pamiętam. Opowiadanie o niej brzmiało jak legenda – tak nieprawdopodobnie, że nie traktowałem go poważnie. Jednak mówi się, że i w legendach jest część prawdy... Jednym z takich „objawionych wynalazków” jest najpierw anihilacja, a potem odtwarzanie przedmiotów materialnych, a nawet ich powielanie. Wprawdzie pierwsze kroki w tym kierunku uczyniono w Starym Świecie, jednak w praktyce wyko-

rzystano ten wynalazek dopiero w Nowym, i to na wielką skalę: od poczty począwszy, a skończywszy na wielkich wytwórniach przedmiotów powszechnego użytku.

– Anihilacja...? Czyli – chcesz powiedzieć – przedmiot znika, a potem może pojawić się w innym miejscu...?

– Właśnie o to chodzi, w dużym uproszczeniu. Najpierw odpowiednie urządzenie musi rozpoznać i zarejestrować matrycę informatyczną danego przedmiotu, a gdy już ją mamy, możemy przesłać ją w inne miejsce, na przykład drogą radiową (wystarczy do tego wideofon) albo na nośniku elektronicznym. W tamtym miejscu włączamy dekodery oraz syntetyzator, który, w oparciu o matrycę, odtwarza ten przedmiot. Może to robić dowolną ilość razy, a więc jakby kopiować...

– Albo „klonować”?! Czy materię nieożywioną można „sklonować”...?

– Można. U podłoża materii, jeśli chodzi o warunek jej zaistnienia, jest informacja...

– A kiedyś się mówiło, że energia...?

– Kiedyś może tak, ale teraz twierdzimy, że informacja, „słowo przyobleka się w ciało”. Gdy więc znasz to „słowo”...

– Chyba nie zakłęcie...?! Czyżby dawni czarownicy, jeśli tylko znali słowo-zakłęcie, mogli naprawdę „wyczarowywać” przedmioty...?

– Co za skojarzenia przychodzą stryjkowi do głowy! Na czarach to ja się nie znam! Wiadomo, że jest z tym trochę tak jak z komputerem: skanuję zapisaną stronę, program OCR z punkcików składa litery i odczytuje pismo, porównuje je ze słownikiem i wychwytywa błędy, a potem mogę ten tekst skierować do urządzenia peryferyjnego, na przykład do drukarki, i wydrukować tyle razy, ile tylko zechcę. Analizator i dekodery matrycy informacyjnej są dość skomplikowanymi urządzeniami, jednak posiadają je wszystkie większe wytwórnie przedmiotów użytkowych. Dzie-

ki tej „technice produkcji”, jeśli użyjemy dawnego słownictwa, można szybko i łatwo „klonować”, jak to, stryjk, nazwałś, mnóstwo rzeczy różnej wielkości. Gdy coś się już sprawdzi w praktyce, rusza produkcja, znajomi przekazują znajomym i wkrótce wszyscy mogą mieć do tego dostęp. Istnieją bogate katalogi internetowe i reklamy, oczywiście bezpłatne, tych przedmiotów.

– A czy da się „sklonować” w ten sposób roślinę albo zwierzę? Bo o człowieka nawet nie pytam!

– Nie jest to możliwe z tego względu, że mają one w sobie „pierwiastek życia”, którego stwórcą i panem jest tylko Bóg. Dawne „klonowanie”, oparte częściowo na naturze, tak głośne u schyłku Starego Świata, teraz nikogo nie interesuje. Teoretycznie można było wtedy „sklonować” w ten sposób i człowieka, lecz byłby to tylko zwierzę człekopodobny, pozbawiony rozumu, woli, moralności. Wystarczyłoby wszczepić mu tylko odbiornik sterujący mózgiem, by użyć go do niszczenia ludzi... Bogu dzięki, że Stary Świat nie zdążył posunąć się aż tak daleko!

– Czy byłeś, Rafale, w Chinach?

– Oczywiście, i to kilka razy. Warto tam się wybrać. Męczeństwo tak wielu ludzi stało się tam zasiewem chrześcijan, wiara kwitnie. Poza tym dla turysty – widoki niezapomniane! A rolnictwo... Stryjku, warto zobaczyć, do jakiego rozkwitu doprowadzili je Chińczycy! Kiedyś przecież głodowali, a nawet zjadali własne dzieci wyrwane z łon matek, gdyż próbowano im wmawiać, że takie „ograniczenie urodzeń” pomoże im utrzymać się na powierzchni. Oprócz obłędnej ideologii nękały ten kraj straszne kataklizmy: trzęsienia ziemi, deszcze monsunowe przynoszące ogromne powodzie, tajfuny... Tak mi się wydaje, że Chiny jeszcze przed Karą przeszły swoje oczyszczenie, więc w czasie Kary Bóg mógł je w dużym stopniu oszczędzić. Dzięki temu jako jeden z pierwszych narodów stanęły na nogi i mogły pomóc innym...

– A więc naprawdę można mówić o ich „misji” wobec reszty

ludzkości...?!

– Oczywiście! Po Karze inni musieli myśleć, jak zdobyć żywność i dach nad głową, a oni od razu wystartowali z wynalazkami! Gdybyś widział, jakie wrażenie robiły na nas pierwsze mobile, sunące po niebie w ciszy i bez skrzydeł – właśnie chińskie...! Zanim utarła się nazwa „mobil”, nazywano je różnie, w zależności od kraju: „latający samochód”, „latający dywan” (jak w baśniach, prawda?), „latająca książka”...

– Ooo! – zwróciłem głośno uwagę na tę ostatnią nazwę żałując, że nie ma z nami Anaela.

– Czemu się tak zdziwiłeś, stryku? To był wtedy wstrząs... Ludzie kulili głowy i uciekali, bo myśleli, że to jakiś atak „ufoludów”! Przecież łączność radiowa zaczynała dopiero odżywać, więc nie było na ten temat wiadomości...

– Ale istniał przecież „język miłości”, pozwalający na swobodne porozumiewanie się?

– To prawda, ale nie tak od razu nauczyliśmy się go wykorzystywać, podobnie jak i inne dary Boże; przynajmniej nie na większą skalę, w kontaktach międzynarodowych. W życiu rodzinnym bardzo szybko zorientowaliśmy się, że potrafimy czytać w myślach innych i że sami jesteśmy „rozszyfrowywani”.

Ale wróćmy jeszcze do Chin. Chińczycy nie zgłupieli jak Amerykanie i Europejczycy – nie dopuścili u siebie do produkcji żywności transgenicznej (genetycznie modyfikowanej), nawet nie wpuścili jej do swojego kraju. Za to właśnie oni potrafili, i to na ogromną skalę, wykorzystać wynalazek Japończyka Teruo Higa, co pozwoliło im na uzyskanie wyższej jakości gleby, a więc i o wiele wyższych i dorodniejszych plonów. Zaoszczędziło im to też ogromnego wysiłku przy pielenu ryżu...

– Wynalazek Japończyka...? Chodzi ci na pewno o ten brązowy, słodko-kwaśny płyn? Czy mógłbyś mi go opisać bardziej

szczegółowo?

– Dobrze. Japończyk ten był w Starym Świecie profesorem ogrodnictwa. Początkowo zachowywał rezerwę wobec rolnictwa ekologicznego (naturalnych metod uprawy) jako zwolennik stosowania nawozów sztucznych, herbicydów i pestycydów. „Przypadkiem”, jak to czasami ludzie mówią, wyrwał i wyrzucił zarażone wirusem arbuzy do rowu ściekowego, ale po jakimś czasie ze zdziwieniem zauważył, że wyzdrowiały, puściły nowe korzenie i zaczęły owocować. To był dla niego moment zwrotny – odszedł od chemii, a zajął się badaniem i zastosowaniem mikroorganizmów w rolnictwie i sadownictwie. Inny „przypadek” naprowadził go na odkrycie potężnego działania na rośliny nie poszczególnych szczepów mikroorganizmów, lecz ich odpowiedniej mieszanki. Połączył więc około osiemdziesięciu szczepów mikroorganizmów w jednym koncentracie, dając rolnikom, między innymi, możliwość przekształcenia nawet najgorszej gleby w bardzo żyzną: gliniastą w lżejszą i rozluźnioną, zbyt kwaśną lub zbyt alkaliczną w zneutralizowaną, a przesuszonej w zdolną do magazynowania wody. Wystarczy przed deszczem skrapiać glebę roztworem preparatu, a woda deszczowa pomoże mikroorganizmom dostać się w głąb gleby.

– Czy długo trzeba to skrapianie gleby kontynuować?

– Dość długo, ale coraz słabszym roztworem. To zależy od jakości gleby.

Teoria tego Japończyka jest prosta. Twierdzi on, że kiedyś ziemia, jeszcze nie niszczone przez człowieka, miała w sobie siłę i zdolność wydawania ze siebie ogromnych lasów, a to dzięki żyjącym w glebie mikroorganizmom. Gdyby ich szczepy miały i dzisiaj warunki do swobodnego rozmnażania się, moglibyśmy nawet wcale gleby nie uprawiać, lecz zbierać z niej plony. Teruo Higa dowiódł słuszności tej tezy na eksperymentach, w których uzyskał nie tylko kilkakrotny wzrost plonów, ale też wielką po-

prawę jakości zbóż, warzyw i owoców. I tak, na przykład, sadził pomidory na piasku, przez cztery lata w tym samym miejscu, a były odporne nawet na opady śniegu, dając obfite zbiory kilkakrotnie w ciągu roku. Okazało się także, że zawarte w jego preparacie mikroorganizmy mogą leczyć i odmładzać ludzi, zawierając silne antyutleniacze. Podobno pierwsi wypróbowali na sobie leczniczą siłę mikroorganizmów Afrykańczycy.

– Jeszcze w Starym Świecie...? Od kiedy te odkrycia zastosowano w praktyce?

– Roku nie pamiętam... Nie będę ci, stryжку, robił dłuższego wykładu na ten temat, chociaż mógłbym wyliczyć jeszcze kilka innych zastosowań mikroorganizmów. Wystarczy, jeśli przyjrzyś się naszemu sadowi, jak w nim wszystko rośnie, a podróżując po świecie zapytasz, czy gdzieś tam stosują „EM”. Jest to skrót od „Efektywne Mikroorganizmy” – taka nazwa przyjęła się na całym świecie. Są gospodarstwa, które zajmują się wytwarzaniem zestawu tych mikroorganizmów w kilku postaciach, dzięki czemu są one łatwo dla wszystkich dostępne.

– A więc to nie cud, że tak wszystko, rozwija się, bujnie rośnie, owocuje...?

– Na pewno jest to cud – Bóg oczyścił całą ziemię, wodę, powietrze – ale czy i wynalazki nie są cudem? Czy to nie cud, że po ostatnich wiekach niszczenia i chaotycznego eksploatowania ziemi ludzie zaczęli szanować nie tylko ją, ale i prawa nią rządzące?! Że wreszcie złądzili? Przecież nie sami, lecz przy pomocy z nieba. Na pewno jakiś anioł, a nie „przypadek”, pomógł Japończykowi dokonać tak ważnego odkrycia roli mikroorganizmów. Czy nie myślisz, stryжку, że wszystkim, a więc i całą przyrodą, rządzą aniołowie...?

– Też pytanie! Ja nie tylko „myślę”, ale i doświadczam tego w swoim życiu, i to już od wielu lat! Zdaję sobie sprawę, że „cudowny” wynalazek, o którym mówimy, został wykorzystany

tylko na terenach uprawnych, a przecież „cudownie”, w błyskawicznym tempie, wyrosły potężne lasy i inne drzewa, chociaż ludzie niczym ich nie podlewali, ożywiła się cała przyroda, odrodziły się zwierzęta i inne stworzenia, które dawniej wymierały i były pod ochroną. Nawet starsi ludzie odmłodnieli i podrosli o kilka centymetrów. Na pewno aniołowie mieli w tym znaczący udział!

Ale... dziękuję ci za ten piękny i głęboki „wykład”, Rafale. Widzę, że znasz wiele tajemnic tego świata... Musiałeś sporo czytać?

– Jeżeli mnie coś interesuje, staram się to zgłębić, przemyśleć, znaleźć odpowiednią literaturę...

– Oj, coś mi się wydaje, że jako dziecko miewałeś z tym problemy?! Siedziałeś z nosem w telewizorze i w grach komputerowych, mogłeś „strzelać” i „zabijać” całymi godzinami, a rodzicom trudno było nakłonić cię do nauki... Mało tego – o ile pamiętam, nawet nie chciałeś wziąć książki do ręki! Dziwiłem się, że w tym wieku, w którym ja i moi rówieśnicy mieliśmy przeczytane różne powieści, książki o Indianach i podróżnicze, ciebie trzeba było zmuszać do lektury...

– Tak było, stryjk, dobrze pamiętasz, a ja... z trudem przypominam to sobie... ale przychodzi mi to na myśl tylko dlatego, że ty o tym mówisz... i patrzę na to jako na coś prawie nierzeczywistego! Przecież wiesz o tym, że Bóg, oczyszczając człowieka i świat, pozostawił nam w pamięci tylko to, co w naszej przeszłości było dobre. Muszę włożyć ogromny wysiłek w to, żeby sobie pewne rzeczy przypomnieć... No tak, żeby zmusić mnie do przeczytania *Winnetou* – książki o Indianach – obiecałeś mi niespodziankę i kupiłeś... wiatrówkę, żebym bawił się w Indianina, mając strzelbę! Ale to już bardzo dawne czasy. Teraz dzieci wychowywane są inaczej...

– Miałem to na końcu języka! Powiedz coś o szkole, o zasa-

dach wychowania...

– Dobrze. A więc nie zmuszamy dzieci do uczenia się tego, co ich nie interesuje, tylko czekamy, aż same zaczną szukać wiadomości na jakiś temat. Wtedy chłoną je błyskawicznie. No i nie wymagamy od nich uczenia się tego, o czym z góry wiemy, że nie będzie miało zastosowania w ich praktyce życiowej. Ten system zdał bardzo dobrze egzamin w życiu Japończyków (myślę w tej chwili o Starym Świecie). Postawili oni ważne zadanie przed rodzicami i nauczycielami: mieli oni wyselekcjonować te dzieci, które wykazują się wyraźnymi zdolnościami w jakimś kierunku, i czuwać nad tym, by te zdolności jak najlepiej w życiu wykorzystały. Jeśli, dajmy na to, któraś dziewczynka wyróżniała się sprawnością fizyczną, zaczynała ćwiczyć dodatkowo pod okiem dobrego instruktora. Dzięki temu już kilkunastoletnie Japonki zdobywały złote medale na igrzyskach olimpijskich...

– Poczekaj! Właśnie, co z igrzyskami...? Gdy odbywały się w Atenach, byli tacy, którzy mówili: „Wyszły z Aten i do Aten powróciły – pętla się zamknęła”...

– Nigdy już igrzysk nie będzie. Chyba domyślasz się, dlaczego...? Teraz nie ma między ludźmi nawet tego rodzaju rywalizacji, którą dawniej uznawano za szlachetną, a tym bardziej takiej, którą nagradzano wielkimi pieniędzmi. Po pierwsze – nikt nie uprawia teraz sportu dla zysku, zresztą i sam zysk materialny jest dla nas czymś obcym. Po drugie – pokonując kogoś, musiałbym wywyższyć siebie jego kosztem, a to na pewno nie byłoby dla niego przyjemne, więc tym samym dla mnie byłoby przykre. Po trzecie – jeżeli ktoś otrzymał od Boga jakiś talent, to czy ma prawo tak się nim chlubić, jakby go zdobył tylko własnym wysiłkiem? Bogu należy się chwała, a nie jemu! Po czwarte – na wzór Mistrza z Nazaretu staramy się być pokornymi, więc jak to pogodzić z dążeniem do zajęcia pierwszego miejsca na oczach tłumu, do bycia oklaskiwanym, nagradzanym medalami?

– Pięknie to ująłeś i bardzo mądrze! Wiadomo, że pokorni – inaczej niż dawniej zawodnicy na olimpiadach – walczą o miejsce ostatnie, a nie o pierwsze!

– Oczywiście. Największe rzeczy dokonują się w sferze ducha, a nie ciała, a więc ukryte są przed oczyma ludzi. Dążymy do wiecznej, a nie do doczesnej nagrody!

– Twierdzisz więc, że nie istnieje coś takiego jak sport zawodowy... A wyczynowy, ale bez medali...?

– Ależ stryжку, przecież zawodowy i wyczynowy ściśle się ze sobą łączą! Jeżeli zasadę rywalizacji postawimy na pierwszym miejscu, wtedy nazwa nie będzie ważna, tylko wyniki; a jeśli wyniki, to trzeba je mierzyć, oceniać, porównywać, doceniać i nagradzać, i tak w końcu... wrócimy do olimpiady!

– A ten sport, który zwano kiedyś rekreacyjnym?

– O tak, ten istnieje, i to na wielką skalę! Ale bez okłasków, bez rywalizacji. Uprawiamy go z potrzeby ciała i ducha, i to od dziecka aż do ostatnich dni życia, traktując go jako odpoczynek, podtrzymanie dobrego zdrowia, okazję do zabawy i dotrzymania towarzystwa blížnim. Z tego rodzaju sportem łączy się turystyka. Drogi, łączące poszczególne miejscowości, nie są już teraz, z zasady, używane do transportu, lecz do turystyki pieszej, rowerowej, konnej. Popatrz w soboty i w niedziele, jaki na nich ruch, zwłaszcza latem. Podobnie jest na rzekach i jeziorach.

– Wróćmy jednak do nauczania dzieci. Słyszałem, że każda parafia ma swoją szkołę...?

– To zbyt szumna nazwa, gdyż najczęściej chodzi tu o jednego nauczyciela...

– Tylko o jednego?! Jak to...?

– Tak, jeden wystarczy. Nazywamy go „środowiskowym”. Nie myśl, że ta „szkoła” to dzieci siedzące w ławkach, podzielone na klasy; między ławkami spaceruje nauczyciel, sprawdza listę obecności i dyktuje teksty do zeszytów... Teraz nauczyciel jest

bardziej asystentem niż wykładowcą. Jego główna rola polega na obecności wśród dzieci i na obserwacji ich zainteresowań. Nawet jeśli są w różnym wieku, potrafią się zainteresować wspólnym tematem, a wtedy nauczyciel przystępuje do akcji...

– I co, uczy te dzieci czytać, pisać, liczyć...?

– Ależ skądże, stryжку! Tego uczą je rodzice w domu, i to w formie zabawy! Wciąż wracasz do starej epoki, w której rodzice biegli rano do pracy i cieszyli się, że mogą „podrzucić” dzieci do przedszkola i do szkoły, a potem „odebrać” wieczorem, dopilnować odrabiania lekcji, nakarmić i powiedzieć im „dobranoc”, nie mając na nic więcej czasu ani ochoty... Teraz mają dla nich wszystko: i czas, i odpowiednie materiały. Dzieci uczestniczą w ich dorosłym życiu, ucząc się wielu rzeczy od nich i na ich przykładzie, i to już od tego momentu, gdy zaczynają bawić się w naśladowanie dorosłych. A wiesz, że ludzie teraz są o wiele zdolniejsi – to jest tak wielki skok kulturowy, że nawet nie można tych dwóch epok porównywać!

– Jak to się stało, jak do tego doszło...?

– Jak wiesz, głowy dorosłych, młodzieży, a nawet już dzieci pełne były mnóstwa „śmieci”, tak w sferze myśli, jak i pamięci, wyobrażeń, pragnień, dążeń. Dodaj do tego ogromną ilość krzyżujących się w eterze fal radiowych z różnych źródeł, a każda z nich wnikała do mózgu człowieka, pozostawiając w nim jakiś trwały ślad, zapisując się w podświadomości, przepełniając w sposób niekontrolowany ten jego „magazyn”. Czynniki te powodowały oziębiałość i zamknięcie na wyższe wartości. Przecież dobrze wiesz, że wielu ludzi starych, wychowanych bez nowoczesnych środków przekazu, cieszyło się aż do śmierci doskonałą pamięcią, ich dzieci miały ją o wiele gorszą, a wnuki – na ogół taką że lepiej nie mówić! Za to człowiek „oczyszczony” stał się otwarty na świeży dopływ Bożej prawdy i dobra, zdolny szukać duchowego pokarmu, który buduje i uszlachetnia. Dorosły stał się na nowo

uczniem, a tym samym nauczycielem swoich dzieci, gdyż nikt nie zatrzymuje dla siebie skarbu, który znalazł...

– Teraz rozumiem, że bez tego oczyszczenia niemożliwe by było przekazanie ludziom języka miłości, gdyż ten wymaga wyciszenia i uporządkowania myśli, doskonałego panowania nad nimi...

– Ależ tak, stryжку, nie mogło być inaczej! Nie można napełnić naczynia już pełnego, dopóki go się nie opróżni!

Wiem, że interesuje cię praca nauczyciela środowiskowego, więc warto by było jej się przyjrzeć. Ja nim nie jestem, ale wiem, że dysponuje on ogromną różnorodnością środków dydaktycznych. Odpowiednią salką – również, chociaż dzieciarnia zwykle oblega jego dom. Nauczyciel taki rzadko zakłada rodzinę, najczęściej rezygnuje z niej, by móc stale być do dyspozycji dzieci. Jest to jego piękne powołanie, a nie zawód, jak się dawniej mówiło.

– Co to za środki dydaktyczne?

– Wprawdzie znane od dawna, lecz kiedyś nie stosowane tak powszechnie... Najpierw pomyśl, że taki nauczyciel osiedlowy tylko najmłodszym dzieciom, jak matka karmiąca piersią, daje pokarm wiedzy gotowy do strawienia. Stara się przy tym bawiąc je uczyć. Wobec nieco starszych dzieci pełni raczej rolę podobną do profesora uniwersytetu, który rozbudza zainteresowanie pewnym zagadnieniem wziętym z życia, a potem ułatwia, ukierunkowuje zdobywanie wiedzy na jego temat. A w tym zdobywaniu bierze udział nie tylko on, ale całe środowisko dziecka – poprzez filmy, gry (także komputerowe), lekturę, rozmowy, wycieczki, doświadczenia... Nauczycielowi często pozostaje tylko uzupełnić wiadomości już przez dzieci zdobyte.

– Pewno czujesz, że znów wywołałeś u mnie pewne wspomnienia, zwłaszcza wzmianką o grach komputerowych...

– Oczywiście! Już przypomniałeś mi moje dawne grzechy w tym względzie, ale przecież w tamtych czasach nie było dobrych gier (przynajmniej dla młodzieży), tylko same „z rogami”!

– Wiem o tym dobrze ze swojej poradni. Katolicy programiści jakby spali, a może wstydzili się swojej wiary, a piekielny przeciwnik z tego korzystał. Rodzice woleli najczęściej nie wiedzieć, co kupują swoim dzieciom, i byli zadowoleni, że siedzą one godzinami cicho i mają z nimi spokój. Woleli nie myśleć, że oddają je tym samym w objęcia szatana, a podnosili lament, gdy było już za późno.

– Rzeczywiście tak było. Teraz wszędzie królują trzy absolutne wartości: dobro, piękno i prawda, a dzieciom nawet do głowy nie przychodzi, by szukać ich odwrotności: zła, brzydoty i kłamstwa. Mamy przepiękne, bardzo wartościowe i pouczające gry dla całej rodziny, a na ogromnym ekranie, który ci pokazałem, robią one na wszystkich wielkie wrażenie. Poruszają tylko dobrą i chlubną przeszłość, wskrzeszają dawnych bohaterów bez powracania do wojen i przemocy, ułatwiają poznawanie świata doczesnego, ale... na pierwszym miejscu jest dla nas zawsze świat nadprzyrodzony. Pochodź po domach w sobotni i w niedzielny wieczór, a zobaczysz, jak dobrze rodziny potrafią wykorzystać czas dla własnego pożytku.

– Sobota jest wolna od pracy i nauki? Wszędzie i dla wszystkich...?

– Tak. Nawet przestrzega się, i to we wszystkich domach, zwyczajowi kończenia porządków w piątek wieczorem. Także posiłki na sobotę i niedzielę powinny być przygotowane już w piątek, żeby je tylko odgrzać. Dzięki temu nawet gospodyni domowa może na dwa dni wyruszyć w podróż, jeśli nie turystyczną, to „duchową” – do jakiegoś domu rekolekcyjnego lub sanktuarium. Jeżeli nigdzie nie wyrusza, może, równie dobrze, w swoim domu i kościele znaleźć wtedy dosyć czasu dla Boga i dla pożytku własnej duszy. Kto wtedy nie potrzebuje wyciszenia, może dotrzymać towarzystwa na przykład tym, którzy mają ochotę na wspólną zabawę, śpiew czy słuchanie muzyki. Przed domy wychodzą muzykanci, zawsze obleżeni przez słuchaczy i śpiewaków. Ja też

bardzo lubię te pogodne wieczory, często chodzę posłuchać młodego akordeonisty...

– Ktoś mi wspomniał, że tu w osiedlu jest warsztat, z którego wychodzą dobre akordeony...?

– Nie tylko jeden mamy taki warsztat. Kilka rodzin zajmuje się wytwarzaniem tych instrumentów, a przybywają po nie ludzie z dość daleka, przeważnie stali odbiorcy.

– Czy są też inne warsztaty rzemieślnicze? O tkackich już mówiłeś...

– Wprawdzie najwięcej mamy ogrodników, hodowców warzyw i kwiatów, ale jest też dwóch rzeźbiarzy w drewnie i jeden w kamieniu, jest kowal-artysta, kilku cmentarników...

– A cóż to za rzemiosło...?

– Kilka rodzin zajmuje się wystrojem cmentarza, a to wymaga nie tylko dużego nakładu pracy, ale i zmysłu artystycznego. Stryjenka mówiła, że nasz cmentarz bardzo ci się podobał...? Aha, jeszcze kilka rodzin tworzy jakby jeden duży warsztat, organizujący osiedlowe place zabaw dla dzieci. Wytwarzają nie tylko huśtawki i karuzele, ale także dużo elementów, z których dzieci same mogą budować różne rzeczy, nawet „pałace”. Napływa dużo zamówień z różnych stron. No i jest piekarnia – nie tylko my z niej korzystamy, ale znana jest w całej okolicy...

– Ach, to stąd macie taki wspaniały chleb razowy!

– Innego się teraz nie piecze. Jest pachnący, gdyż wychodzi z pieca glinianego, jak w dawnych czasach, opalanego drewnem liściastym... No i zawsze sypie się garstkę pachnących ziół, a to też ma znaczenie.

– Czy temperaturę w tym piecu mierzy się termometrem...?

– Dlaczego stryjek o to pyta? Tego nie wiem...

– Bo w dawnych czasach był na to inny sposób: po wygarnięciu węgla z pieca gospodyni sypała do niego garść mąki i odmawiała *Zdrowaś Maryjo*..., co było miarą czasu. Gdy mąka się

palila, trzeba było piec wystudzić, a gdy już się tylko rumieniła – był gotowy do wkładania ciasta.

– Sposób prosty a skuteczny... Ale wróćmy do tematów wychowawczych, bo odeszliśmy od nich dość daleko. Mówiliśmy o tym, że dzieci są teraz zdolniejsze niż dawniej... Wprawdzie powracania do tego co było dawniej nie lubię, ale stryjek sam zmusza mnie do ponownego zanurzenia się w tamtym cuchnącym bagienku... Niech i tak będzie! Otóż w Starym Świecie dzieci były obciążone mnóstwem trucizn w szerokim rozumieniu tego słowa – fizycznych i duchowych. Do tych duchowych, oprócz docierających przez środki przekazu, można zaliczyć niechęć rodziców do wydania dziecka na świat, traktowanie go od początku jak intruza i zbędny ciężar, co udzielało się dziecku, blokując jego rozwój. Coraz mniej małżeństw żyło bez kłótni, rozwodów i zrad, gdyż coraz mniej modliło się wspólnie, a więc skąd dziecko mogło czerpać poczucie bezpieczeństwa i miłości. Brak łaski uświęcającej, a wraz z nią także innych łask, powodował, że dziecko, zamiast przez dziewięć miesięcy w otoczeniu niebiańskim, musiało przebywać w otoczeniu demonów, w atmosferze buntu przeciwko Bogu...

– Dosadnie to ująłeś, Rafale! Mówisz jak prawdziwy znawca zagadnienia... Mógłbyś być dobrym kaznodzieją! Co do tej łaski, a właściwie jej braku, i obecności złych duchów w duszy matki będącej w ciąży – nawet mi to nigdy nie przyszło do głowy! A trucizny fizyczne...?

– Te już na pewno stryjek dobrze zna: otrzymywało je dziecko z krwiobiegu matki, a ta wchłaniała w siebie wszystko: spaliny (z samochodów, ale i często z papierosów), rakotwórcze konserwanty, słodziki, narkotyki, smog elektromagnetyczny⁹, alkohol...

⁹Chodzi tu o wysokie natężenie pola elektrycznego, wytwarzanego przez różne urządzenia w zakładach pracy i w gospodarstwie domowym.

O, lista byłaby długa! To samo po urodzeniu – wraz z mlekiem matki dziecko piło te same trucizny, a potem wchłaniało je z odżywek dla dzieci, z zatrutego powietrza, wody, warzyw i owoców. Twórcy reklam walczyli o to, żeby rozbudzić u dzieci apetyt na trujące słodczyce i przez to zmusić rodziców do zakupu tych trutek. Co ja mówię „apetyt” – przecież to był już prawdziwy dziecięcy nałóg! Często noworodek wpadał w nałogi jeszcze w łonie matki – nie tylko w alkoholizm czy narkomanię (w wielu papierosach były narkotyki, o czym nie musieli wiedzieć palacze), ale także w seksomanię, w uzależnienie od dwusiarczynu w cukrze czy aspartamu, od głośnego hałasu nazywanego muzyką...

– Ależ Rafale, ja ciebie nie poznaję! Tak dzisiaj nazywasz to, czego słuchałeś godzinami...? Zresztą inni w domu też!

– Dzisiaj widzę to w innym świetle. Zresztą wszyscy mieszkańcy Ziemi nagle stanęli przed Bogiem w prawdzie, otrzymali od Niego światło, żeby właściwie ocenić i to co doczesne, i to co wieczne. Bez tego nie byłoby prawdziwej odnowy świata! Teraz wszyscy są „ekspertami” w tej dziedzinie...

– Rozumiem. Uczyłem w szkole i współczułem tym dzieciom, które marszczyły czoło, mrugały oczami, lecz ich głowa nie chciała pracować. Co do tych trucizn – wszystko to nie było mi obce, gdyż musiałem zwracać na nie uwagę rodzicom. Wypunktowałeś je jednak doskonale, jakbyś sam prowadził poradnię!

– Dziękuję, stryжку, lecz to nie moja zasługa.

Ale wracając do dzieci – sam możesz zauważyć, jak bardzo teraz są zdolne. Mają głowę jak komputer! Wystarczy, że raz coś zobaczą, usłyszą, raz czegoś doświadczą, by zapamiętać to na zawsze. Zdaje mi się, że coś podobnego było w czasach Starego Testamentu: ludzie nie umieli pisać, więc pisarz czytał publicznie jakąś księgę całemu tłumowi i wszyscy ją zapamiętywali. Ksiądz Leopold mówił niedawno, że były to naturalne zdolności ludzi

Wschodu, ale też specjalna łaska Boża wspomagająca. Nieraz myślę, że nasze dzieci też mają taką łaskę...

– I pomoc ze strony aniołów – nie zapominajmy o niej. W Starym Świecie też ją miały, tylko nie umiały z niej korzystać, nie było komu ich tego nauczyć. Za to „pomoc” ze strony szatana narzucała im się sama, i to ze wszystkich stron. Już małe dzieci sięgały po papierosy, alkohol, narkotyki. Zdarzały się wśród nich coraz częściej samobójstwa. Na wszystkie szkoły Zachodu zwałił się ten problem, nawet jeśli gdzieś oficjalnie temu zaprzeczano. Obawialiśmy się, że jeśli natychmiast Bóg nie wtrąci się w te sprawy i nie powie światu „Stop, dosyć!”, piekło będzie z dnia na dzień zbierać coraz obfitsze żniwo...

– Ale, na szczęście, wtrącił się i powiedział „Stop!” Dzięki temu żyjemy w szczęśliwej epoce. Jakie to wspaniałe uczucie: być zanurzonym w dobru i nie bać się problemów wychowawczych...

– Szczęśliwa epoka... Owce, pasące się pod okiem Pasterza i wcale nie zagrożone atakami wilka... Ale przecież na samym końcu świata, który musi być już względnie blisko, Apokalipsa zapowiada uwolnienie szatana i ostatnie prześladowanie wiernych Chrystusowi! Jak może do tego dojść, skoro wszyscy ludzie starają się gorliwie służyć Bogu...?

– Znam tę straszną zapowiedź Apokalipsy, ale nikt jakoś o niej nie myśli... Ja też – wybac mi to, stryжку – nie chcę o niej myśleć! Nie mam najmniejszego pojęcia, jak może dojść do tak wielkiego odstępstwa... Jak szatan mógłby zdobyć w naszym świecie aż tylu zwolenników, żeby możliwy był jego tryumfalny powrót! Jeżeli cię to interesuje, porozmawiaj na ten temat... najlepiej z księżmi, z zakonnikami... Może oni wiedzą albo domyślają się...

– Tata! Tataaa! – rozległ się głos małego Jasia, wyraźnie czymś przestraszonego. Rafał pobiegł mu na ratunek, i choć nie było to prawdziwe niebezpieczeństwo – mały zląkł się buczenia trzmiela – tak zakończyła się nasza rozmowa...

6. Tajemnice domowej apteczki

Chodząc boso, także po lesie, nie mogłem uniknąć tego, by wcześniej czy później nie wbić sobie w stopę kolca. A ponieważ ułamał się i wyjęcie go palcami okazało się niemożliwe, więc... musiałem skorzystać z pomocy Aldony, i tak, nie planując, mogłem „zwiedzić” jej apteczkę... Gdy zaprosiła mnie do swojego pokoju i użyła igły oraz szczypczyków, by uporać się z kolcem, zajrzałem do jej „barku” czyli zamykanego schowka, w którym dawniej trzymano butelki z alkoholem dla gości. Przytoczę dłuższą rozmowę, która między nami się wywiązała, a w jej trakcie wymienię przedmioty, które w apteczce dostrzegłem.

– A jednak i w Nowym Świecie doświadczamy cierpienia...? – zagadnąłem, przypominając sobie „proroków”, którzy zapowiadali co innego: że będzie to świat nie tylko bez chorób, ale i bez cierpień i śmierci. – O ile pamiętam, i ty czytałaś kiedyś zapowiedzi tych „proroków”...?

– Przypomniałeś mi ten fakt... To śmieszne, jak ktoś dorosły mógł w tak naiwny sposób myśleć! Przecież ból jako sygnał ostrzegawczy jest cennym darem Bożym, na pewno Adam i Ewa nie byli go pozbawieni, gdyż i w raju można było się potłuc, skaleczyć, oparzyć, utonąć...

– Albo wbić sobie kolec w nogę! – dokończyłem ze śmiechem. – A może byli oni nietykalni? Może unosili się w powietrzu i oszczędzali nogi...? Albo mieli całe ciało jak mityczny Achilles, z piętą włącznie?

– Wątpię w to. Może cierni tam nie było, bo to kara za grzech, ale jakieś kamienie na pewno leżały pod nogami. Nawet najdoskonalszy instynkt ostrzegawczy nie uchroni ani człowieka, ani zwierzęcia przed wszystkimi kontuzjami.

– A więc i lekarze są potrzebni w Nowym Świecie? Rzeknij choć słówko o najnowocześniejszej służbie medycznej!

– Myślę, że będziesz rozczarowany. Istnieje tylko jeden szpital na cały nasz kraj, oczywiście w stolicy, i w zupełności wystarcza. Bynajmniej nie dlatego, że mamy tak doskonały transport powietrzny. Po prostu chorób jako takich, w dawnym pojęciu, teraz nie ma, zdarzają się tylko „nagle przypadki”, a z tymi idzie się najpierw do lekarza miejscowego, a dopiero wtedy, gdyby on sobie z nimi nie poradził, cierpiący człowiek jest przewożony do szpitala. Są to jednak bardzo rzadkie przypadki, więc i szpital jest prawie pusty.

– Stąd i lekarze nie narzekają na przepracowanie?

– Masz rację. Bardzo rzadko ktoś tonie, przewraca się z rowem i ociera skórę, kaleczy się przy pracy, łamie nogę na lodzie czy na nartach, oblewa się wrzątkiem... a przy tym rany nie ropieją. Nie ugryzie nas wściekły pies, nie ukąsi żmija...

– Czyli można powiedzieć, że wypadki zdarzają się o wiele rzadziej, niż w Starym Świecie?

– Oczywiście. Zaraz zapytasz „dlaczego”, więc od razu ci to wyjaśnię. Człowiek wolny od trucizn i wewnętrznie wyciszony ma teraz bardzo wyostrzony instynkt samozachowawczy, więc z daleka wyczuwa niebezpieczeństwo i potrafi go uniknąć. Ale, co ważniejsze, ma bardzo bliski kontakt ze swoim Aniołem Stróżem, z innymi aniołami i ze świętymi z nieba, od których stale otrzymuje natchnienia. Już małe dziecko uczy się odbierać te natchnienia i widzi na własnych błędach, że warto być posłusznym. Pomagają mu w tym rodzice. Gdyby mały Jaś w piaskownicy pokłócił się ze swoim kolegą, rodzice zapytają, czy jego anioł był z tej zabawy zadowolony, czy wprost przeciwnie – smutny. Bez krzyków, bez łajania, będą dziecko zachęcać, by było posłuszne temu najlepszemu opiekunowi, zawsze przy nim obecnemu. W późniejszych latach nie będą mieli z dzieckiem problemu. A gdyby znalazło się w niebezpieczeństwie, jego anioł potrafi je przed nim uchronić.

– Jednak, mimo wszystko, kontuzje się zdarzają...?

– Prawie wyłącznie tylko one. Otaczająca nas przyroda nam nie zagraża, gdyż nie tylko została oczyszczona z trucizn, lecz cała znalazła się w rękach aniołów. Żaden zły duch nie przywali nas drzewem w czasie burzy, gdyż i burz już nie ma, ani szalejących wiatrów, ani silnych mrozów. Mobile nie zderzają się ze sobą ani nie spadają na ziemię. Żyje się więc w wielkim poczuciu bezpieczeństwa pod skrzydłami aniołów, w świecie nasyconym Bożą i ludzką miłością... Co jeszcze chciałbyś wiedzieć...?

– A gdzie szukać tego lekarza miejscowego...?

– W naszym kraju mieszkanie lekarza związane jest zwykle z dekanatem.

– Czy ma kogoś do pomocy? Jakąś pielęgniarkę...? A apteka też jest jedna na dekanat?

– Co do pielęgniarki – nie słyszałam, żeby gdzieś była jakiegoś lekarzowi potrzebna, gdyż przecież, w zasadzie, on nie leczy, tylko udziela doraźnej pomocy, a więc jest bardziej pielęgniarzem niż lekarzem. A co do apteki – zgadłeś, lecz trudno to nazwać „apteka”, jeśli myślimy dawnymi kategoriami. Są tam tylko środki opatrunkowe, a więc trochę bandaży, zwykłych i elastycznych, zasyпка na rany, a poza tym środki higieniczne... co jeszcze... szyna do unieruchomienia kończyny albo szyi... zioła... Aptekarką nie jestem, więc całej listy ci nie wymienię, ale zbyt długa ona nie jest. Powietrze jest czyste, więc i rany goją się bardzo szybko same, alergii nie ma, nowotworów, wszystkich tych chorób, które kiedyś tak gnębiły ludzi i w walce z którymi częściej przegrywali niż wygrywali... Jeżeli zdarzają się drobne wypadki, są niegroźne... Pięć dni temu musiałam pomóc córeczce sąsiadów, która włożyła sobie fasolę do nosa i zanim się do tego przyznała, było już za późno: ta napęczniała i nie dała się wyjąć. Musiałam ją szczypczykami rozdrobnić i po kawałku wyjąć...

– No dobrze, ale służba medyczna to także położne, bo przecież rodzą się dzieci. Czy może położna obejść się bez lekarza?

– Oczywiście że tak! Prawie zawsze się obywa, chociaż najczęściej mieszka w pobliżu niego. Ani lekarzowi, ani położnej nie są już teraz potrzebne żadne drogie aparaty ani żadne badania prenatalne. Wiesz dobrze, że żyjemy zgodnie z naturą i nie chcemy „poprawiać Stwórcy”!

Ja nie mam w tym kierunku żadnego wykształcenia, ale zdarzyło mi się już trzy razy odbierać poród, i to bez żadnych problemów. Jak ci to wyjaśnić... Na pewno wiesz, że kara, jaką Bóg nałożył na ludzkość wypędzaną z raju, uległa w Nowym Świecie złagodzeniu. Dotyczy to zwłaszcza zapowiedzi, że ziemia będzie rodzić osty i ciernie, a kobiety będą rodzić dzieci w bólu. Ten właśnie ból jest teraz niewielki, nie ma powikłań okołoporodowych ani towarzyszącego im lęku... Prawie wszystkie kobiety, jeśli tylko zdążą, rodzą dzieci w swojej domowej wannie napełnionej wodą. Rodzą zupełnie łatwo i szybko, gdyż w pozycji najbardziej fizjologicznej. Pozostaje tylko odcięcie i zawiązanie pępowiny, a to potrafi wiele kobiet bez położnej. Odcięcie to wcale nie jest pilne – wprost przeciwnie, jego opóźnienie jest bardzo korzystne dla dziecka.

– Czytałem w Starym Świecie o porodach w wodzie, ale to były wyjątki. A teraz... wszystko poszło w tym właśnie kierunku! Pisano tam, że takie porody nie tylko są łatwiejsze, ale i noworodki nie doznają wstrząsu psychicznego, gdyż nie ma dla nich zbyt zauważalnej zmiany otoczenia...

– Tak, to prawda, kiedyś to był dla nich szok, przynajmniej w szpitalach Zachodu, gdyż kobiety w krajach, jak to się wtedy mówiło, „rozwijających się” rodziły w sposób bardziej zgodny z naturą i spokojniej. Nie były przy tym zatrute nikotyną, a to też nie było bez znaczenia – kobiety palące rodziły na ogół dzieci małe i narażone od początku na choroby. Ale nie wracajmy do złej przeszłości!

– Masz rację. Jednak tych dzieci wcale chyba nie rodzi się tak

wiele...? Myślałem o tym, obserwując uczestników Mszy niedzielnej. Chyba żadnej rodziny wielodzietnej nie widziałem! Gdy jeszcze byli złodzieje i ludzie obłożnie chorzy, ktoś musiał zostawać w domu, ale teraz raczej wszyscy przychodzą do kościoła...?

– To prawda, rodzi się mało, narodziny dziecka są świętem dla całej parafii. O ile pamiętam, u schyłku Starego Świata mówiło się, że w naszym kraju co czwarte małżeństwo jest nieplodne, różnorakie przyczyny nieplodności liczono na dziesiątki, a niektóre z nich były niewyjaśnione, mimo używania doskonałej aparatury. Teraz proporcje te uległy zmianie, a właściwie odwróceniu: co czwarte małżeństwo cieszy się łaską płodności, a powody nieplodności są prawie zupełnie niewykrywalne. Ponieważ rodzi się tak mało dzieci, nie ma szkół podobnych do tych w Starym Świecie – dużych budynków z wieloma nauczycielami i z podziałem na klasy. Gdyby miała powstać taka szkoła, trzeba by było zwozić do niej dzieci z dużej odległości...

– Dlaczego tak jest? Wydawało mi się, że będzie odwrotnie! Bo czy mogą być małżeństwa szczęśliwe bez dzieci...?!

– To jest Bożą tajemnicą. Ludzie, którzy starają się być posłuszni Bogu, z pokorą proszą o nowe życie, ale nie oskarżają Stwórcy, jeśli go nie daje. Nikt statystyk nie prowadzi, ale wszystkim wiadomo, że im więcej kiedyś w jakimś kraju zamordowano dzieci w łonach matek, tym mniej dzieci rodzi się tam teraz. A jeśli do tego dodasz kraje całkowicie albo częściowo wyludnione w czasie Wielkiego Oczyszczenia, to, jak widzisz, dopiero teraz ludzie doceniają budzące się życie. Wyjątkiem są może Chiny...

– To mnie dziwi! Czytałem kiedyś o chwytności matek, z których łona wrywano dzieci niezależnie od ich wieku, a większe nawet zjadano jak króliki czy inne zwierzęta!

– Ja też o tym czytałam. Ale weź to pod uwagę, że tam w epoce komunizmu rodzice bardzo pragnęli mieć więcej dzieci, lecz państwo nakładało na nich za to straszne kary. Teraz Chinki dość

często cieszą się łaską płodności. Na ostatnim miejscu pod tym względem są Żydówki. W Izraelu było zupełnie odwrotnie: bardzo surowo karano zabójstwo nienarodzonego dziecka, ale kraj ten robił wszystko co możliwe, by zabójstwo to rozpowszechnić w innych krajach świata i uczynić je tam bezkarnym. Przy nakładzie ogromnych środków finansowych i propagandowych, sterując masonerią, Żydzi wyniszczali inne kraje świata przez uderzenie w rodziny (w ich liczebność) i w płodność matek.

– Czyli sprawiedliwości stało się zadość! Można jednak obecnie mówić o „epoce cudów”, gdyż Bóg jest tak miłosierny, a przy tym widzi u swoich dzieci tak mocną wiarę, więc... czy nie wysłuchuje modlitw o łaskę płodności...?

– Czy słyszałeś o „nowennie oczekiwania”, która stała się teraz zwyczajem powszechnym? Nie? Polega ona na tym, że nowożeńcy rozpoczynają oczekiwanie na narodziny dziecka już po ślubie, modląc się przez dziewięć lat o dar życia. Jeżeli go w tym czasie nie otrzymają, wiele z tych par małżeńskich wybiera drogę życia zakonnego, albo przynajmniej składa na ręce kapłana ślub dożgonnej czystości. Mogą też otrzymać prawo do życia w separacji, jeśli miałyby ona im ułatwić rozwój duchowy.

– O, to coś z dawnych zwyczajów Dalekiego Wschodu! Tam jednak było to możliwe dopiero po wychowaniu dzieci, kiedy to mąż i ojciec zostawał derwiszem, wędrownym ascetą i pielgrzymem. Czyżby i teraz w krajach Zachodu...?

– Tak, można śmiało użyć tego porównania. Wielu małżonków zamieszkuje w pustelniach, kobiety także, ale też liczne małżeństwa, nie rozstając się ze sobą, wstępują do zakonu...

– Jak to możliwe? Czyżby żyły w tym samym klasztorze?!

– Już u schyłku Starego Świata były podejmowane takie próby – chodzi o klasztory żeńsko-męskie – jednak Stolica Apostolska nie chciała oficjalnie uznać ich za formy życia konsekrowanego, nawet jeśli uczestniczyły w nich osoby stanu wolnego. Co zaś do

małżonków – sprawa z góry wydawała się przekreślona. Świat był na tyle zdeprawowany, pogrążony w nieczystości, że na takie próby patrzono z wielką podejrzliwością. Teraz, zgodnie z potrzebą chwili, rozpowszechniły się one w całym świecie¹⁰. Oczywiście – chyba co do tego nie masz wątpliwości – nie ma w takich klasztorach cel czy pokoi małżeńskich! Mężczyźni i kobiety żyją oddzielnie, reguła ściśle określa, kiedy i w jakim celu mogą się ze sobą spotykać. Ale jeżeli cię to interesuje, świat stoi przed tobą otworem – możesz zwiedzić niejeden klasztor...

– Na pewno o tym pomyślę. Ale przyglądam się z daleka twojej apteczce... Jakoś to wszystko wygląda niezbyt okazale...! Węgiel drzewny... – to wiem, na odtrucie. Trochę bandaży... plaster... jakiś gruby drut – to pewno na wypadek złamania albo zwichnięcia...? A co jest w tej dużej ciemnej butelce...? Czyżby „lekarstwo na wszystko”?!

– Chciałeś sobie zażartować z tego „lekarstwa na wszystko”, ale tu żartów nie ma – naprawdę prawie wszystko leczy, przynajmniej w czasach, w których nie istnieją poważniejsze choroby! Słyszałeś już o koncentracie Japończyka Teruo Higa; to ta sama mieszanina, która, przy umiejętnym stosowaniu, nawet pustynię pozwala przemienić w żyzną glebę. Chodzi jednak o tę przystosowaną specjalnie do celów spożywczych (oznaczoną symbolem EM-X).

– Czy w dekanalnej aptece nie można ten lek zdobyć?

– W każdej! Przecież to jest najprawdziwsze leczenie, a nie jakieś znachorstwo! Masz więc tutaj przykład, jak wygląda naprawdę ten „powrót do natury”, który cię tak bardzo interesuje.

Z podziwem dla „natury” odkręciłem korek dużej butli i pró-

¹⁰Zauważmy, że chodzi tu o domy zakonne, a nie o stowarzyszenia czy wspólnoty, gdyż tych ostatnich powstało w Starym Świecie wiele i do niektórych z nich mógł należeć każdy, także małżeństwa z dziećmi.

bowiałem rozpoznać, jakie substancje ona zawiera, jednak mi się to nie udało. Zapach brunatnego płynu skojarzył mi się z beczką kiszonych ogórków, ale było tam przecież kilkadziesiąt różnych składników, nie licząc mnóstwa szczepów mikroorganizmów, które musiały się napracować nad tym lekarstwem...

– Dobrze wiedzieć, siostró, czym się teraz leczy! Buteleczka w kieszeń – i można podróżować po całym świecie, nie bojąc się ran, zatruć ani niestrawności! A czy sklerozy też...?

– Przygotuję ci taką buteleczkę na drogę, ale trochę później. Ktoś nas teraz szuka i woła... Sklerozy też możemy się nie bać, ale to już nie dzięki lekom, tylko dzięki cudownemu działaniu samego Boga!

– Któremu chwała na wieki! Amen!!! – zakończyłem rozmowę, próbując być uczniem Anaela...

7. W klasztorze Wspomożycieli Czyśćca

Uczestnicząc we Mszy niedzielnej, wypatrywałem dyskretnie brata Ivana pustelnika. Zauważenie go było bardzo łatwe, gdyż ubrany był w biały habit z niebieskim pasem. Na lewym ramieniu rzeczywiście naszyty miał, jak uprzedziła Aldona, czerwony pasek, oznaczający nieustanne milczenie. Postanowiłem użyć podstęp, by po wyjściu z kościoła nawiązać z nim kontakt („Spróbuj, może ci się uda, on byłby najlepszym przewodnikiem” – zachęciła mnie do tego moja siostra). Użyłem do tego celu notesu, pisząc na kartce pytanie: „Czy Brat nie zechciałby udać się ze mną mobilem do klasztoru Wspomożycieli i pokazać mi drogę?” Gdy zrównałem się z nim w drodze, dotknąłem bardzo delikatnie jego ramienia, a gdy spojrzał na mnie, trochę zdziwiony, pokazałem mu notes z wypisanym pytaniem. Pokiwał głową ze zrozumieniem, a potem ją spuścił i milcząc ruszył powoli przed siebie. Szedłem przy nim przez dłuższą chwilę i już miałem dyskretnie się wycofać, gdy nagle zatrzymał się i zrobił ręką ruch, niedwuznacznie wskazujący na to, że chce coś napisać. Podałem mu notes i długopis, a za chwilę przeczytałem: „W piątek o 16.00 przy ostatniej stacji Drogi Krzyżowej”. Położyłem rękę na sercu, skłaniając głowę z szacunkiem i wdzięcznością. Pozostało już tylko stawić się na umówiony termin.

W piątek wylądowaliśmy z Anaelem na leśnej drodze, kilkadziesiąt metrów za stacją złożenia Pana Jezusa do grobu, w tej właśnie chwili, gdy brat Ivan kończył obchodzić Drogę Krzyżową, nie zważając na dość ulewny deszcz. Trzymał się, widocznie, zasady, z której znany był papież Jan Paweł II: nie wolno przerwać drogi do wyznaczonego sobie celu, jeśli tylko istnieje jakakolwiek szansa na jego osiągnięcie... Przed wejściem do mobilu wycisnął, na ile mógł, wodę z włosów na głowie i z brody, wyraźnie uśmiechnięty i wdzięczny Bogu za ten ciepły wiosenny

deszcz, tak o tej porze potrzebny. Sięgnąwszy w zanadrze, wyjął niewielką kartkę i podał ją bez słowa Anaelowi. Zawierała dwa rzędkie cyfr, których znaczenia mogłem się tylko domyślić: były to współrzędne określające cel, do którego wspólnie zmierzaliśmy. Patrząc na kartkę, nasz pilot odpowiednio ustawił pokrętłami dwie krzyżujące się strzałki zegara i wcisnął klawisz startu. Mobil, już w powietrzu, powoli obrócił się w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyliśmy. Pogrążeni w milczeniu, szanując ślub pokutny brata Ivana, wyruszyliśmy w drogę.

Nie trwała długo. Mimo powolnego lotu było to tylko kilkanaście minut. Lecieliśmy nad kilkoma osiedłami, otoczonymi lasem oraz rozległymi połaciami łąk, sadów i pól, połączonymi ze sobą wąziutką wstążeczką dróg, błyszczącą od deszczu. Błyszczały także mokre dachy, a umieszczone na nich czerwone numery domów były dobrze widoczne. Prawie nigdy nie wykraczały, podobnie jak w naszej parafii, poza liczbę 100. Prawie wszystkie osiedla niedawno pobudowano, jedno na gruzach starych wsi, inne w zupełnie nowym miejscu, na co wskazywał ich kształt, przypominający bardziej lub mniej regularną szachownicę, z dużym placem osiedlowym i kościołem w środku oraz ośmioma bardzo szerokimi ulicami, wychodzącymi z rogów placu. Naśladując Anaela, na widok wież kościołów skłaniałem głowę w geście adoracji.

Z daleka zauważyliśmy na naszej trasie większe osiedle, które można nawet było nazwać miasteczkiem, pięknie usytuowane na wzgórzach, przeciętych szeroką wstęgą rzeki. Nad domami poruszało się w różnych kierunkach kilkanaście mobil, a kilka innych sunęło wzdłuż rzeki.

Nagle czerwony wskaźnik na pulpicie zaczął mrugać, dał się też słyszeć przerywany sygnał, z początku bardzo cichy. Anael jakby nie zwrócił wcale uwagi na te sygnały – ani nie zniżył lotu, ani nie zmienił kierunku. W myślach też niczego mi nie przekazał. Nie śmiałem przerywać ciszy, więc powstrzymałem się od pytań.

Może nasz czujnik reaguje na pojazdy w powietrzu? – pomyślałem... Ale nie, miasteczko zostało za nami, pod nami znowu był gęsty las, a sygnały były coraz wyraźniejsze! Wreszcie ujrzelśmy z daleka dwie dość duże polany, z rozległymi zabudowaniami w obrębie pierwszej z nich. Sprawiały wrażenie osiedla, zbudowanego z dobrze mi już znanych prefabrykatów, lecz w sposób zupełnie nietypowy: w samym centrum wznosiła się, jak wyspa, bryła dużego kościoła wraz z przylegającą do niego oszkloną salą. Na obrzeżu placu okalającego kościół wzniesiono zamknięty krąg niewielkich parterowych domków, z małym ogródkiem przed każdym z nich. Ogródki z kolei ograniczone były następnym kręgiem identycznych domków, których okna i drzwi wychodziły na zewnątrz, w kierunku lasu, a od strony ogródków miały ślepe ściany.

Mobil lekko zaczął zniżać lot, kierując się ku tej pierwszej, zabudowanej polanie, i zawisł nad nią w powietrzu. Gdy sygnał ucichł i lampka zgasała, Anael wcisnął klawisz lądowania. Wysiedliśmy przed frontonem niskiego, ale bardzo szerokiego budynku, posiadającego wiele okien i drzwi. Jedne drzwi były bardzo szerokie. Można się było domyślić, że stanowią główne wejście, gdyż widniał nad nimi duży kartusz¹¹ z owalem w środku, przypominającym ogromną pieczęć. Na otoku tej „pieczęci” łaciński napis oznajmiał, kto jest gospodarzem tego klasztoru: ORDO IMMACULATAE CONCEPT. B.M.V. FRATRUM MARIANORUM DEFUNCTIS SUFRAGANTIUM¹². W centrum owalu widniała jakby tarcza herbowa, a na niej potrójny obraz: na górze oko Bożej Opatrzności, a niżej gołębica z gałązką oliwną w dziobie, unosząca się nad morzem płomieni. Nad tarczą i pod nią zauważyłem dwa akcenty Maryjne: koronę z lilią pośrodku, a wokół

¹¹Rzeźbione obramowanie tarczy herbowej, często w formie karty z podwiniętymi brzegami.

¹²Zakon Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Dziewicy Braci Marianów Wspomożycieli Zmarłych.

korony dziesięć gwiazd (dlaczego dziesięć, a nie dwanaście? – pomyślałem), zaś pod tarczą wstążka z napisem: MAGNIFICAT ANIMA MEA DOMINUM¹³. Tarczę z lewej strony okalały lilie, a z prawej – róże. Mogłem przyjrzeć się dokładnie temu kartuszowi, gdyż moi towarzysze, widząc moje nim zainteresowanie, czekali bez słowa. Wreszcie brat Ivan otworzył szerokie drzwi i ujrzelśmy przed sobą uliczkę, prowadzącą przez oba kręgi domków wprost przed drzwi kościoła.

Skierowaliśmy swoje kroki do świątyni, której wielkość niewątpliwie przekraczała potrzeby kilkunastu zakonników. Była to budowla na wskroś nowoczesna, o czym świadczył kształt dachu i dwóch wież oraz rodzaj użytego na nie materiału. W swoim stylu miała jednak coś z masywności i przysadzistości budowli romańskich, a okna, opatrzone witrażami, nawiązywały do gotyku.

Przedsionek, podobnie jak w parafiach, zawierał tablicę ogłoszeń, lecz względnie małą. Umieszczono na niej kilka kartek, prawdopodobnie programy rekolekcji dla jakichś grup. Widocznie któraś z nich była w tej chwili na modlitwie, gdyż na to wskazywało kilkanaście par pozostawionego obuwia. Świątynia pogrążona była jednak w ciszy. Jej posadzka nie była wyścielona, jak w parafiach, wzorzystym dywanem, lecz gęstą plecionką z czegoś dość miękkiego, przypominającego słomę. Klęczeli na niej ludzie w różnym wieku, rozproszeni przy balustradzie i wzdłuż ścian. Poszliśmy za ich przykładem, adorując Chrystusa ukrytego w tabernakulum, oświetlonym w podobny sposób, jak to widziałem w parafii. Także tutaj, mimo iż nie było żadnego nabożeństwa, płonęły na podświetniku długie cienkie świecek woskowe, a przed tabernakulum – lampki oliwne w siedmioramiennej menorze. Okalający tabernakulum wysoki „ikonostas” tonał w półmro-

¹³ *Wielbi dusza moja Pana* (początek hymnu Maryi, będącego Jej odpowiedzią na powitanie Jej przez krewną Elżbietę, Łk 1,46nn).

ku. Na prawej bocznej ścianie rzucał się w oczy ogromny obraz Matki Bożej, wkładającej biały szkaplerz w rękę zwróconego ku Niej zakonnika, ubranego podobnie jak Ona w białą szatę i przepasanego niebieskim pasem. Wiedziałem już, że to ojciec Papczyński, założyciel Zakonu. Ojciec Stanisław miał też szkaplerz w drugiej ręce – wyciągał go, jak linę ratunkową, w kierunku dusz wyłaniających się z ognia.

Moi dwaj towarzysze modlili się jak pogrążeni w ekstazie, zostawiłem więc ich i wyszedłem na zewnątrz. Żeby tak się modlić, trzeba było być wolnym od wszystkiego, co modlitwą nie jest, tymczasem moja głowa podróżnika zaczęła napełniać się różnymi pytaniami... Ucieszyłem się więc, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł obok mnie biały marianin (tego określenia, zamienienie z nazwą „bracia wspomociele”, używała okoliczna ludność), i przedstawił się jako brat Stefan, przeor. Zaprosił mnie do domku położonego najbliżej kościoła, na samym skraju uliczki. Znajdowało się w nim kilka pokoi służących za rozmównice. Nie było w nich niczego prócz stołu i krzeseł, malutkiej szafki z kubkami i szklankami, krzyża na ścianie i portretu założyciela. Nie mniej nieodzownym sprzętem okazała się, stojąca w sąsiednim pokoju, lodówka, z której Przeor wyjął zaparowaną ciemną butelkę z napojem, którym mnie poczęstował.

– To sok z naszego lasu, mieszanka leśnych owoców. Jeżeli nawet nie jest ci za gorąco, wypij łyżek na lekarstwo!

– W kościele za gorąco nie jest, ale na placu słońce dobrze przypieka, dziękuję bardzo – odpowiedziałem. Do pachnącego malinami soku dolałem wody z karafki. Napój był świetny. Po kilku łykach schyliłem się do swojej torby podróżnej, wyjmując z niej notes zwykły i elektroniczny.

– Brat Przeor na pewno się domysła...

Uśmiechnął się, kiwając potakująco głową, i rozsiadł się na krześle wygodniej, dając tym znak, że gotów jest odpowiadać na

moje pytania.

– Nazwę Zakonu już znam, przepisałem ją sobie z kartusza nad głównym wejściem. Słyszałem jednak, że są i klasztory żeńskie...?

– Tak, i to bardzo liczne w całym świecie, chociaż nasz założyciel, polski kapłan Stanisław Papczyński, nie myślał, o ile nam wiadomo, o żeńskiej gałęzi Zakonu. Ale nasz zakon obejmuje także klasztory męsko-żeńskie oraz gałąź świecką.

– Mężczyźni i kobiety mieszkają w jednym klasztorze...?

– Oczywiście. A dlaczego mieliby nie mieszkać? Czyżbyś był skłonny podejrzać, jak dawniej to czyniono, że przeszkadzają sobie, zamiast pomagać, w zachowaniu ślubu czystości...? Żyje w nich znaczna liczba małżeństw bezdzietnych, chociaż i osoby samotne realizują w nich swoje powołanie. Te wspólnoty są chlubą Kościoła oczyszczonego, duchem i ciałem wybiegają już naprzód, ku rzeczywistości eschatycznej czyli niebiańskiej, w której świętość człowieka osiągnie swoją pełnię.

Jeśli chodzi o nazwę – domyślam się, że chciałeś o nią zapytać – po łacinie „ordo” oznacza zakon, zarówno męski jak i żeński. Siostry mają podobną pieczęć jak nasza, tylko na jej otoku zamiast „Fratrum Marianorum” widnieje napis „Sororum Marianarum”...

– To na tym kartuszu jest jakby wielkie odbicie pieczęci zakonnej?

– Tak jest.

– A czy habit jest u wszystkich podobny?

– Płaszcz chórowy, a zarazem peleryna, braci jest koloru białego, a siostr niebieskiego, natomiast habit jest jednakowy: biały z niebieskim pasem. Habit taki mają prawo nosić także pustelnicy, którzy należą do gałęzi świeckiej naszego zakonu...

– Jak brat Ivan...? Czy ma on stały kontakt z waszym klasztorem?

– Ależ tak, regularny kontakt, chociaż mieszka dość daleko. Lubie dalekie piesze podróże, nawiedza niektóre sanktuaria... Ale, przede wszystkim, dzielnie i owocnie apostołuje na swoim terenie.

– Jak może apostołować, skoro z nikim nie rozmawia...?

– Samą swoją obecnością między ludźmi, dobrym przykładem, modlitwą, twardym życiem pełnym umartwień czyni więcej dla Królestwa Bożego, niż niejeden z nas w klasztorze. W jego parafii świeccy współpracownicy stanowią jedną z najbardziej żywotnych i prężnych wspólnot.

– Wiem coś o tym, bo moja siostra do niej należy. Nawet była w tutejszym klasztorze...

– Otaczamy opieką duchową wspólnoty parafialne, organizujemy dla nich rekolekcje i dni skupienia, tu u nas i w parafiach, nie wspominając o kierownictwie duchowym. Przecież dzięki mobilom każdy może do nas dotrzeć błyskawicznie.

– A te mobile na polanie wokół klasztoru...?

– To nie nasze, tylko tej grupy rekolekcyjnej, którą na pewno widziałeś w kościele.

– Czy wszyscy tu nocują w czasie rekolekcji?

– Tak... Możemy przyjąć nawet liczne grupy, i to nie tylko krajowe, ale i zagraniczne. Klasztor, chociaż z daleka niepokazny, daje nam takie możliwości. My sami mieszkamy w domkach okalających kościół, a na potrzeby rekolekcji mamy cały krąg domków zewnętrznych...

– Teraz rozumiem, dlaczego te zewnętrzne są tak odizolowane – nie mają okien ani drzwi od strony kościoła, tylko wychodzące w kierunku lasu. Domyślałam się, że domki braci objęte są klauzurą zakonną...? Czy i inne klasztory zbudowane są w podobny sposób?

– Ten sposób budowania okazał się najbardziej praktyczny, gdyż zarówno gospodarzom, jak i gościom, stwarza doskonale warunki do życia. Wszystkie trzy gałęzie naszego zakonu żyją za

klauzurą, chociaż wspólnoty mieszane nie mają jej tak ścisłej jak nasza.

Czy interesuje cię, przynajmniej w skrócie, nasza historia...?

– Ależ tak, i to nawet bardzo! Jak do tego doszło, że ten zakon, kiedyś zupełnie nieznany, rozprzestrzenił się tak szybko po całym świecie...? Jakoś o nim się nie słyszało...

– Wcale taki „nieznany” nie był, gdyż miał wiele klasztorów na terenie całej Polski, kilka w Portugalii, Hiszpanii i Słowacji, a nawet jeden w Rzymie. Mogłeś o nim nie słyszeć, gdyż został przez cara skazany na wymarcie (kilku zakonników zostało zamkniętych w jednym klasztorze na Litwie, a pozostali żyli w ukryciu). Gdy już władze carskie zezwoliły na odrodzenie zakonów, było to w 1905 roku, Marianom postawiły dwa warunki: muszą wyrzec się noszenia białego habitu z niebieskim pasem oraz przestać modlić się za umarłych, zwłaszcza za poległych w obronie ojczyzny. Jak wiadomo, wszelkie przejawy patriotyzmu były zaborcom nie na rękę. Marianie nie mogli się na te warunki zgodzić, gdyż Założyciel zabronił im dokonywania jakichkolwiek zmian w regule i zwyczajach, więc dalej nie mogli oficjalnie istnieć. Oznaczało to pracę w ukryciu, na którą mieli pozwolenie papieży, wydane na czas prześladowań...

– I w ukryciu, jak się domyślam, doczekali końca rozbiorów...? A co było potem?

– Gdy już Polska odzyskała niepodległość, starali się odbudować życie zakonne w oparciu o dawną regułę, lecz napotkali na zdecydowany opór ze strony najmniej spodziewanej: w Rzymie, bez ich wiedzy, uznano ich za „już nieistniejących”, potwierdzając to dekretem, nie mającym pokrycia w rzeczywistości!¹⁴ Nazwę ich zakonu („Marianie”) przejęło zgromadzenie księży, które prowadziło zwyczajne parafie na wzór diecezjalnych i o pomoc duszom

¹⁴Dekret stwierdzał, że do roku 1910 „wszyscy wymarli”...

czyśćcowym prawie wcale się nie troszczyło. Na wszelkie starania naszych zakonników (i ich świeckich sympatyków) o powrót do reguły z czasów ojca Papczyńskiego stale, aż do Wielkiego Oczyszczenia, a więc przez sto lat, przychodziła ta sama odpowiedź: dawny zakon wymarł, a jego nazwę przejęło zgromadzenie obecnie istniejące, które uważa się za jego spadkobiercę...

– Ale przecież istniały jakieś dowody na to, że to „wymarcie” wszystkich zakonników było nieprawdą...?

– Najlepszym „dowodem” byli oni sami, lecz to zbyt skomplikowana historia, byśmy mieli nią się dzisiaj zajmować. Szczegóły możesz znaleźć w książkach, jeśli zechcesz.

Najważniejsze jest dla nas to, że Bóg sam, wbrew ludzkim dekretem, zatroszczył się o swój zakon! A stało się to wtedy, gdy okazał się on najbardziej potrzebny, czyli po nagłej śmierci miliardów ludzi. Chyba nigdy w historii czyściec nie zapełnił się tak jak teraz, więc potrzebuje on ogromnej pomocy, i to heroicznej. Dlatego też wysunął się obecnie na pierwsze miejsce zakon, który go wspiera, a nawet w tym względzie wiązuje się specjalnym czwartym ślubem. Bardzo liczne zakony straciły rację swojego istnienia, gdyż świat nie potrzebuje tych kierunków apostołstwa, które kiedyś nakreślili im ich założyciele. Misje nie są potrzebne, grzechy publiczne nie są popełniane, wychowanie dzieci i młodzieży nie wymaga pomocy zakonników, całe życie oparte zostało ściśle na zasadach Ewangelii...

– A na czym polega ten czwarty ślub? Nie słyszałem o czymś takim... A właściwie słyszałem, lecz dotyczył jezuitów, którzy zobowiązywali się do ścisłego posłuszeństwa papieżowi.

– Ojciec Papczyński, zakładając Zakon, zdawał sobie sprawę, że wspieranie dusz czyśćcowych wymaga wielu ofiar i wyrzeczeń, nie tylko modlitw, choć i te powinny być dłuższe niż w innych zakonach. Składamy więc ślub, który nazywamy „heroicznym”, gdyż wymaga on od nas stałej pamięci o czyścicu i wspierania go

wszelkimi możliwymi sposobami. Najtrudniejszym ze sposobów jest zrzeczenie się wszelkich osobistych zasług i dóbr duchowych na rzecz dusz czyścicowych. To tak, jakbyśmy zostawiali z pustymi rękami, samemu Bogu zostawiając decyzję co do naszego sądu, kary doczesnej oraz zasług na wieczność. Wyobraźmy sobie, że każdy człowiek ma u Boga swoją „księgę”, w której zapisywane są jego dobre czyny oraz ich duchowe owoce, które zostaną „podliczone” na sądzie Bożym... Gdy zajrzemy do „księgi” Wspomożyciela Czyścica, możemy sobie wyobrazić, że zawiera ona, po stronie „zysków”, same puste rubryki. Prosimy Boga, by nasze „zyski” dopisał innym, właśnie duszom będącym w oczyszczeniu, a przez to zmniejszył ich karę.

– Czy także Wspomożyciele świeccy składają czwarty ślub?

– Tak, wszystkie gałęzie naszego zakonu. Ślub ten przypomina nam także o obowiązku codziennego jak najgorliwszego „zbierania zasług”, które wiąże się z różnymi umartwieniami i wyrzeczeniami. Zawiera on jednak także element apostołski: zobowiązujemy się zachęcać wszystkich ludzi, aby na miarę swoich możliwości wspierali dusze czyścicowe.

– Kiedyś w tych surowszych zakonach była dyscyplina, wstawanie o północy na ciemną Jutrznie, częste posty... A teraz...?

– I do naszych zwyczajów należała w dawnych czasach dyscyplina w sali kapitułarza, polegająca na tym, że biczowało się, klęcząc, plecy współbrata przed sobą, a jednocześnie było się biczowanym przez klęczącego z tyłu. Teraz używamy dyscypliny, lecz jest to sprawa indywidualna, zależna... jak by ci to wytłumaczyć... od osobistej pobożności i od duchowego kontaktu z czyścicem. Nasz Założyciel z tego kontaktu był znany.

– A więc obrazy, na których widać go w pobliżu morza płomieni, nie kłamią...?

– Można tak powiedzieć. Wpadał nieraz w ekstazę i duchem porwany był do czyścica, a po powrocie z niego gotów był wy-

cierpieć najsrozsze męki, byle tylko pomóc duszom w oczyszczeniu. Możesz o tym przeczytać w jego biografii. Oto jeden z faktów: ojciec Papczyński siedział przy stole wraz z wieloma gośćmi; nagle, duchem znalazłszy się w czyśćcu, stracił świadomość tego, gdzie się znajduje, a siedząc pod ścianą i chcąc wyjść, mógł przejść tylko po stole. Idąc po nim (a nie przewrócił przy tym żadnego półmiska ani talerza!) powtarzał tylko: „Gdybyście wiedzieli, jak straszna jest ich męka...!”, a opuściwszy uczujących, udał się do swojej pustelni...

– Był pustelnikiem...?!

– Początkowo mieszkał w pustelni razem z braćmi, którzy go tam zaprosili, potem jednak swojemu zakonowi zlecił tylko zakładanie klasztorów w miejscach nieco oddalonych od siedzib ludzkich i otoczonych drzewami. Do dzisiaj trzymamy się, jak widzisz, tego polecenia, chociaż pustelnikami nie jesteśmy...

– A jeśli chodzi o inne sposoby pomocy czyśćcowi... Czy wstawanie o północy dzisiaj obowiązuje?

– Tak, jest ono w naszych ustawach. Ale za to wcześniej chodzimy spać. Zwyczaj ten zlikwidowano w zakonach odgórnie u schyłku Starego Świata, ale my powróciliśmy do niego i nie mamy żadnego problemu z zachowaniem go.

Pytałeś też o posty... Komuś patrzącemu z zewnątrz mogą wydać się dość surowe, jednak nie nam, którzy jesteśmy do nich zaprawieni. Zresztą, jak widzisz na moim przykładzie, wcale źle nie wyglądam... Chodzi tu o odpowiednie nastawienie. Ciało ma być poddane duchowi, ukierunkowanemu na wyższe cele, a wtedy wcale tak mocno nie dopomina się o swoje prawa. Nasi nowicjusze bardzo powoli i łagodnie są wprowadzani w ducha Zakonu. Wielu z nich czuje jednak od początku w duszy tak ogromną potrzebę poświęcania się na rzecz cierpiących w czyśćcu, że raczej trzeba hamować ich zapal do zadawania sobie pokut i umartwień, niż do nich zachęcać! Większość z tych pokut jest naszą sprawą

indywidualną i zależy, jak powiedziałem, od duchowego nastawienia. Jednak za ważniejszą niż one sprawę uznajemy zrozumienie i niesienie codziennego krzyża. Chyba rozumiesz, co to jest krzyż...?

– No tak... cierpienie... znoszenie cierpień...

– Niekoniecznie! Bo przy takim jego rozumieniu gdyby ktoś nie cierpiał – ani duchowo, ani fizycznie (a weź pod uwagę, że chorób teraz nie ma) – wcale krzyża by nie niósł!

– Rzeczywiście, nie zastanawiałem się nad tym...

– Od razu to czułem! Może nie jest to chwila ku temu odpowiednia, by zgłębiać ten temat, ale krótko można... W naszym rozumieniu nasz krzyż codzienny, bez którego, jak wiesz, nie możemy uważać się za prawdziwych uczniów Chrystusa, polega głównie na ukrzyżowaniu swojej woli i całkowitym jej podporządkowaniu woli Bożej, ale też na kierowaniu się duchem apostołskim. Gdy dasz Bogu prawo, by odebrał ci to co przyjemne, lekkie i łatwe, a w zamian za to dał coś zupełnie przeciwnego – cierpienie, pustkę, oschłość wewnętrzną – jesteś na swoim krzyżu. Gdy jesteś na krzyżu za zbawienie ludzi – tych na ziemi i tych w czyśćcu (za nich ofiarujesz to, co cię spotyka, ale też to, co mogłoby cię spotkać) – dopiero wtedy j e s t e ś w p e ł n i u k r z y ż o w a n y . Gdyby Bóg ci tych trudnych prób i doświadczeń wcale nie dał, też jesteś na krzyżu, jednak pod warunkiem, że w każdej chwili jesteś gotów przyjąć te doświadczenia i z góry ofiarujesz je za innych ludzi. No i masz Bogu dziękować, zarówno za chwile trudne, jak i za łatwe i przyjemne. Czyż to nie jest piękne...?

– Dziękuję bardzo Bratu Przeorowi za tę piękną lekcję! Muszę ją przemyśleć... Dobrze, że mam nagranie i będę mógł do tego wracać. Może zakonnikiem nie będę, ale to jest chyba lekcja dla wszystkich...!

– Oczywiście. Ale miałem ci przedstawić historię naszego zakonu, a zacząłem, w zasadzie, od jej końca! Wróćmy więc jesz-

cze do jej początków. Sięgają one wieku XVII. Nasz założyciel, bł. o. Stanisław od Jezusa i Maryi Papczyński, był postacią znaną nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Jako kapelan, spowiednik i doradca króla polskiego Jana III Sobieskiego przyczynił się do tego, że król wyruszył w 1683 roku na odsiecz Wiednia i odniósł wspaniałe zwycięstwo nad armią turecką, uniemożliwiając jej zalanie całej Europy. Siły polskie były tak nikłe wobec potęgi wroga, że król polski zdecydował się na wyruszenie pod Wiedeń dopiero wtedy, gdy o. Papczyński, wiedziony duchem proroczym, zapewnił go „w imię Maryi Dziewicy” o przyszłym zwycięstwie.

– A czy sam był pod Wiedniem? Przewodnik w kościele na Kahlenbergu twierdził, że był tam tylko inny kapelan Króla, bł. Marco d'Aviano...?

– Niewątpliwie był. Bardzo stary dokument stwierdza, że „asystował” w czasie „ekspedycji wiedeńskiej”.

Posłuchaj teraz, jak powstał nasz zakon. W tych czasach wielu bitew, epidemii oraz klęsk żywiołowych wielu ludzi umierało bez dobrego przygotowania się do śmierci, więc i czyściec mieli dłuższy i cięższy. Przejęty ich losem o. Papczyński przebiegał wsie i miasta, głosząc kazania i nawołując w nich do najszlachetniejszego z dobrych uczynków: do ratowania z czyśćca dusz, które tylko z ziemi mogą ten ratunek otrzymać. Nazwano go więc „apostołem” tych dusz. Gdy w jego ślady poszli inni, gromadząc się wokół niego, zachęcał ich własnym przykładem i upomnieniami, by na rzecz czyśćca wyrzekli się wszystkiego, żyjąc w ubóstwie, a nawet w niedostatku...

– A więc podobna idea jak ta, która przyświecała zakonom „żebraczym”...?

– Tak, chociaż oparta na innych motywach.

Zaczęli więc prowadzić wspólne życie, oparte na zasadach Ewangelii. Uzyskawszy dekret pochwalny papieża dla rodzącego się zakonu, podjął o. Papczyński starania o zatwierdzenie reguły.

Pomyślną ku temu okolicznością był wybór na papieża dawnego nuncjusza apostolskiego w Warszawie, który przybrał imię Innocentego XII. Dwadzieścia lat wcześniej nasz założyciel był jego spowiednikiem, a nawet przepowiedział mu wybór na stolicę Piotrową. Papież ten 29 listopada 1699 roku zatwierdził dla nowego zakonu regułę dziesięciu cnót ewangelicznych Najświętszej Maryi Dziewicy, a w dwa lata później o. Papczyński złożył na nią jako pierwszy (na ręce nuncjusza apostolskiego) śluby zakonne i przyjął je od pozostałych zakonników...

– Czy to może te właśnie cnoty Maryi są symbolizowane przez dziesięć gwiazd na pieczęci?! A ja się zastanawiałem, dlaczego dziesięć, a nie, jak w Apokalipsie, dwanaście...

– Tak, nasza pieczęć zawiera graficzne przedstawienie naszej reguły. Patrzyłeś też dociekliwie na koronkę, którą nosimy u pasa, a którą nazywamy „dziesiątkiem” albo, po dawnemu, „decymką”¹⁵. Tych dziesięć paciorków również nawiązuje do dziesięciu cnót naszej Patronki. Jako zakon Maryjny zobowiązujemy się do naśladowania ich, a tym samym, składając duchowe ofiary, „unosimy się jak gołąbka” nad potopem ognia czyścowego. Gałązka oliwna w dziobie gołąbki, która upewniła Noego o końcu kary i możliwości opuszczenia arki, to symbol pomocy i pociechy, jaką staramy się nieść cierpiącym w czyśćcu.

– A słowo *Magnificat* na pieczęci...?

– Początek tej pieśni Maryi widnieje na wstędze pod tarczą na naszej pieczęci i także nawiązuje do naszego programu życiowego. Nie jest łatwo być stale zadowolonym ze wszystkiego co Bóg daje, niełatwo nieść krzyż z radością; jednak taka była postawa Maryi, i to nie tylko w domu jej krewnej Elżbiety. Mamy

¹⁵ Jest to koronka nie złączona, charakterystyczna dla Marianów. Na jednym jej końcu znajduje się medalik, a na drugim krzyżyk. Noszą też duży ciemny krzyż z pasyjką, zawieszony na białej taśmie na szyi, w czasie pracy zakładany za pas.

wielbić Boga zawsze i wszędzie, niezależnie od sytuacji życiowej, mamy także stawać się coraz mniejszymi we własnych oczach, by Bóg wzrastał w nas i przez nas. Założyciel dał nam tego przykład przez całe swoje życie, które zakończył 17 września 1701 roku.

Co jeszcze chciałbyś wiedzieć...? O naszej historii...? O naszym życiu...? Może masz ochotę na krótką przechadzkę? Chętnie i ja bym z niej skorzystał, taki piękny dzień...

– Ależ oczywiście, chodźmy! Pytań jeszcze miałbym wiele...

Znaleźliśmy się znowu na polanie okalającej klasztor i, okrążając połowę kręgu zabudowań, weszliśmy na piaszczystą drogę prowadzącą w głąb lasu. Za chwilę las się skończył i otworzyła się przed nami inna polana, znacznie większa od poprzedniej, stanowiąca klasztorny ogród warzywny i owocowy. Przypomniałem sobie, że widziałem już ją z góry, z okna mobilu.

– Każdego, kto tutaj dociera, zastanawia płot, dzielący nasz ogród na dwie części. Od razu ci wyjaśnię, że to jest nasza „klauzura”...

– Nawet tutaj...? Ale dla kogo? Przecież boki wcale nie są ogrodzone, nie ma żadnych furtek ani zamków...

– Jest to może nazwa zbyt szumna, jednak ten płot ma dla nas duże znaczenie. Ludzie, którzy do nas przyjeżdżają na rekolekcje od wiosny do jesieni, rzadko wyruszają na wspólne spacer, wolą przebywać w ciszy i w samotności. To właśnie dla nich jest ta pierwsza część przed płotem, by mogli się wyciszyć, pogrzebać w ziemi... Okazuje się, że takie grzebanie – pielenie, przerywanie warzyw, a na jesieni zbieranie płodów – niejednemu człowiekowi ułatwia skupienie się na własnych problemach, zrobienie sobie rachunku sumienia, podjęcie dobrych postanowień...

– Mogę tylko potwierdzić od strony psychologicznej, że pewne czynności, wykonywane monotonnie, ułatwiają skupienie, a nawet zapamiętywanie, porządkowanie materiału w pamięci. Może

nie wszystkim, ale na pewno tym osobom, które są zawsze aktywne i dla których ta aktywność stała się „drugą naturą”.

– Oczywiście. A płot pełni tu podwójną rolę: oddziela pracujących zakonników od osób świeckich, a zarazem świeckim wskazuje granicę, której nie powinni przekraczać w swej pracy... Co ja mówię: „świeckim”! Przecież na rekolekcje indywidualne przybywa tu także wielu księży, a często i siostry zakonne. Prawie wszyscy lubią mieć bliski kontakt z przyrodą, a więc i z ziemią, i z roślinami, i z drzewami owocowymi... No i nie do pogardzenia dla nas są także owoce ich pracy przez cały sezon. Zobacz, jak wszystko pięknie tu rośnie, na czas poprzerywane, opielone... Ponieważ nie przyjmujemy żadnych opłat za pobyt, wielu chce się nam odwdziaczyć swoją pracą tutaj. Często musimy nawet hamować ich zapał, by nie zatonęli w tej pracy po same uszy!

Zwróciła na siebie moją uwagę trójkątna tablica, z której patrzyło na nas... oko Bożej Opatrzności. Umieszczona była nad płotem – w połowie jego szerokości – na dość wysokim słupie. Przypomniałem sobie, że podobne oko widniało na tarczy kartusza nad wejściem do klasztoru, więc poprosiłem Przeora o rozwiązanie tej zagadki. Oto co usłyszałem:

– Trzeba sięgnąć aż do naszych początków. Gdy pierwsi Wspomożyciele Czyśćca, zgromadzeni wokół Założyciela, ubrali się w białe habity, rozpętała się przeciwko nim burza, i to najgorsza ze strony duchowieństwa. Wzięli ich w obronę król Jan III Sobieski oraz biskup miasta Poznań. Ten drugi, umierając, dał im ostatnie polecenie: „Znoście cierpliwie ubóstwo i przykrości; zapisałem wam w testamencie Bożą Opatrzność, Jej ufajcie”. Ojciec Papczyński przyjął z radością ten dar i odtąd polecił swoim zakonnikom codziennie zwracać się do Bożej Opatrzności, odmawiając trzy *Ojcie Nasz* i trzy *Zdrowaś Maryjo*. W ciągu wieków, mimo strasznych wojen i epidemii, Bóg czuwał nad nami, a wyrazem tej opieki był dostatek środków do życia. Dzisiaj oko Bożej

Opatrzności, umieszczone nad naszym ogrodem, pobudza nas do wdzięczności Bogu za wszystkie Jego hojne dary.

Daleko za płotem widniała biała postać w szarym fartuchu, pochyłona nad grządką jakichś warzyw, a na samym środku polaci przeznaczonej dla rekolektantów pracowały, oddalone znacznie od siebie, trzy osoby, które ani razu nie spojrzały w naszą stronę, mimo iż wcale nie rozmawialiśmy szeptem. Nie śpieszyły się, pracowały rozluźnione, ze skupieniem na twarzy, duchem nieobecne...

– Czy pomodlisz się ze mną? Tylko jedna dziesiątka koronki... – zaproponował Przeor, odpinając decymkę od pasa.

– Nie wiem, czy będę umiał...

– To bardzo łatwa modlitwa: będziesz mówił *Zdrowaś Maryjo*, a ja *Święta Maryjo*, dodając cnoty. Zaczynamy od *Ojcie Nasz*...

Rzeczywiście była to modlitwa łatwa, a zarazem piękna. Przeor po każdym *Święta Maryjo*, *Matko Boża* wymieniał jakąś cnotę Maryi; potem w klasztorze wypisałem je sobie w odpowiedniej kolejności. Oto one: najczystsza, najroztropniejsza, najpokorniejsza, najwierniejsza (chodzi o wiarę, nie o wierność Maryi, choć na pewno i w wierności Bogu przewyższyła wszystkich), najpobożniejsza, najposłuszniejsza, najuboższa, najcierpliwiejsza, najmiłosierniejsza, najboleśniej (chodzi o sposób znoszenia przez Nią bólei: z męstwem, cierpliwością, pokojem i wewnętrzną równowagą, z doskonałym poddaniem się woli Bożej).

Po powrocie do rozmównicy Przeor, na moje pytanie o regułę, przyniósł dwa jej opracowania: bardzo stare (jak mi się wydawało), na pożółkłym papierze, chronione w czarnym pokrowcu z materiału, i nowoczesne, dwujęzyczne: lewa kolumna po łacinie, prawa w naszym języku narodowym. Jak się okazało, to „stare” nie jest tak naprawdę stare, lecz stanowi *facsimile*¹⁶ oryginału przechowywanego w domu generalnym. Podobny egzemplarz

¹⁶*Facsimile* (łac.) to bardzo wierna kopia, którą trudno odróżnić od oryginału.

znajduje się we wszystkich domach Zakonu na całym świecie. Na ostatniej jego stronie widnieje *imprimatur* nadane w katedrze w Poznaniu oraz stopka drukarni: „W Warszawie, w Drukarni J. K. Miei y Rzeczy-Pospolitey Collegium Societatis JESU, Roku Pańskiego 1750”. Gdy zostałem sam, zagłębiłem się w tę regułę, podziwiając jej wielką prostotę ewangeliczną, a zarazem zawarty w niej praktycyzm życiowy. Korciło mnie, by zapytać jeszcze o ustawy zakonne oraz o „zwyczajnik”, a więc o te zapisy, które są najbardziej charakterystyczne dla danego zakonu i poruszają szczegóły codziennego życia, lecz nie miałem odwagi... Wyczułem, że jako gość nie mogę posunąć się za daleko, wkraczając na teren dostępny dla nowicjuszy, wdrażanych coraz pełniej w życie zakonne. Możliwe, że moja siostra ma u siebie coś z tych ustaw i zwyczajów – pomyślałem – a przynajmniej o niektórych słyszała, więc będę mógł od niej uzyskać informacje...

Dowiedziałem się jeszcze od Przeora, że wszyscy zakonnicy w klasztorze mają obowiązek uczestniczyć we wspólnej, a więc chóralnej, modlitwie brewiarzowej. Jest ona dłuższa niż była w innych zakonach, gdyż Wspomożycieli obowiązuje także *Officium Defunctorum*, czyli godziny brewiarzowe ofiarowane za zmarłych. Każdy rozważa też wszystkie tajemnice Różańca, a gdy zegar wybija pełną godzinę, powinien zmówić *Zdrowaś Maryjo* na cześć Patronki Zakonu, zgodnie z najstarszą tradycją. Co do postów – Zakon kieruje się ogólną zasadą, że każde odmówienie sobie pokarmu służy „nakarmieniu” dusz czyśćcowych, otrzymujących dzięki temu od Boga ulgę w męce lub wybawienie z czyśćca, jest więc bardzo szlachetnym uczynkiem miłosiernym. A jeśli chodzi o działalność zewnętrzną – w dawnych czasach zakonnicy zajmowali się nauczaniem ubogich dzieci i młodzieży oraz głoszeniem rekolekcji i misji ludowych, a więc współpracowali z księżmi proboszczami. Obecnie również głoszą rekolekcje w parafiach, lecz o wiele bardziej potrzebne są ludziom rekolekcje grupowe oraz dni skupienia,

prowadzone w domach zakonnych, a także indywidualne kierownictwo duchowe.

Ogólnie rzecz biorąc, wielkie wrażenie zrobił na mnie ten kilkugodzinny pobyt w klasztorze Wspomożycieli. Ta „wyspa”, wprowadzie otoczona „morzem” pięknego lasu i oddalona od ludzkich siedzib, lecz zarazem tak łatwo dostępna i gościnna, oaza ciszy i pokoju, wzbudziła we mnie wiele szlachetnych myśli i pragnień. Warto by było przybyć tu na dłużej...

8. U pustelnika

Ksiądz Leopold na odjezdnym wtajemniczył mnie w pewne szczegóły z życia pustelnika. Brat Konrad w Starym Świecie prowadził w Bawarii zakład mleczarski, znany z wyrobu doskonałych serów. Był z pochodzenia Holendrem. Tajniki produkcji serów przekazywała sobie jego rodzina z pokolenia na pokolenie. Żył dostatnio, wychowując z żoną trójkę dzieci. W czasie Oczyszczenia trzęsienie ziemi dokonało w Niemczech ogromnego spustoszenia (zapadły się wielkie połacie kraju), a zniszczenia dopełniły straszliwe fale, które dotarły aż do podnóża Alp, pozbawiając Konrada wszystkiego. Jednej nocy stracił całą rodzinę i dobytek, a sam obudził się z rozbitą głową na wysokiej skale, wyrzucony przez morze. Został ocalony, by móc resztę swojego życia spędzić właśnie tutaj, na niewielkiej wyspie, oddając się modlitwie i pokucie. Gdy stracił przytomność na zboczu góry, został porwany duchem do miejsca, w którym pouczono go o tajemnicach ziemi i nieba, i od tej pory różni ludzie zwracali się do niego o pomoc i radę. Gdy w czasie trzęsienia ziemi zerwane zostały wszystkie nici łączności między ludźmi, on właśnie dopomógł odnaleźć się niezliczonej liczbie ocalałych rodzin i przyjaciół. Z czasem prawie zapomniano o nim, mógł więc bez przeszkód przebywać w samotności.

Brat Konrad wyszedł nam na spotkanie przed swój dom, mogę więc przyjrzeć mu się z bliska. Wysokiego wzrostu, ogorzały, z długą siwą brodą i potężną grzywą – długie włosy spadają mu na ramiona – robi na mnie ogromne wrażenie, może głównie dzięki niesamowitym oczom: osadzone głęboko w kościstej twarzy, goreją wewnętrznym ogniem. Ich blask mówi o mocy ducha ich właściciela, a ich przenikliwość – o darze czytania w myślach i sercach. Sądzę, że gdyby z tymi darami Bożymi żył w Starym Świecie, kiedy to ludzie nie potrafili na ogół słuchać natchnień,

lecz szukali „nadzwyczajnych” charyzmatyków jako wspomocy-
cieli, byłby obleżony przez tłumy z całego świata. Teraz jednak,
gdy nawet w niewielkich osiedlach króluje Jezus Eucharystyczny
i można mieć stały dostęp do konfesjonu, ludzie przestali uga-
niać się za nadzwyczajnościami i tylko w sytuacjach wyjątkowych
szukają pomocy gdzieś dalej. Dzięki temu brat Konrad może dłu-
gie godziny poświęcać na modlitwę. „Popatrz na jego klęcznik –
powiedział mi ksiądz Leopold – a on powie ci wiele”. Mogę to
potwierdzić: widziałem i przekonałem się, że jest wytarty, a może
raczej wyżłobiony, niemal zdarty od kolan, i to bardziej niż
zelówki butów na twardych kamieniach!

Gdy usiedliśmy na ławce za stołem zbitym z nierównych de-
sek, ze zdziwieniem spostrzegłem, że stały na nim trzy kubki,
dzbanek z zimną wodą (ociekający skraplającą się na nim parą)
i talerz z bochenkiem razowego chleba. Dlaczego właśnie trzy...?
Czyżby gospodarz z góry przewidział przybycie gości? A więc to
prawda, co o nim mówią! – pomyślałem. Dla nawiązania rozmo-
wy zapytałem niezbyt dyskretnie:

– Czyżby Brat przewidział, że dzisiaj będziemy? Słyszałem,
że przestrzeń i czas stanowią dla Brata otwartą księgę...

– To prawda. U Boga jest „wieczne teraz”, więc w zjednocze-
niu z Nim i my możemy wznieść się ponad czas, postrzegając
przeszłość i przyszłość w taki sposób, jakby się t e r a z wypeł-
niały na naszych oczach...

– To musi być wyjątkowy dar Boga...?

– Oczywiście, jednak częstszy dzisiaj, niż w Starym Świecie.
Czytałeś o błogosławionej Annie Marii Taigi, Włoszce, do której
wielu ludzi przychodziło po radę. Wpatrywała się ona wtedy
w owalne światło, nazywając je „słońcem”, w nim widziała zda-
rzenia z różnych czasów. Słyszałeś o darze, którym posługiwał
się, zwłaszcza przy spowiedzi, święty Ojciec Pio: anioł Boży
odślaniał przed nim tajemnice ludzkich sumień. Podobne dary

wpisuje po prostu Bóg w czyjeś powołanie, i to w różnych czasach, zależnie od potrzeb...

Brat Konrad przymknął oczy i zamyślił się, a może zatopił w modlitwie – był duchem nieobecny. Zrobiliśmy z Anaelem to samo, powierzając Bogu w modlitwie każde słowo pustelnika, które, jak przeczuwałem, będzie miało ogromne znaczenie. Modlitwa przeplatała się u mnie z pełnym napięciem oczekiwaniem. Nie umiem powiedzieć, jak długo to trwało, nie śmiałem spojrzeć na zegarek. Gdy otworzył oczy, bardzo uważnie i przenikliwie popatrzył na Anaela, potem spuścił wzrok, skłonił głowę, a rękę położył na sercu jakże wymownym gestem. Wreszcie... przemówił!

– Wiem, czego ode mnie oczekujesz... ale i czego oczekuje Bóg. Jest Jego Świętą Wolą, bym odpowiedział na większość twoich pytań. Ale chwileczkę! (sięgnął po dzbanek).

– Kubek wody dla uczniów Chrystusa! Przełammy się chlebem jak przyjaciele. Niech na ten ewangeliczny pokarm i napój oraz na nas niegodnych spłynie błogosławieństwo Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego... Proszę bardzo!

Z rozkoszą piłem źródlaną wodę, a chleb... miał w sobie coś niezwykłego i niepowtarzalnego, jeszcze do tej pory pamiętam jego smak... smak miłości! Brat pustelnik kontynuował:

– Zacznijmy od pewnych szczegółów dotyczących schyłku Starego Świata oraz jego strasznego Oczyszczenia. Wprawdzie nikt z tobą nie chce, a nawet nie może o tym rozmawiać, bo rany dawno się zagoiły, lecz mnie te ograniczenia nie obowiązują.

Nie wszyscy mieszkańcy ziemi, nawet ci pozostawieni na Nowe Czasy, mogli się zorientować, co stało się, w s e n s i e d u c h o w y m, punktem przełomowym między dwiema epokami – między Starym i Nowym Światem.

Otóż wiedz, że Bóg wyznaczył duchom piekielnym granicę działania, której przekroczyć nie mogły, podobnie jak to było w Jerozolimie w Wielki Piątek. Na Golgocie szatan triumfował,

sprowadzając na Chrystusa wszelkie możliwe udręki, i to aż do granic wytrzymałości Jego ludzkiej natury. W momencie śmierci Odkupiciela Bóg powiedział piekielnemu złoczyńcy i jego ludziom „Stop!”, czego uzewnętrznieniem były zjawiska przyrodnicze.

– No tak, dobrze wiemy z opisu ewangelistów, a także z *Poematu Boga-Człowieka* Marii Valtorty, jak straszliwe zjawiska towarzyszyły śmierci Jezusa...

– Coś podobnego stało się w momencie, w którym Mistyczne Ciało Chrystusa, Kościół, dotknięte zostało niemal śmiertelną udręką, otoczone masą wrogów i zabójców, a nawet wyniszczone chorobą wewnętrzną. Gdy i tym razem Bóg powiedział „Stop!”, cała przyroda została jakby wprzęgnięta w walkę duchów dobrych ze złymi, aż do chwili Wielkiego Oczyszczenia. Zmieniona powierzchnia skorupy ziemskiej – jakby arena tej walki – mówi dzisiaj sama za siebie. Jednak ze śmierci zrodziło się życie...

– Podobnie jak żałoba Wielkiego Piątku i Wielkiej Soboty przemieniła się w radość poranka Wielkiej Niedzieli...?

– Właśnie. A co do konkretnych wydarzeń... Wiem, że stawialiście sobie kiedyś pytanie o to, jak dokładnie odczytać symbole zawarte w wizji „dwóch kolumn” świętego Jana Bosko... Nawet niektórzy spodziewali się, że Jan Paweł II, trafiony kulami po raz pierwszy, będzie dobity, jak w tej wizji, przez masonów. Jego śmierć... Ale po co to? Po co miałbyś to pisać?! Tak, zachowaj to dla siebie. Te szczegóły nie będą potrzebne ani mieszkańcom Starego, ani Nowego Świata. [...]

– A jego symboliczne imię...?

– *De labore solis*... „Labor” to zaćmienie słońca... ogromny trud, jaki zadawało sobie światło słoneczne, by dotrzeć do ziemi, omijając przeszkodę – księżyc – dwa razy: przy narodzinach Karola Wojtyły oraz przy jego pogrzebie... Tak, jego pogrzeb... (Konrad pokiwał głową). Czy przypominasz sobie księgę Pisma

Świętego, którą położono na jego trumnie? Cały świat, dzięki telewizji, mógł zobaczyć, jak została ona przekartkowana, a potem zamknięta. Mówiliście: „To wiatr, ale może jakiś symbol...” Wasze oczy były na uwięzi, nie mogliście zobaczyć anioła Pańskiego – to nie był wiatr, on nie mógł przewrócić tak ciężkiej okładki! Także wasze umysły były na uwięzi, bo nie odczytaliście wyraźnego Słowa Boga: wszystko zostało powiedziane, włącznie z ostatnim słowem Apokalipsy, zamykającej Pismo Święte...

– Ostatnim słowem jest chyba *Amen*...?

– Owszem, ale pisze je od siebie święty Jan, żegnając się z czytelnikami. Jednak ostatnie, które wypowiada Jezus, brzmi: *Zaiste, przyjdę niebawem*. Zamknięcie Księgi na trumnie miało być ogłoszeniem światu bliskości tego właśnie przyjścia naszego Pana. Moglibyście to wtedy łatwo odczytać, gdybyście nie zlekceważyli zapowiedzi Chrystusa, danej przez polską zakonnicę, świętą Faustynę Kowalską: „Polskę szczególnie umiłowałem, a jeżeli posłuszna będzie woli mojej, wywyższę ją w potęgę i świętości. Z niej wyjdzie iskra, która przygotuje świat na ostateczne przyjście moje”.

– Mówiło się jednak wtedy, że tą „iskrą” jest kult Bożego Miłosierdzia...

– Tak, lecz także Papież, który nie tylko ukazał wszystkim wagę tego kultu, ale cały świat poświęcił Bożemu Miłosierdziu. A uczynił to w momencie, w którym ręka Bożej Sprawiedliwości mocno już zaciążyła nad tym światem.

– Przypominam sobie w tej chwili, że Matka Boża w Garabandal w Hiszpanii, a było to po śmierci bł. Jana XXIII, wyraźnie określiła, ilu pozostało papieży do końca świata. Jan Paweł II miał być pierwszym z trzech ostatnich...

– To właśnie Janowi Pawłowi II zawdzięczał Kościół zwrócenie szczególnej uwagi na Garabandal, gdyż po latach ostrej walki

szatana i jego ludzi z tymi objawieniami, a potem po latach milczenia, ten papież powołał nową komisję do ich zbadania.

– A jego następcę...? Znowu chciałbym tu wrócić do wizji świętego Jana Bosko, według której chyba to właśnie Benedykt XVI miał doprowadzić i przycumować okręt Kościoła do „dwóch kolumn”? Miało to być równoznaczne z ostatnim etapem walki na morzu – wzajemnym zatapianiem się statków przeciwnika – jak też z następującym po tej walce okresie prawdziwego pokoju...?

– Jego następcę... Wielki Erudyta... Apokaliptyczne „trzy i pół roku”... Wyjawię ci jego tajemnicę, jednak nie masz prawa tego zapisywać ani przekazywać innym. [...] Jak widzisz, był to pontyfikat przełomu między starym i nowym światem.

– A jego symboliczne imię *De gloria olivae*...?

– Z czym tobie się ono kojarzy? Albo inaczej cię zapytam: czy pamiętasz jakieś przysłowia, odnoszące się do oliwy?

– „Oliwa sprawiedliwa, na wierzch wypływa”... no i... „dolewać oliwy do ognia”...

– Wiedziałem, że to od ciebie usłyszę. Oba te przysłowia można odnieść do tego właśnie papieża. Ale czy pamiętasz o użytku, jaki dawniej robiono z oliwy w czasie sztormów na morzu, zwłaszcza gdy trzeba było przybić do brzegu, a rozszalałe fale nie pozwalały na to? Marynarze wylewali z beczek oliwę i przez chwilę morze było w tym miejscu spokojne...

– To mi się znowu kojarzy z wizją świętego Jana Bosko! A więc oliwa... i pokój na morzu świata...?

– Tak, ale początkowo chwilowy i pozorny, jeszcze nie ten, który zapanował na całym świecie po Wielkim Oczyszczeniu.

– Tak czy inaczej, według przepowiedni świętego Malachiasza „Piotr Rzymianin” miał być ostatnim papieżem przed końcem świata...?!

– Wkraczasz już, stawiając to pytanie, w przyszłość... Wprawdzie ona nie interesuje naszego szczęśliwego pokolenia, ale mam dzisiaj pozwolenie od Boga, by i tę kartę odwrócić przed twoimi oczyma. Jednak są pewne rzeczy, których nie wolno ci będzie zapisać.

A więc to właśnie tego – ostatniego w dziejach ziemi – papieża widziały dzieci fatimskie w ramach tak zwanej „trzeciej tajemnicy” – drżącego, chwiejącego się pod nawalą cierpień, podążającego przez Wielkie Miasto, w połowie unicestwione, na górę, pod krzyż męczenników, na śmierć...

– To oczywiście wtedy – przerwałem bratu Konradowi – *Urbis septicollis diruetur et Judex tremendus judicabit populum...*?

– Tak to napisał święty Malachiasz: „W czasie najgorszego prześladowania Świętego Kościoła Rzymskiego będzie zasiadał na Stolicy Piotr Rzymianin, który będzie paść owce wśród wielu cierpień, po czym miasto siedmiu wzgórz zostanie zniszczone, a straszliwy Sędzia przyjdzie sądzić swój lud”. I to się wtedy stanie.

– Ale dlaczego ludzie Nowego Świata nie chcą o tym mówić, a nawet myśleć?! Próbowałem poruszać ten temat z kilkoma osobami, ale bez skutku! Czyż koniec świata nie jest już bliski...?

– Bo nie jest to, po prostu, wolą Bożą, by teraz ludzie interesowali się przyszłością, podobnie jak nie powinni powracać do złej przeszłości. Zarówno jedno, jak i drugie zamąciłoby szczęście tego wyjątkowego pokolenia, jedyne w historii świata, któremu dana została łaska oparcia życia ściśle na zasadach Ewangelii. Niedawno użyłeś tego określenia w rozmowie z kimś: „jak dziecko w piaskownicy”. Takie właśnie, wyjątkowo bez troskie, jest teraz życie i dzieci, i dorosłych. Spróbuj maluchowi robiącemu babki w piasku powiedzieć o tym, że niedługo w miejscu piaskownicy będzie wielki lej po bombie, a on umrze w wielkim cierpieniu... Czy nie będzie patrzeć na ciebie jak na swoje babki,

foremkę i naczynie z wodą, niczego nie rozumiejąc poza tym swoim małym światem?

– A Księga Apokalipsy świętego Jana...? Czy i w Nowym Świecie, w obecnej epoce Ducha Świętego oraz niezwykłego rozkwitu Jego darów, ludzie nie potrafią właściwie odczytać Apokalipsy?!

– Potrafią, lecz pewne rzeczy nie docierają do nich, podobnie jak do małego dziecka. Masz rację, że Apokalipsa zawiera, między innymi, obraz niezwykle jasny i precyzyjny: krótki opis uwolnienia szatana na ostatnią bitwę, kiedy to dane mu będzie powtórnie omamić narody i wraz z nimi otoczyć *obóz świętych, miasto umiłowane*. Nie będzie to tylko jakiś krótki moment, lecz najstraszliwsza z bitew w historii Kościoła – *wielki ucisk*, tak wielki, że ludziom będzie się wydawało, iż jeden dzień trwa jak tysiąc lat...

– Czytałem kiedyś o tym *ucisku* w *Quaderni (Zeszytach)* Marii Valtorty, tak go właśnie Chrystus opisał... Ale powiedz mi, Bracie, czym będzie kierował się Bóg, żeby na tak świętych ludzi dopuszczać aż tak wielki ucisk? Czy może tym, że zechce dać im koronę męczeństwa...?

– Tak, ale nie tylko! Nawet największy święty ma jakieś grzechy i tym mocniej odczuwa najmniejsze zło, im bardziej jest święty – widzi coraz jaśniej to zło w świetle Bożym. Jeżeli weźmiesz pod uwagę, że po Sądzie Ostatecznym czas przestanie istnieć, a więc i kara doczesna, możesz się domyślić, że wszyscy powołani do wiecznego szczęścia będą musieli przejść swój czyściec właśnie na ziemi. Jest więc oczywiste, że ów „wielki ucisk” będzie im musiał zastąpić czyściec i będzie dla nich wielką łaską. Bardzo wielką (!) dlatego, że w czyścicu tylko się pokutuje i wynagradza, a na ziemi do ostatniej chwili można zdobywać zasługi na niebo, mieć wpływ na wzrost swojej wiecznej chwały. Ostatni święci, nie tylko męczennicy, ulecą jak orły w światło Wiecznej Chwały, więc

muszą stać się tego godni. Szatan, wbrew swojej woli, przyczyni się do wielkiego ich uświęcenia i powiększenia ich chwały.

– Nurtuje mnie (zresztą zawsze nurtowało) pytanie, jak niektórzy z ludzi Nowego Świata dojdą do tak wielkiego upodlenia i buntu przeciwko Bogu, by stać się narzędziem szatana...?! Przecież tak są obecnie szczęśliwi, rozmodleni, o prawidłowo ukształtowanym sumieniu – po prostu i bez przesady święci...?

– Wprawdzie teraz szatan jest, zgodnie z określeniem Apokalipsy, *związany*, aby nie zwodził narodów, jednak to nie znaczy, że nie może zwodzić jednostek. Anielska pieczęć spoczywa na pokrywie czeluści, do której wtrącony został Lucyfer oraz najwięksi spośród upadłych aniołów, „specjaliści” od wzniecania wojen, powodowania wielkich zakłóceń w przyrodzie, katastrof, epidemii. Pozostają jednak na ziemi słudzy Lucyfera najniższej rangi – jakby „stróżowie” (w złym sensie) poszczególnych ludzi, próbujący wykorzystać najmniejsze ludzkie słabości, pozornie niewinne zainteresowania niektórych osób tym, co nosi tylko pozory dobra, prawdy i piękna. Tymi właśnie pozorami będą oni mogli wabić ludzi, a potem zatruć ich myślenie oraz wzbudzić pragnienia, niepostrzeżenie otwierające piekłu dostęp do dusz...

– Rozumiem: ukryci wrogowie budują przysłowiowe „konie trojańskie”, by wnikać do twierdz-dusz i od środka je zatakować, gdy przyjdzie na to odpowiedni czas!

– Dobrze to określiłeś.

– Mogę to porównać do zjawiska, które zaobserwowałem w swojej pracy, kontaktując się z rodzinami pod koniec starej epoki. Iluż to dobrych katolickich rodziców nie mogło się nadziwić, że zrobili wszystko, by jak najlepiej wychować swoje dzieci, lecz spotkało ich straszliwe niepowodzenie w stosunku do najmłodszego dziecka, podczas gdy ze starszymi nie mieli kłopotów.

– Właśnie coś podobnego stanie się i tym razem. Te najmłodsze dzieci, które już nie przeżyły Wielkiego Ostrzeżenia

i Kary, a mają wszystko czego zapragną, są najbardziej narażone na diabelskie pokusy. Przyjdzie czas, że zaczną nudzić je modlitwa, a nawet zaczną sobie stawiać pytanie, po co się modlić, skoro i bez Boga wszystko „samo” przychodzi. Zaczną je nudzić oparty na ścisłych, choć nie pisanych regułach, styl życia ich otoczenia i zapragną „mocniejszych wrażeń”. Doświadczeni piekielni „stróżowie” podsuną im je, wzbudzając zainteresowanie złą przeszłością, którą starsi na zawsze odrzucili. Powróci więc moda na przeróżne „czary” i „horror”. Będzie to nosiło początkowo pozory niewinnej zabawy, lecz trucizna zacznie działać tak szybko i tak porażająco, a zarazem tak szeroką falą w świecie, że starsi stracą kontrolę nad dziećmi i bezradnie rozłożą ręce. Okaże się, że prowadząc święte życie nie są oni nawet w stanie zrozumieć przeciwnych dążeń swoich dzieci...

– I dojdzie pewno do tego, że ten szczęśliwy świat, nie znający dotychczas innego prawa niż przykazania Boże oraz głos prawego sumienia, okaże się zupełnie niezdolny do samoobrony...?!

– Tak właśnie się stanie. Nie posiadając sądów, więzień, policji, wojska, całego aparatu kontroli, ani też możliwości odpowiadania przemocą na przemoc, ulegnie destrukcji ze strony tych, którzy rzucili się w pogoń za nieuczciwym zyskiem-mamoną oraz za wykorzystaniem tego zysku dla własnych, egoistycznych i grzesznych, przyjemności. Duchy piekielne opanują tak wiele dusz (nawet – co wydaje się dziś niemożliwe – wśród sług ołtarza), że Lucyfer będzie się domagał prawa powrotu na świat, i otrzyma je. Pod koniec istnienia Kościoła wróg doprowadzi do tego, co było na jego początku, a co zapowiedział Chrystus: *w jednym domu dwoje będzie przeciw trójgu, a troje przeciw dwojgu, brat wyda brata na śmierć, a ojciec syna*. Niemal jedyną pociechą dla ostatnich męczenników będzie zapowiedź Jezusa, że *ze względu na wybranych zostaną skrócone te dni*. O więcej nie pytaj, nie próbuj też rozmawiać na ten temat z nikim, gdyż...

– „Dzieci w piaskownicy” nie rozumieją...?

– Oczywiście. A teraz zmienmy temat. Wiem, że chcesz wiedzieć, czy życie poszczególnych narodów miało wpływ na taki a nie inny wymiar Wielkiej Kary. A poza tym... dziwi cię tak nagle uzdrowienie ludzi i całej przyrody, jej bujny wzrost. Ktoś już próbował ci to wytłumaczyć, ale i ja nie unikam odpowiedzi.

Pod koniec Starego Świata szatan poczuł się w tak wielkim stopniu jego panem, że przestał się zupełnie ukrywać. Miał już tylu swoich ludzi, i to nawet na szczytach Kościoła, że wypowiedział otwartą wojnę samemu Bogu...

– Już Paweł VI mówił o „dymie szatana”, który wniknął do Kościoła...

– No właśnie, chociaż za jego pontyfikatu nie było jeszcze tak źle. Największe zwycięstwa szatana widoczne były w publicznym odrzucaniu przez kolejne kraje Bożego prawa, zawartego w Dekalogu. Na jego miejsce wprowadzano bezprawie, będące odwrotnością Dziesięciu Przykazań: „prawo” do bezkarnego zabijania najpierw nienarodzonych dzieci w łonach matek, a potem i ludzi dorosłych; „prawo” do nieograniczonego cudzołóstwa i sodomskiego rozbudzania zboczonych instynktów, wobec którego mogłyby rumienić się ze wstydu nawet zwierzęta, które zawsze żyją zgodnie z naturą. Katalog tych grzechów Starego Świata, wołających o pomstę do Nieba, był długi, jednak zamknijmy go grzechem służby mamonie czyli zanurzenia się w żądzy zysku, co było widoczne zarówno w życiu jednostek, jak i całych krajów bogatych, bezlitośnie pasożytujących na ciele krajów słabszych i biedniejszych, a przez to bezbronnych.

Ważne jest to, że było to bezprawie nie tylko praktykowane, lecz i „zalegalizowane”, a więc ujęte w prawie poszczególnych narodów, i to nawet tych, które dawniej chlubiły się mianem filarów Kościoła!

– To właśnie i mnie aż do dzisiaj napawa bólem i zgrozą! Pra-

wodawcy tych narodów posunęli się do tego, że zadrwili sobie z ustanowionego przez Boga małżeństwa, stawiając związki zбочеńców – homoseksualistów – na równi z małżeństwami, przyznając im te same prawa! Władze wysuwały groźby pod adresem tych urzędników, którzy nie godzili się brać udziału w parodio-waniu małżeństwa i nie chcieli przyjmować „przysięgi” od par zбочеńców... Dobrze pamiętam te czasy! Ci biedni niewolnicy piekła stawali się coraz bardziej zuchwali i głośni, nie cofali się nawet przed napaścią na kościoły i atakowaniem księży, którzy ich związki nazywali po imieniu. Nie tylko stracili jakiekolwiek poczucie wstydu, ale nawet chlubili się swoją „odmiennością” twierdząc, że takimi się urodzili...

– Napotkałeś takich ludzi, którzy pozornie szukali pomocy w poradni, ale tak naprawdę nie chcieli wyjść z tego bagna...

– Tak właśnie było. Nie chcieli słuchać głosu trzeźwych badaczy tego problemu, którzy wykazywali, że nikt nie przynosi na świat „zapisanej w genach” skłonności do zбочеń seksualnych, lecz obiera ten kierunek pod wpływem działań, czy to własnych, czy innych ludzi-uwodzicieli. Uwodziciele dotarli do najmłodszych, działając na terenie szkół, ale też wsączając swoją truciznę w serca widzów. O pismach, adresowanych do młodych, lepiej już nie wspominać!

– Wiem, że chociaż żyłeś w tych czasach, nie zdawałeś sobie jednak w pełni sprawy z tego, jak bardzo duch Sodomy i Gomory – miast zniszczonych za te grzechy na oczach Abrahama – opanował ówczesny Zachód. W twoim kraju nie posunięto się aż tak daleko. Bóg chciał podzielać na wyobraźnię grzeszników poprzez kary, które, mimo iż były dotkliwe, można uznać za nikły cień tego, co miało nadejść na świat. Przypomnij sobie jedną z takich kar – był nią straszliwy huragan, który zniszczył południe USA pod koniec sierpnia 2005 roku. Najwięcej ucierpiał Nowy Orlean, do którego właśnie wtedy zjechali się na swoje coroczne „święto”

homoseksualiści. To bagno moralne znalazło swoje odbicie w rzeczywistości zewnętrznej: całymi tygodniami poszukiwano zwłok tych biednych ludzi w wodzie i w szlamie zalegającym ulice...

Gdy nadeszło Wielkie Oczyszczenie, Bóg wziął pod uwagę – odpowiadam teraz na twoje pytanie – stan moralny poszczególnych narodów. Niektóre z nich były aż tak zepsute, że legły na dnie morza, zapadły się wraz z górami lub wyspami, a całe połączenie innych zostały splukane przez fale o wysokości kilkudziesięciu metrów lub zalane potokami lawy wulkanicznej. Nie podróżowałeś jeszcze wiele, ale z lotu ptaka mogłeś przyjrzeć się znacznemu obszarowi Europy... Widziałeś, co stało się z Niemcami, Szwajcarią, Danią, Szwecją, albo i naszą Holandią... Ile ucierpiały Francja, Hiszpania i Anglia. Wiem, że już jako dziecko otrzymałeś od Boga pouczenie o tej Karze Oczyszczającej i u schyłku Starego Świata nie zaopatrywałeś się w atlasy ani w encyklopedie wiedząc, że niedługo wszystko ulegnie zmianie. Czy jednak spodziewałeś się, że aż do tego stopnia...?

– O tak! Bóg pokazał mi kiedyś prawie całą kulę ziemską jakby z lotu ptaka, z takiej wysokości, że mogłem przyjrzeć się kontynentom i krajom oraz temu, co się tam działo. To było przerażające!!! Miałem wrażenie, że życie na ziemi zawisło na włosku i lada chwila nasz glob rozsypie się w kawałeczki! Nie wiele już z tego pamiętam oprócz samej grozy oraz wielkich śniegów, pokrywających Azję i Europę. A potem wiosna i... nieopisana radość! Wszystko rozkwitło życiem jakby na nowo, z rozkoszą lądowałem wśród zieleni... Czy i Ameryka przeżywała coś podobnego – chwile takiej grozy, jakichś kataklizmów? Czy bardzo była zniszczona...?

– Musisz sam się przekonać, niedługo tam będziesz. Uderzenie meteorytu – widziałeś go jako dziecko i wiedziałeś, że żadne rakiety wycelowane w niego nie będą mogły go rozbić – spowodowało rezonans całej skorupy ziemskiej, wywołując wybuchy

wulkanów, zapadanie się ogromnych obszarów i wypiętrzanie się innych. Armia, która wówczas zalała prawie całą Europę i doszła aż do Atlantyku [...] (tak, te szczegóły pominięte w swojej książce), przerażona poszła w rozsypkę i tylko niewielka jej część ocalała w drodze powrotnej do swego kraju. A Ameryka... Ogromny jej obszar – myślę o Ameryce Północnej, bo Południowa mniej ucierpiała – spotkał rzeczywiście los Sodomy i Gomory: błyskawicznie stała się morzem dymiącej lawy, która jak z wrzącego kotła wylała się spod parku Yellowstone. Nie zdążyła tylko dotrzeć na samo południe i na wybrzeże wschodnie, ale tam zniszczenia dopełniły monstrualne fale oceaniczne...

– Ale przecież przy takich wybuchach miliardy ton pyłu wulkanicznego wylatują w powietrze, zasłaniając niebo...!

– Niebo *jak zwinięta księga*... O tak, apokalipsa Izajasza i Apokalipsa świętego Jana zawierają ten właśnie obraz, jakże dokładny. Zajrzyj do trzydziestego czwartego rozdziału Izajasza, do tego opisu pustki i martwoty na terenach, które zamieszkują tylko dzikie zwierzęta...

– Do trzydziestego czwartego?! O ile pamiętam, rozdział następny – trzydziesty piąty – zawiera opis wielkiego szczęścia...! *Przejrzą oczy niewidomych, język niemych wesóło krzyknie... Trysną źródła wód na pustyni...*

– Masz rację. To oczywiste, że stało się tak, jak widział to Izajasz: Wielka Kara poprzedziła Wielkie Szczęście, które stało się darem Boga dla wybranych, dla pozostawionych na ziemi.

– Dzisiaj jest to dla nas oczywiste... Ale w takim razie dlaczego ludzie Starego Świata nie potrafili właściwie odczytać Apokalipsy...?! Jedni twierdzili, jak na przykład Francuz Tresmontant – na szczęście nie miał on wielu zwolenników – że opis apokaliptycznych wydarzeń wyszedł spod pióra najwyższego kapłana świątyni jerozolimskiej, Jana (a nie Jana Ewangelisty), i obejmował czas tylko do roku siedemdziesiątego, kiedy to zbu-

rzona została przez Rzymian Jerozolima. Inni – ogromna większość – rozmywali opisy ostatniej z ksiąg Pisma Świętego na całą epokę istnienia Kościoła, a najbardziej drastyczne z nich (na przykład plagi ostateczne) łączyli z końcem świata...

– Wiem doskonale, że to tylko taki twój zabieg redakcyjny – stawiając to pytanie, chcesz wyciągnąć ode mnie odpowiedź, którą sam dość dobrze znasz... – ale niech ci będzie! Byłeś w Starym Świecie za takie poglądy „apokaliptyczne” lekceważony, policzony między trochę pomyłonych, a nawet atakowany przez „uczonych w Piśmie”, prawda?

Otóż wielu ludziom odpowiadał obraz Boga surowego, Sędziego napawającego strachem, a byli i wielcy kaznodzieje, którzy powalali na kolana ogromne tłumy, zapowiadając bliski koniec świata. W umysłach ludzi tamtej epoki ewangeliczne opisy Wielkiej Kary Oczyszczającej tak dalece zlały się w jedno z przyjściem Jezusa na Sąd Ostateczny, że nie potrafili ich rozdzielić. Teraz, kiedy już tę Wielką Karę mamy za sobą i wiemy, co znaczyła zapowiadana przez Chrystusa *trwoga narodów, bezradnych wobec szumu morza i jego nawałnicy* (trwoga tak wielka, że rzeczywiście ludzie *mdleli w oczekiwaniu wydarzeń zagrażających ziemi*); gdy wiemy, o czym myślał nasz Pan, zapowiadając wojnę, głód, zarazy, trzęsienia ziemi, straszne zjawiska i znaki na niebie, z zaćmieniem słońca i księżyca włącznie – umiemy właściwie odczytać Apokalipsę świętego Jana. Poznaliśmy tajemnicę „Wielkiego Babilonu” i „Wielkiej Nierządniczy” oraz kary jej wymierzonej, jak też „Smoka” oraz służących mu „Dwóch Bestii”, z których druga była „Fałszywym Prorokiem”. Wiemy, jak wyglądał i ile trwał okres największych zwycięstw duchów piekielnych, określany w Apokalipsie jako „trzy i pół roku”. A, co chyba najważniejsze, żyjemy w tym świecie, który opisującym go prorokom jawił się tak szczęśliwy i podobny do raju, że później wielu czytelników Biblii kręciło głowami mówiąc: „To niemożliwe, by

te opisy dotyczyły ziemi, tu na pewno chodzi o absolutną pełnię czasów mesjańskich czyli o Niebo”.

– Tak wtedy było, wiem o tym dobrze. Oliwy do ognia dolewali „prorocy” schyłku Starego Świata, których wypowiedzi drukowano w milionach egzemplarzy – wprowadzali taki zamęt do ludzkich umysłów, że już w końcu niewielu chciało słuchać kogośkolwiek spośród wypowiadających się na te tematy! Niektórzy z nich twierdzili, że nadchodzi szczęśliwy okres, w którym nie będzie w ogóle grzechu ani śmierci...!

– No właśnie. Przyznam się, że i ja wtedy w dużym stopniu im uwierzyłem, chociaż dzisiaj śmieję się z tego. „Okres bez śmierci”...! Gdyby teraz zobaczyli, z jaką tęsknotą czekają ludzie na śmierć! Czy można bardzo kochać Boga i nie pragnąć zjednoczyć się z nim, choćby natychmiast, zostawiając ziemi to co ziemskie, z ciałem włącznie?!

– Miłość dąży do zjednoczenia, to oczywiste. Niedawno w swojej rodzinnej parafii byłem zaskoczony, gdy na pytanie księdza, kto chciałby w tej chwili umrzeć, podniósł się w kościele las rąk, z dziecięcymi włącznie!

– A więc widzisz...

– Niech Brat pozwoli, że powrócę jeszcze do tego, co mnie nurtuje... Mieszkańcy Nowego Świata doświadczyli grozy i tragizmu Wielkiego Oczyszczenia, weszli w szczęśliwy okres po Oczyszczeniu, więc... chyba wiedzą, że przed nimi ostatni etap dziejów...? Czy, mówiąc o końcu świata i Sądzie Ostatecznym (być może już bliskim), nie kojarzą sobie z nim żadnych strasznych wydarzeń...?

– Żadnych. Lubimy powtarzać zdanie z Listu do Tesaloniczan: *Będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób na zawsze będziemy z Panem*. Nie umielibyśmy dzisiaj przeżywać przesłania Michała Anioła, zawartego w jego słynnym kiedyś fresku z Kaplicy Sykstyńskiej – drzeć z lęku

przed grozą oblicza Sędziego Żywych i Umarłych... To nas nie dotyczy. Śmierć jest dla nas radością, tęsknimy za Niebem...

– To może dobrze, że fresk rozsypał się w kawałeczki...?

– Widocznie wypełnił już swoje zadanie...

– Jeszcze nie odpowiedział mi Brat na pytanie, w jakim stopniu Wielkie Oczyszczenie dotknęło poszczególne narody. Trudno mówić o wszystkich, ale... czy były takie, które Bóg oszczędził...?

– Tak, a uczynił to wyraźnie ze względu na powierzona im misję. Na ich czoło wysunęła się Polska...

– A więc jednak...?! Słyszało się kiedyś o różnych przepowiedniach dotyczących tego narodu. On sam miał swoich proroków, wieszczących mu świetlaną przyszłość (wspominaliśmy przed chwilą świętą Faustynę), ale i poza jego granicami... Czytałem już dawno temu – szczegółów nie pamiętam – co mówiła na temat roli Polski niemiecka wizjonerka Teresa Neumann...

– Przypomnę ci: Niemcom groziła straszliwymi karami, jeśli się nie nawrócą; na miejscu Berlina – dawnego słowiańskiego miasta Branibor – widziała szumiącą puszcę; Polskę ceniła wysoko jako kraj, który nigdy, dzięki opiece Czarnej Madonny z Częstochowy, nie odstąpi od Bożego prawa, wyjdzie obronną ręką z Wielkiego Oczyszczenia i pomoże innym narodom stanąć na nogi. Zapoczątkuje nowy styl życia, na którym wzorować się będą inne narody...

– I czy, jeśli chodzi o zniszczenia, tak się stało? Teraz, gdy istnieją tylko granice etniczne, nie widać z lotu ptaka różnicy między zabudową w poszczególnych krajach Europy – trudno rozróżnić, gdzie kończy się Polska, a gdzie zaczynają się kraje sąsiednie.

– Teraz tak jest, ale w pierwszych latach kraj ten wyróżniał się wszystkim: bogactwem prostych pomysłów na urządzenie wspólnego życia, błyskawiczną rozbudową sieci parafii i diecezji, wdrożeniem zasad katolickiego nauczania i wychowania w oparciu

o doświadczenie świętych, wykorzystaniem najnowszych wynalazków do uproszczenia codziennego życia, a nawet tworzeniem „mody”: to właśnie Polacy jako pierwsi w Europie zaczęli bez żenady chodzić boso i w ubraniach bardzo prostych i skromnych, często przypominających średniowiecze...

– Słyszałem, że powrót do biblijnego denara to także ich pomysł...?

– Tak, to oni wprowadzili u siebie jako pierwsi denara jako walutę wymienną, określającą przeciętne wynagrodzenie za dzień pracy. Oni ustanowili odpowiedzialnych za dziesięć, pięćdziesiąt, sto i tysiąc rodzin – namiastkę dawnej administracji, zupełnie wystarczającą oczyszczonemu światu... Trudno wszystko wymienić!¹⁷ Gdy spotkasz w świecie Polaków i zobaczysz, jak wielkim cieszą się autorytetem, przypomnisz sobie naszą rozmowę. Dopiero teraz, z perspektywy lat, widzimy, jak ogromnie wiele wnieśli oni w życie całego świata. Dobrze wypełnili swoją misję!

– A więc i Brat potwierdza, że Stary Świat ich nie doceniał...?

– To za słabo powiedziane! Byli dla szatana solą w oku, ponosił tam klęskę za klęską... Zwycięstwa też odnosił, to prawda, lecz na mniejszą skalę. Czyż można się więc dziwić, że jego słudzy niszczyli ten kraj na wszelkie możliwe sposoby? Gdy tylko, na krótko, wynurzał się na powierzchnię i łapał oddech, znów rzucali się na niego, i to przez setki lat. Oczyszczył się jednak wśród tych cierpień i mógł wypełnić swoje powołanie wobec innych narodów, przywalonych cierpieniem. Miał bardzo wielu męczenników za wiarę i wielką liczbę innych świętych, którzy wsparli go z nieba w jego dziejowej misji!

¹⁷Później przypomniałem sobie, że brat Konrad wspominał także o wyjątkowym kulcie świętych w tym narodzie. Polacy jako pierwsi w taki sposób ułożyli swój kalendarz, że każdy dzień roku wiąże się „obowiązkowo” z liturgicznym wspomnieniem jakiegoś patrona.

Aha, jeszcze coś bardzo ważnego: gdy u schyłku Starego Świata kolejne kraje poddawały się pod panowanie szatana (zwłaszcza przez bezbożne prawodawstwo – mówiliśmy już o tym), w Polsce znalazło się dosyć ludzi dobrej woli, by udało się przeprowadzić uroczysty akt na miarę ogólnonarodową: ogłosić Chrystusa Królem Polski. Nazwano to „intronizacją”. Wcześniej wierzący w Niego poddali się Jego panowaniu aktem osobistym. Teraz jest to czymś najzwyklejszym i powszechnym, gdyż w ślady Polski poszły wszystkie narody, lecz wtedy było to czymś wyjątkowym i stało się ratunkiem dla tego kraju. Już przed drugą wojną światową sam Chrystus domagał się tego i obiecywał oddalenie od Polski wojny, lecz wtedy nie posłuchano Go. Tym razem jednak Polacy okazali się mądrzejsi i ocalili...

– Doskonale wiem, jak ten kraj był atakowany, opluwany, ośmieszany, wykorzystywany. Był czas, kiedy mówiło się, że nasze kraje słowiańskie powinny utworzyć federację i przeciwstawić się zaborczym planom Zachodu...

– Śmiesznie to dzisiaj brzmi! Zostawmy ten temat. Teraz nikt nie bawi się w politykę, a rozgrywanie jakichkolwiek bitew, nawet na szachownicy, nikomu na myśl nie przyjdzie!

– Jak to, nawet na szachownicy...?

– Ludzkość jest konsekwentna. Jeśli odrzuciła dawny styl życia, to w najdrobniejszych szczegółach. Sam kiedyś lubiłem grać w szachy, ale teraz... zabijanie, osaczanie, blokowanie, przechytrzenie przeciwnika, cała strategia gry z udziałem maleńkiej armii – to coś tak bardzo nie z tego świata, że nie tylko mnie nie pociąga, ale wprost odpycha! Nawet śmieję się na myśl, że miałbym komuś dać mata... Czy to by bliźniego uszczęśliwiło?!

– Rozumiem... A w zasadzie... uczę się na nowo żyć! I ja kiedyś lubiłem grać w szachy, ale nie przyszło mi do głowy, że ta gra tak bardzo przypomina Stary Świat, w którym przecież nie było dnia bez wojny!

– No tak. Pozostał jeszcze do omówienia jeden interesujący cię problem: jak to się stało, że ziemia, mimo iż została dotknięta tak straszhwymi kataklizmami i była terenem walki złych duchów z aniołami oraz igraszką rozpętanych żywiołów, tak szybko oczyściła się z pyłów wulkanicznych, szkodników i chorób, rozkwitła życiem oraz wynalazkami, których wciąż nie przestajesz podziwiać. Ludzie cieszą się i dziękują za to wszystko Bogu, lecz pewno nie wszyscy znają tajemnicę tej nagłej przemiany.

Przypomnij sobie rozmowę Matki Bożej z wizjonerami w La Salette we Francji w 1846 roku. Wypowiedziała ważne zdanie, na które niewielu ludzi zwróciło wówczas uwagę, gdyż potraktowali je wyłącznie jako przenośnię: „Jeżeli ludzie się nawrócą, kamienie i skały zamienią się w zboże, a ziemniaki zasadzą się na każdym polu”. W ten obrazowy sposób Królowa Nieba i Ziemi zapowiedziała wielki cud, zdziałany przez Boga na rzecz ludzi, pozostawionych na ziemi po Wielkim Oczyszczeniu.

Jak wiesz, zarówno ziemia, jak i ciało ludzkie, które jest z nią tak ściśle związane, w siedemdziesięciu procentach składają się z wody, a krew w dziewięćdziesięciu procentach. Bóg, który powierzył życie całej przyrody swoim aniołom, mógł im oddać właśnie teraz całą wodę ziemi we władanie...

– Jak to?! – zdziwiłem się. A przedtem – kto nią władał...?

– Wśród upadłych aniołów znajdują się także „specjaliści od wody”, nie zapominaj o tym. Otrzymali tę władzę na początku, jeszcze przed próbą, lecz po upadku wykorzystali w Starym Świecie wszystkie swoje możliwości, żeby szkodzić ludziom, zatruwając całe środowisko ich życia, z ciałem włącznie. To złe duchy popychały ludzi do tego, by stawali się powolnymi samobójcami i zabójcami życia na własnej planecie, by wytwarzali w niektórych regionach więcej trucizn, niż substancji korzystnych dla zdrowia i życia. Teraz te duchy piekielne zostały wypędzone ze świata, a ich słudzy surowo osądzeni.

Duch Boży unosił się nad wodami – czytamy w Księdze Rodzaju. To samo dokonało się w Nowej Pięćdziesiątnicy, która była przetworzeniem, jakby stworzeniem świata na nowo. Wtedy też Anioł Wód, wspomniany w Apokalipsie świętego Jana (w wizji aniołów wylewających czasze gniewu Boga na ziemię) otrzymał pełną władzę przywrócenia wszystkim wodom ich pierwotnej czystości. Mówiąc o „czystości” mam na myśli usunięcie z wody zapisu zła, którym była skażona w Starym Świecie...

– Zapisu zła...? A więc potwierdziło się to, że woda ma swoją „pamięć”?! Przypominam sobie badania nad jej strukturą, prowadzone przez Japończyka Masaru Emoto, który nauczył się tworzyć kryształy wody, coś w rodzaju płatków śniegu, w temperaturze -5°C . Dowiódł on, że wygląd tych „płatków”-kryształów zależy od warunków otoczenia, w jakim znajdowała się woda. Jeżeli na fiolce z wodą napisał na przykład „anioł” i zostawił ją na noc, sfotografowane rano kryształki przypominały kolorowe pióra anielskich skrzydeł, a gdy napisał „diabeł” – wcale nie tworzyła kryształów, lecz jakąś rozlaną wstrętną czarno-żółtą ciecz. Podobnie „diabelski” był jej wygląd, gdy była poddana oddziaływaniu dźwięków muzyki rockowej...

– Rzeczywiście kiedyś ludzie nazywali ten hałas i wrzaski „muzyką”, i to nawet, niekiedy, „chrześcijańską”!

Co do wynalazku Japończyka – masz rację, właśnie on pozwolił potwierdzić prawdę, o której mówię. Woda wchłania w siebie – ale i wypromieniowuje – złe lub dobre ludzkie emocje. Gdyby więc Bóg uzdrowił tylko człowieka, a pozostawił go w skażonym środowisku, czy długo mógłby być zdrowy i szczęśliwy?

– Widzę, że to co u schyłku Starego Świata było dopiero w stadium eksperymentów, teraz ludzie wykorzystują w praktyce na wielką skalę...?

– Oczywiście, jednak tylko to, co było naprawdę dobre. Teraz, gdy ludzie odrzucili podszepty duchów zniszczenia, Aniołowie

podsunęli im tyle natchnień, tyle pomysłów z różnych dziedzin życia, że, jak widzisz, wszystko posunęło się szybko naprzód, nawet bez wielkiego ludzkiego wysiłku. Tak stało się też z odkryciem innego Japończyka, Teruo Higa, profesora ogrodnictwa, który połączył w jednej cieczy różne mikroorganizmy, sprzyjające bujnemu wzrostowi roślin. Wiesz już o nim dostatecznie dużo. Nawet tu, w moim ogródku na wyspie, stosuję jego wynalazek.

– „Kamienie zamieniły się w zboże”...? Może ta zapowiedź Maryi miała coś wspólnego z zakopywaniem w ziemi granulek ceramicznych z mikroorganizmami, wynalezionych przez Teruo Higa? A to, że „ziemniaki zasadzą się same”...? Wszystko rośnie niemal samo, bez wysiłku ludzkiego... Raj na ziemi!

Nagle przyszło mi na myśl, że mogę przeegzaminować brata Konrada, rzucając jako hasło wywoławcze imię Chinki, przypominiane mi przez Anaela: Xie Xiao Li. Gdy wypowiedziałem jej imię, wcale nie był zaskoczony, lecz potwierdził z przekonaniem:

– O tak, Bóg czekał z powierzeniem ludziom tych tajemnic do czasu, kiedy przestaną się zabijać i zwalczać, a będą w stanie wykorzystać je dla dobra wspólnego. Ale to już nie tylko tajemnice przyrody i nowych energii, ale cała bogata współczesna technika, od której ja się odizolowałem. Ruszaj w świat i odkrywaj, podziwiał, znajdziesz dobrych przewodników...

Przy tym ostatnim słowie mój rozmówca spojrzał wymownie na Anaela i skłonił przed nim ze czcią głowę. Wyczułem, że miało to być delikatne pożegnanie... a ja... jeszcze nie wyczerpałem swojej listy pytań! W pośpiechu więc wyrzuciłem z siebie:

– Jeszcze jedno! W Starym Świecie dużo ludzi wierzyło w UFO – „niezidentyfikowane obiekty latające”... Krążyły o tym legendy – o ludzikach wysiadających z pojazdów, o porywaniu przez nich ludzi w celu przebadania ich, pokazywano nawet wiele zdjęć...

– A ty – wierzyłeś...?

– Początkowo tak. Mój ojciec i siostra widzieli taki „statek” nad naszym domem, a ja jako chłopiec goniłem w nocy coś, co przypominało balonik podświetlony od środka jakby księżycowym światłem, lecący po linii zygzakowatej. Wyprowadził mnie on daleko poza wieś, na pola. Gdy już wydawało mi się, że za chwilę spadnie na ziemię, mignął jak błyskawica i zniknął za horyzontem. Wtedy wierzyłem, że to „cud”, coś „nie z tego świata”, z czasem jednak przyjąłem inną interpretację tych zjawisk...

– I chcesz, żebym ją potwierdził albo jej zaprzeczył? Widzę, że poszedłeś po właściwej linii! To perfidny piekielny kłamca bawił się w ten sposób z naiwnymi ludźmi i z ich „naukowością”. Dla niego jest rzeczą zupełnie łatwą tworzyć „myśłokształty” i nadawać im pozór przedmiotów materialnych, oddziałując nie tylko na ludzkie zmysły, ale i na takie przyrządy jak radar albo klisza fotograficzna.

– Ale po co to robił?!

– Przecież dobrze wiesz! No tak, chcesz, żebym tylko potwierdził twoje przypuszczenia... A więc – potwierdzam: chciał przekonać ludzi, że istnieje wiele światów podobnych do naszego i że z któregoś z nich przybyli kosmici, wpływając na życie ludzi. To oni powinni odbierać cześć jako „bogowie”, a żaden Bóg żydów albo chrześcijan nie istnieje. Jeśli gdzieś jest jakieś „niebo”, to tylko raj na innych planetach, na których wcześniej czy później człowiek wyląduje. Warto więc, na przykład, zamrażać ciała zmarłych ludzi, bo na innej planecie ich życie może być przedłużone. Ku tym i im podobnym bajeczkom niektórzy ludzie chętnie nakłaniali ucha, tworząc sobie „religię kosmiczną”...

– A reinkarnacja...? Czy to też podstęp szatana?

– Oczywiście! Ten kłamca, znając przeszłość ludzi od początku świata, mógł bez trudności, w transie hipnotycznym albo we śnie, wprowadzać do umysłów niektórych ludzi „wiadomości o przeszłych wcieleniach” i wzbudzać wiarę w „reinkarnację”

czyli w „wędrówkę dusz”. Cel miał zupełnie jasny: przekreślenie całego Bożego Objawienia, zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu, odciągnięcie ludzi od zasad Ewangelii, zrobienie z Boga (zwłaszcza z Syna Bożego) kłamcy, no i rozbicie wiary w czyściec, niebo i – co dla szatana najważniejsze – w piekło! Człowiek wierzący w reinkarnację sądzi, że jest sam dla siebie „zbawicielem” i tylko od niego zależy, jak długo to „samozbawianie” będzie trwało. Nawet najbardziej zły i leniwy w końcu, choćby po tysiącach „wcielen” – dojdzie do szczęścia wiecznego, lecz nie do nieba, tylko do... „uświadomienia sobie, że on sam jest wiecznym bogiem”! Jakie to szczęście, że Chrystus w swoim Powtórным Przyjściu oświecił ludzi i miliony porzuciły tę szatańską ułudę!

Brat Konrad zamilkł, schylił głowę i pogrzyżył się w myślach, może w modlitwie. Chciałoby się rozmawiać z nim bez końca! Przyszedł mi na myśl czyściec, do którego, jak słyszałem, Konrad mógł „zaglądać”. Już chciałem zapytać go o los swoich bliskich – kto z nich oczyszcza się jeszcze i jakiej potrzebuje pomocy – gdy w swoich myślach usłyszałem ostrzeżenie Anaela: „Stop! Nie przeciągaj struny!”

Cóż mi pozostało...? Wdzięczny Bratu za tyle poświęconego mi czasu, poprosiłem go o błogosławieństwo na dalszą drogę. Gdy położył delikatnie ręce na mojej głowie, odczułem coś jak silny zapach kadzidła albo wielu kwiatów. Ogarnął mnie ogromny pokój i cisza, raczej duchowa niż zewnętrzna, emanująca z postaci świętego. Spojrzał na mnie czystymi, świetlistymi oczami dziecka, przed którymi nic się nie ukryje, i odprowadził do drzwi skromnej chaty. Stojąc już w nich pożalowałem, że nie poprosiłem go choćby o jedno zdanie dla siebie, dla własnego rozwoju duchowego. Odczytał to moje pragnienie i natychmiast odpowiedział:

– Twoja śmierć...? Chyba już wiesz o niej dostatecznie dużo. Bóg przyjął twoją ofiarę. Czego miałbyś się lękać? Ból zadany ci przez ludzi nie będzie wielki, gdyż osłoda ci go dłonie Maryi.

Przecież widziałeś, z jaką miłością Matka Boża poniesie twoją duszę przed Tron Boży, gdy nadejdzie pora żniwa...

Jeszcze coś, co może być ważne nie tylko dla ciebie, ale dla wszystkich twoich czytelników: sercem wszechświata jest Eucharystia, a z eucharystycznym Sercem Jezusa zjednoczone jest Niepokalane Serce Maryi. W tych Dwóch Najświętszych Sercach odnajdujemy cały sens życia – doczesnego i wiecznego – całej ludzkości. I jeszcze jedno: wszystko, co robimy, ma być czynione z miłości, gdyż tylko to będzie się liczyć w Krainie Wiecznego Szczęścia.

Tylko człowiek wielkiego ducha, żyjący w ciszy i w zjednoczeniu z Bogiem, mógł przekazać mi tak zwięzłą syntezę całej Ewangelii! Podziękowałem mu serdecznie, uścisnęliśmy się na progu domu. Patrzył na nas długo, a potem pomachał nam jeszcze – energicznie jak młodzieniec, obiema rękami – na pożegnanie, gdy wznosiliśmy się ponad wyspę. Na zawsze zachowam go w swojej wdzięcznej pamięci... Czy spotkamy się jeszcze na ziemi, Bracie Konradzie, czy dopiero w niebie...?

9. Migawki i refleksje z podróży zagranicznych

Zakreśliwszy na mapie świata punkty docelowe, wybraliśmy się z Anaelem w kilka długich podróży, których opis absolutnie nie zmieściłby się w tej książce. Muszę więc, z konieczności, ograniczyć się do migawek z notatnika oraz do zarejestrowania niektórych tylko myśli i wrażeń.

Jeżeli ktoś chce podróżować za ocean z przyzwoitą prędkością, a więc i na dużej wysokości, musi z małego mobilu przejąć się do olbrzyma międzykontynentalnego, bardzo przypominającego spłaszczoną rakietę albo wielkie cygaro przecięte wzdłuż. Zdarzają się podróżnicy rozmiłowani w samotnych powolnych lotach, którzy wyruszają w małych mobilach, jednak są oni względnie nieliczni. Ładują po drodze na wyspach, także tych nowych, których wiele wyłoniło się z dna oceanów.

Wielkie mobile z literami I-C startują tylko z wybrzeży, z osiedli położonych nad oceanami. Do osiedli tych łatwo trafić, gdyż najczęściej przejęły nazwy wielkich miast, dawniej tam istniejących, albo ich większych dzielnic. Podróż taka nie jest kosztowna, gdyż za jeden przelot płaci się jednego denara. Nie jest potrzebny ani rozkład jazdy, ani rezerwacja miejsc, gdyż z chwilą odlotu jednego mobilu natychmiast podstawiany jest drugi i czeka na podróżnych. We wnętrzu pojazdu można prowadzić rozmowy, jednak przy każdym fotelu znajduje się bardzo lekki kask dźwiękoszczelny, klimatyzowany, umożliwiający zupełne odosobnienie. Dzięki niemu można w każdej chwili pograżyć się w cichej modlitwie lub rozmyślaniu, albo też zasłonić wizjer i mieć „noc” do spania. Podróż taka nie męczy, gdyż nie odczuwa się żadnych wibracji kadłuba ani kołysania – pojazd utrzymywany jest w stałej odległości od jądra ziemi, niezależnie od wiatrów, burz albo skoków ciśnienia pod chmurami.

Sanktuaria ocalały...

Pożegnawszy gościnną wysepkę brata Konrada udaliśmy się do Fatimy w Portugalii, by odwiedzić tamtejsze sanktuarium. Ostało się ono bez zniszczeń wśród ruin częściowo zburzonego miasta, tak jakby Maryja chciała zwrócić uwagę świata na ten właśnie punkcik na mapie, związany tak ściśle z Jej prorocstwem z 1917 roku. Ponieważ wypełniło się ono, każdy pielgrzym może teraz odczytać na frontonie Jej Sanktuarium: **MOJE NIEPOKALANE SERCE TRYUMFUJE!**

W Fatimie stale panuje ogromny ruch pielgrzymów, gdyż nie ma chyba podróżujących przez Atlantyk, którzy by nie odwiedzili tego sanktuarium.

Niektórzy z największych czcicieli Matki Bożej, jak chociażby święty Maksymilian Kolbe, zapowiadali nadejście tej właśnie „epoki Maryjnej”, a zarazem „epoki Ducha Świętego”, najszczęśliwszej w dziejach świata. Miał rację święty Ludwik Grignon de Montfort twierdząc, że skoro przez Maryję przyszedł Bóg na świat po raz pierwszy, przez Maryję przyjdzie także po raz drugi. W tym drugim Jego przyjściu – pisał Święty – Maryja posłuży się ludźmi przez siebie ukształtowanymi, by dokonać w świecie wielkich cudów, „zniszczyć grzech i na ruinach zepsutego świata założyć Królestwo Jezusa Chrystusa”¹⁸. Nic więc dziwnego, że sanktuaria Maryjne, rozsiane po świecie, stały się punktem docelowym podróżników. Wszędzie, ale zwłaszcza w nich, rozbrzmiewa pieśń Maryi *Magnificat* w duchu wdzięczności Bogu za nadejście Nowych Czasów. To właśnie teraz wypełniło się prorocstwo, zawarte w tej pieśni, gdyż Bóg rzeczywiście *rozproszył pyszałków, strącił władców z tronu, a wywyższył pokornych i nasycił głodnych*.

¹⁸St Louis de Montfort, *Le Secret de Marie* part 2 § 5.

Ogromnie wzruszył mnie widok dzieci zgromadzonych na adoracji Eucharystycznej, już teraz nie w oddalonej kaplicy, lecz w głównej nawie Bazyliki (i tutaj, jak to jest na całym świecie, Jezus zajął należne sobie miejsce). Zastanawiałem się, skąd wzięło się tu tyle dzieci: czyżby to był jakiś cud fatimski w świecie, w którym rodzi się ich tak mało...? Miały na sobie specjalne białe okrycia, jakby peleryny, a głowy dziewczynek osłonięte były welonem. Dzieci były tak zatopione w modlitwie, jak w Starym Świecie zakonnicy w klasztorze kontemplacyjnym, a nieruchome na swoich klęcznikach jak harcerze na warcie...

Najmocniej zapisała się w mojej pamięci nie ustająca w dzień, a nawet w nocy, pielgrzymka bosych pątników, posuwających się na kolanach przez cały długi plac, aż do dębu rosnącego w miejscu objawień. W podobny sposób, choć już w trochę mniejszej liczbie, wielu pielgrzymów przemierza długą Drogę Krzyżową. Nie brak wśród nich księży i zakonników, których kiedyś z zasady nie widziało się tu na kolanach. Ogarnęła mnie także niesamowita atmosfera, otaczająca groby-relikwiarze trojga pastuszków fatimskich. Miałem wrażenie, że rosną mi skrzydła i porywają mnie wprost do nieba, wzbudzając ogromną tęsknotę za Bogiem i Jego Świętymi...



Bardzo pragnąłem nawiedzić Santiago de Compostella, zobaczyć także, co zostało ze wspaniałych zabytków znanych miast Hiszpanii, jednak nie byliśmy tym razem nastawieni na dłuższą podróż po Europie. Bezpośrednio z Fatimy, zgodnie z planem, udaliśmy się do Ameryki Północnej.

Wiedzieliśmy już od brata Konrada pustelnika, że kontynent ten był bardzo zniszczony, jednak nie przypuszczaliśmy, że aż do tego stopnia... Zwiedzanie ruin wcale nie musi być rzeczą przyjemną ani „atrakcyjną”! Wsluchiwanie się w informacje przewodni-

ka: „Tu był...”, „Tu dawniej znajdował się...” – może budzić raczej smutne refleksje. Każdy z przewodników prowadzi jednak zwiedzających na cmentarz, i to najczęściej nie jeden, a tym samym umożliwia spełnienie dobrego uczynku co do duszy, jakim jest modlitwa za zmarłych.

Na obrzeżach Waszyngtonu zostaliśmy zaprowadzeni na cmentarz niezwykle: nie było na nim niczego więcej prócz olbrzymiego obelisku z krzyżem, otoczonego drzewami. Wzniesiono go w miejscu, w którym kiedyś znajdował się Pentagon, czyli biurowiec amerykańskiego Departamentu Obrony. Zbudowany w formie pięcioboku o bokach długości 280 m, miał tylko cztery kondygnacje, mieszczące w sobie biura o powierzchni 344.000 m², połączone korytarzami o łącznej długości 28 km. Zbudowany był na obszarze bagnistym nad rzeką Potomak, więc jego fundamenty oparto na 42 tysiącach betonowych słupów. Stąd płynęły rozkazy i wiadomości do 2,5-milionowej armii. Otóż w czasie Wielkiego Trzęsienia Ziemi cały ten gmach zanurzył się w bagnie wraz z całym zatrudnionym w nim personelem, który znalazł w nim swój zbiorowy grób...

Kto w Starym Świecie podróżował do Stanów Zjednoczonych, z pewnością pamięta ogromną „Statuę Wolności”, jak ją wtedy nazywano. Wziąłem tę nazwę w cudzysłów, gdyż w Nowym Świecie nikt nie ma najmniejszej wątpliwości, że była to – wprost przeciwnie – statua największego z niewolników, gdyż za takiego uznać trzeba Lucyfera. Ten najwspanialszy z aniołów, mający „nieść światło”¹⁹ przed Bogiem, zakochał się w samym sobie, we własnym pięknie i wielkości, i pełen pychy zażądał od pozostałych aniołów złożenia mu hołdu należnego Bogu. W tym momencie stał się księciem wiecznych ciemności oraz zjadłym wrogiem ludzi, zaproszonych przez Boga do wiecznej światłości. Ludzie,

¹⁹*Lucifer* – imię utworzone od *lux* = światło, *ferre* = nosić (łac.).

którzy piekielnemu buntownikowi oddali pokłon, idąc na jego służbę przez rozpętanie straszliwej Rewolucji Francuskiej, wystawili mu pomnik w Nowym Jorku. Zaprojektował go Eiffel, twórca paryskiej żelaznej wieży. Francuzi odlali u siebie poszczególne części statuy, a następnie, po wykonaniu fundamentu i szkieletowej konstrukcji na niewielkiej wysepce w pobliżu Manhattanu, u ujścia rzeki Hudson, ustawili prawie 100-metrowego miedzianego kolosa z podwójnym świetlnym atrybutem: z promienistym nimbem wokół głowy oraz ze zniczem w ręku. Były to, niestety, symbole światła na zawsze zgaszonego i przemienionego w wieczne ciemności. Masoni uczcili w ten sposób swojego pana, tworząc jego podobiznę i nazywając ją „Statuą Wolności”. Chociaż przez długie lata wpisana ona była w krajobraz Manhattanu, można pisać o niej już tylko w czasie przeszłym...

Ktokolwiek, przeprawiwszy się przez Atlantyk, szukałby teraz na Manhattanie szklano-kamiennego lasu wysokościowców, które dawniej były dumą Amerykanów, musiałby się teraz srodze rozczarować! Na miejscu Manhattanu znajduje się teraz... wyjątkowa „latarnia morska”: wielki krater wulkanu! W dzień stale dymi, a w nocy robi niesamowite wrażenie na patrzących z góry, gdyż poprzez kłęby dymu przeświecają jakby rozżarzone węgle i płomyki ognia. Jak twierdzą przewodnicy oprowadzający wycieczki, żyją podobno świadkowie wstrząsającego wydarzenia związanego z tym miejscem, a mianowicie sceny walki opisanej w Apokalipsie. Były to już ostatnie momenty Wielkiej Kary, w czasie której piekło użyło wszystkich możliwości, by wyrzucić swoją zemstę i wyładować nienawiść na mieszkańcach ziemi. Cały glob trząsł się i kołysał, *zataczał się jak pijany i chwiał się jak budka na wietrze*, a jego powierzchnia *drżała, wzbierała i opadała jak Nil egipski* (zgodnie z precyzyjnymi określeniami proroków Izajasza i Amosa). I właśnie wtedy, zgodnie z opisem Apokalipsy, zstąpił z nieba anioł z wielkim łańcuchem w ręce

i pochwycił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan [...]. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył. Otóż ci świadkowie twierdzą, że dokonało się to właśnie tutaj podczas straszliwej burzy, a stale ziejący dymem i ogniem krater wulkanu ma stanowić jakoby tę apokaliptyczną *pieczęć* na piekielnej *Czeluści*... Ponieważ Long Island pograżyła się w oceanie, widok tej „czeluści” tym bardziej rzuca się w oczy, i to zarówno w dzień, jak i w nocy.

Zgodnie z powszechną zasadą, że osiedle przejmuje nazwę nieistniejącego miasta, w pobliżu ruin którego zostało zbudowane, mogliśmy odwiedzić Nowy Jork – średniej wielkości osiedle, zagospodarowane według znanego nam już z Europy modelu. Przewodnicy prowadzą wycieczki pomiędzy ruiny, wśród których usytuowano kilka cmentarzy. Mało nazwisk można przeczytać na nagrobkach, gdyż są to, najczęściej, groby zbiorowe. Każdy z tych cmentarzy ma swoją kaplicę mszalną, dzięki czemu ruiny nie są obumarłą pustynią, lecz miejscem zadumy i modlitwy, a więc i życia. Tak jest wzdłuż prawie całego wschodniego wybrzeża USA, lecz podobne zniszczenia dotknęły Kalifornię oraz wybrzeże zachodnie, zupełnie nie do poznania po potężnych ruchach górotwórczych i po przejściu gigantycznych fal oceanicznych, docierających aż do zboczy gór. Fale te spustoszyły także całe wybrzeże Zatoki Meksykańskiej.

Gdy w Nowym Jorku, dołączywszy do grupy Węgrów, szliśmy w kierunku centralnego cmentarza, przewodnik zaproponował Węgrom nawiedzenie znanego sanktuarium Maryjnego, położonego na wybrzeżu Pacyfiku w pobliżu Los Angeles. Propozycja jego została przyjęta tym chętniej, że kilka osób chciało nawiedzić groby swoich bliskich w dawnym Los Angeles i San Francisco. Węgrzy dysponowali dużym mobilem, do którego nas zaprosili. Wzniósł się on na taką wysokość, że mogliśmy objąć wzrokiem rozległe tereny Stanów Zjednoczonych oraz południa Kanady. Ob-

serwację ułatwiały ogromne okna sprawiające wrażenie, że podróżujemy w olbrzymiej kabinie pilota, zupełnie pozbawionej ścian.

Przesuwały się więc pod nami z dużą szybkością kolejne stany, od Pensylwanii i rejonu Wielkich Jezior aż po pustynię i góry Nevada. Po Wielkim Trzęsieniu rzeźba terenu zmieniła się tak bardzo, że tylko dobry przewodnik mógł się w nim orientować, i to przy pomocy podwójnej mapy. Jaśniejszym kolorem zaznaczono na niej dawne szczegóły geograficzne, a ciemniejszym naniesiono stan obecny. Można się było przekonać, że niektóre rzeki zmieniły swój bieg lub wcale nie istnieją, całe pasma górskie częściowo zapadły się, w innym miejscu wypiętrzyły się nowe, a przede wszystkim okolice dawniej zaludnione zamieniły się w pustynię. Na powierzchni ziemi pokrytej lawą i popiołem wulkanicznym szybko i bujnie rosły drzewa i krzewy, coraz mniej przeświecało przez nie martwych łysin. Zdaniem przewodnika pojawiły się tam zwierzęta niespotykanej wielkości: myszy jak koty, koty jak duże psy, bizona jak prehistoryczne dinozaury... Nawet ludzie, którzy próbowali tam zamieszkać – niektórzy Indianie wracali na swoje dawne łowiska – urosli o kilka centymetrów, i to niezależnie od wieku.

W pewnej chwili ktoś podniósł alarm, gdyż wydało mu się, że na jakiejś polanie zobaczył maleńkie obozowisko, coś jakby indiańskie namioty. Nikomu nie udało się tego potwierdzić, mimo uważnego przeglądania całej okolicy, jednak poproszono pilota, by leciał niżej i wolniej. Włączył więc inny sposób nawigacji: zorientował mobil nie względem jądra ziemi, lecz w stosunku do jej powierzchni. Lot był jednak na tyle wolny, a poza tym niewygodny – odczuwało się każde wzniesienie terenu – że większość zaprotestowała.

Mogłem się przekonać, że Węgrzy są prawdziwymi pielgrzymami – mogłem wziąć udział w takich ich modlitwach jak *Anioł Pański* oraz rozważanie męki Pańskiej w Godzinie Miłosierdzia.

Okazało się również, że mieli przy sobie Pismo Święte i umieli nim się posługiwać.

Ksiądz Humbert, opiekun duchowy Węgrów, w oparciu o natopkane przez nas widoki przeprowadził wstrząsające rozmyślanie o kruchości i przemijalności ziemskiej chwały, bogactwa i władzy. Po modlitwie za zmarłych i zaginionych na tych rozległych terenach poprosił wszystkich, by odszukali w Biblii cytat, który by jak najściślej wiązał się z tematem rozmyślania. Posypało się wiele cytatów, najczęściej z ksiąg prorockich i z Psalmów, jednak największą uwagę wszystkich przykuł fragment Apokalipsy, wskazany przez kilkunastoletniego chłopca. Właściwie był to cały rozdział 18, jednak ograniczę się tu do zacytowania tylko niektórych wersetów z niego zaczerpniętych²⁰.

„Anioł zawołał: *Upadł, upadł Babilon – stolica, [...] bo winem zapalczywości swojego nierządu napoiła wszystkie narody, [...] a kupcy ziemi doszli do bogactwa przez ogrom jej przepychu. [...] Ludu mój, wyjdźcie z niej, byście nie mieli udziału w jej grzechach i żadnej z jej plag nie ponieśli... [...] W jednym dniu nadejdą jej plagi: śmierć i smutek, i głód; i będzie ogniem spalona [...]. I będą płakać i lamentować nad nią królowie ziemi, którzy nierządu z nią się dopuścili i żyli w przepychu, kiedy zobaczą dym jej pożaru. Stanąwszy z daleka ze strachu przed jej katuszami, powiedzą: «Biada, biada, wielka stolico, Babilonie, stolico potężna! Bo w jednej godzinie sąd na ciebie przyszedł!»*”. Dalsze fragmenty to podobny lament *kupców ziemi*, którzy handlowali nie tylko zwykłymi towarami, lecz i *ciałami i duszami ludzkimi* (płacząc, bo w jednej godzinie przepadło tak wielkie bogactwo),

²⁰ Bardzo proszę Czytelników, by nie odnosili tych cytatów do jednego tylko kraju – tego, nad którym przelatywaliśmy – gdyż można by równie dobrze odnieść je do innych krajów, które przestały istnieć. Jak wiemy, Tajemnica Fatimska zawierała zapowiedź tego, że niektóre kraje będą unicestwione (w jęz. portugalskim: *anihilados*).

a następnie *wszystkich co pracują na morzu*. Ci ostatni z morza oglądają *dym jej pożaru* oraz nagły upadek. Rozdział kończy się wstrząsającym opisem martwej pustki na zniszczonych terenach: nie słychać na nich ludzkich głosów, nie widać śladów życia...

Odczytywane głośno fragmenty Pisma Świętego tak dokładnie odpowiadały temu, co widziały moje oczy, że te napęły się łzami! Starłem się nikomu tego nie pokazać, zwracając się ku oknu, ale chyba nie całkiem mi się to udało... Nie wstydzę się jednak odnotować tutaj tego faktu, gdyż łzy w takich sytuacjach czym są, jeśli nie mową duszy...?

Naszym przewodnikiem był Amerykanin, który po raz pierwszy uświadomił sobie, że można proroctwa zawarte w Piśmie Świętym odnieść w taki właśnie sposób do terenu, nad którym się znajdowaliśmy (same teksty były mu znane). Zwrócił zwłaszcza uwagę na zawarty w Apokalipsie apel skierowany do ludzi, którzy chcieli pozostać wierni Bogu i nie godzili się z bezbożnym ustawodawstwem ani praktykami: *Wyjdźcie z niej..., byście żadnej z plag nie ponieśli*. Dowiedzieliśmy się od niego, że o ile rodowici Amerykanie prawie wcale nie przejęli się zapowiedziami Wielkiej Kary, pochodzącymi od mistyków i wizjonerów, za to obcokrajowcy potraktowali je bardzo poważnie: po Ostrzeżeniu zaczęli masowo opuszczać Stany Zjednoczone i Kanadę, dzięki czemu wielu z nich ocalało.

Kilka osób prosiło przewodnika, by umożliwił im nawiedzenie głównego cmentarza Los Angeles. Chętnie wyraził zgodę, wskazując nam w tym momencie ruiny Las Vegas, miasta słynącego z kasyn i domów gry, nad którym znajdował się nasz mobil. Całe to centrum hazardu, świątynię mamony, odnaleźć można już tylko na starych mapach!

Nie byłem nigdy w Los Angeles, nie mam żadnych wspomnień łączących się z tym miastem, muszę więc poprzestać na informacjach naszego przewodnika. Twierdził, że było to miasto

przepiękne, olbrzymie i bardzo bogate, ale musiało być coś takiego w nim samym albo w jego nazwie, że skoncentrowało na sobie uwagę aniołów upadłych – wyładowali oni na nim całą swoją wściekłość, rzucając nim jak piłką wśród strasznego ryku oceanu i trzęsącej się ziemi²¹. Cmentarzysko Los Angeles należy do największych, a pod ogromnym obeliskiem zwieńczonym krzyżem spoczywa nie ustalona do dzisiaj liczba zaginionych. I tam mogliśmy uczestniczyć we Mszy świętej, którą koncelebrował z księdzem Humbertem nie kto inny, lecz brat Wspomożyciel Czyśćca w białym habicie. Mogłem, jak i gdzie indziej, przekonać się, jak bardzo ten zakon rozprzestrzenił się po świecie. Jego reguła przewidywała posiadanie przynajmniej jednego grobu w pobliżu klasztornej kościoła, lecz teraz o groby nie trzeba było się starać, gdyż całe wielkie cmentarze „przyszły same” do zakonników...

Warto jeszcze wspomnieć, że na naszej drodze znalazł się cmentarz przeznaczony dla psów. Znałem podobne miejsca tylko ze słyszenia. Napotkany cmentarz budził we mnie smutne refleksje, i to nie tyle swoim wyglądem (był całkowicie opuszczony, zarośnięty, z poprzewracanymi przez trzęsienie nagrobkami), co samym swoim istnieniem. Właściciele padłych zwierząt, urządzając im pogrzeb, zachowali się tak, jakby nie odróżniali zwierzęcia od człowieka, który z duszą i ciałem zaproszony jest do wiecznego szczęścia²². A poza tym taki pogrzeb i nagrobek musiał być często kosztowny... Czy nie znalazł się nikt, kto by tym ludziom uświadomił, że za tę cenę mogli uratować jakieś dziecko od śmierci głodowej? Wystarczyło 15 dolarów USA miesięcznie, by

²¹ „Los Angeles” = „Aniołowie” (hiszp.).

²² Oto dedykacja z jednego z nagrobków: *Mojej malej kochanej Titi w dowód ogromnej wdzięczności za tak mile spędzone razem lata – nieutulona w żalu, zawsze pamiętająca – Susan*. Podobne napisy powtarzały się bardzo często. Na wielu nagrobkach widniały, wykonane w porcelanie, podobizny ulubieńców.

przez „adopcję serca” umożliwić jednemu dziecku w Afryce skromne utrzymanie i naukę!

– Twoje refleksje są uzasadnione – nawiązał ze mną bezgłosny dialog Anael. – Czy jednak i ty nie przeżywałeś głębokiego smutku, gdy w krótkim czasie straciłeś dwa psy, których nie zdołałeś uratować? W ludzkich uczuciach jest tyle piękna, że czasem nawet one same godne są pomnika... Ten cmentarz jest świadectwem takich właśnie uczuć. Czy nie wiesz, że i one mają wstęp do nieba...?

– Psy nie mają wstępu, ale ludzkie uczucia ku psom skierowane...? Nie zastanawiałem się nad tym! Nawet takie „przziemne”...?

– Ależ tak! To oczywiste, że sfera „psychiczna” psa, przepełniona psimi „uczuciami” wdzięczności, wierności, radości, ginie wraz z ciałem. Jednak człowiek, będący przyjacielem Boga, odnajdzie w wiecznym szczęściu wszystko to, co na ziemi nosiło w sobie choćby tylko ślad Boskiego piękna, dobra i prawdy...

– Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że w niebie będę mógł pogłaskać swojego ulubionego psa...?!

– W sensie fizycznym psa tam nie będzie, jednak chcę ci powiedzieć, że wszystko, co na ziemi było dla was prawdziwą radością, zgodną z planem Stwórcy, znajdzie swoje odbicie i przedłużenie w niebie, lecz w sposób o wiele wyższy i na razie dla was niepojęty.

– Będziemy doświadczać szczęścia płynącego z oglądania Boga... A w Bogu odnajdziemy pełnię wszystkich prawdziwych wartości, z tymi poznanymi na ziemi włącznie, prawda...? Przypominam sobie, że ktoś ze świętych chodził po ziemi ze spuszczołym wzrokiem mówiąc, że przez taką pokutę przygotowuje swoje oczy do oglądania wspianiałości nieba...

– Tak, to prawda: wszystko, z czego na ziemi zrezygnowaliście z miłości do Boga, odnajdziecie w chwale nieba niepomier

nie zwielokrotnione.

– A jeśli zrezygnujemy z czegoś z miłości do człowieka...?

– Czyż Chrystus nie utożsamia się z bliźnim, którego stawia na drodze waszego życia? Czyżbyś jeszcze wątpił, że każda prawdziwa i czysta miłość ma wstęp do nieba...? Spójrz na to osiedle przed nami. Jest tu ktoś, kto okaże nam miłość, a my będziemy mogli mu się odwdziżyć...

Rzeczywiście okazał nam wielką życzliwość ksiądz Franjo, Chorwat z pochodzenia, który całą grupę poczęstował wysmienitym obiadem. Ten młody, tryskający energią i radością ksiądz, przybył w te strony bezpośrednio po otrzymaniu święceń, by odwiedzić swoich bliskich. Zaskoczyło go Wielkie Oczyszczenie i już nie mógł wrócić do ojczyzny, więc zaopiekował się niedobitkami z Los Angeles. Razem z nimi pobudował kościół i osiedle na obrzeżu zrujnowanego kolosa, w Stanton, i tu już pozostał. Pokazał nam wśród ruin niesamowite świadectwo furii szatana, na które nie zwrócił uwagi nasz przewodnik: oto jeden z najwyższych drapaczy chmur został wraz z fundamentem wyrwany z ziemi, odwrócony i wbity jak ołówek dachem w ziemię... Pomyślałem wtedy o horrorach (filmach i grach komputerowych), w których piekielny przeciwnik zwykle musiał ulegać człowiekowi, tak pod względem siły, jak i sprytu. W ten sposób szatan tworzył mit o własnej słabości, a pokaz siły zostawiał sobie na później...

Ksiądz Franjo bywa często w kanadyjskim Quebec, gdzie ma swoją bazę wypadową. Opowiadał, jak bardzo zmieniło się to piękne miasto: nie istnieje już Haute-Ville, wznoszące się kiedyś dumnie nad rzeką Świętego Wawrzyńca, zniknęły mosty, a Bazylika Świętej Anny została odbudowana, jednak jej charakterystyczne ścięte wieże wspięły się teraz wysoko. Ksiądz Franjo utrzymuje bliskie kontakty z Indianami, o których zdążył nam wiele opowiedzieć – o ich powrocie na łono przyrody i do daw-

nych tradycji, choć nie do dawnych wierzeń. Jego opowiadanie wzbudzało nieprzepartą chęć odwiedzenia kiedyś tych stron i tych dzielnych ludzi.

Uniósłszy się nad linią wybrzeża oceanu, za chwilę wylądowaliśmy wprost przed frontonem pięknego kościoła, osiągając tym samym cel naszej podróży. W dzisiejszym świecie wcale nie tak łatwo, przynajmniej na niektórych terenach, znaleźć podobny kościół, którego wcale nie nadwerżyło Wielkie Trzęsienie. Do dzisiaj mieszkańcy niewielkiego miasta Santa Maria, rozłożonego w dolinie u stóp wysokiej góry noszącej na sobie tenże kościół, z wielkim przejęciem opowiadają podróżnym historię swojego ocalenia. Cieszą się, że mogą w ten sposób okazać swoją wdzięczność Bogu. Oto ta historia w wielkim skrócie.

Żył wśród nich starzec powszechnie szanowany, uważany za świętego, mieszkał w bardzo ubogiej lepiance. Był jednym z założycieli tego miasteczka. Na wiele lat przed Wielkim Oczyszczeniem mówił wszystkim, że gdy zobaczą Chrystusa w otwierającym się niebie, mają natychmiast czynić wielką pokutę, gdyż tylko dzięki niej będą mogli ocaleć. Niech nie liczą wtedy na ratunek w swoich domach, bo tylko jeden dom da im schronienie: kościół, w którym czczona będzie Maryja Gwiazda Morza. Ci, którzy posłuchali jego rady, po Ostrzeżeniu codziennie gromadzili się w kościele, błagając o ratunek. Gdy nadeszło Wielkie Trzęsienie Ziemi, nie zawiedli się: gdy pierwsza monsturalna fala tsunami zdążyła już pochłonąć ich domy i cały majątek, zamieniając wielką dolinę jakby w jedno wielkie wysypisko śmieci, wtedy niewidzialna potężna ręka wydzwignęła kościół wraz z jego najbliższym otoczeniem na taką wysokość, że fala go nie dosięgła – ani ta, ani następne. W granitowym zboczu tej wypiętrzonyj nagle skały wykuto później ogromne schody, podobne do tych w starożytnych świątyniach Inków i Azteków. Zniszczone przez wodę miasteczko szybko odbudowano, mimo iż trasa nadmorska

straciła swoje znaczenie. Górzący nad całą doliną kościół stał się znanym sanktuarium zachodniego wybrzeża Pacyfiku. Wielki obraz Maryi Gwiazdy Morza otaczają ze wszystkich stron wota dziękczynne mieszkańców i pielgrzymów. Najbardziej jednak intryguje przybyszów nieustająca adoracja Najświętszego Sakramentu, zwłaszcza nocna, w której bierze udział nie jakaś garstka ludzi, lecz całe rodziny, które do połowy wypełniają kościół. Trwają na kolanach w ogromnym skupieniu, oderwane od świata...

Nasze pożegnanie z Węgrami było bardzo serdeczne – zaprzyjaźniliśmy się z nimi w tak krótkim czasie, złączyła nas też wspólna modlitwa. Postanowili oni udać się jeszcze na północ, do San Francisco, więc nasze drogi się rozeszły. Ich duchowy opiekun zaprosił nas do swojej parafii Velence, przepięknie usytuowanej nad dość długim jeziorem o tej samej nazwie. Przed północnymi wiatrami osłania ją wysokie wzgórze, dzięki czemu klimat jest tam bardzo łagodny. Ksiądz gotów jest służyć nam za przewodnika po „nowych”²³ Węgrzech. Pierwszym etapem byłoby pobliskie miasto Szekesfehervár, gdzie moglibyśmy pomodlić się przy grobach królów i świętych.



Łatwo znaleźliśmy na parkingu mobil, który nie tylko był oznaczony literą „C”, lecz i „W” (*water*), a więc przystosowany do podróżowania nad wodą – miał dodatkową poduszkę powietrzną na wypadek awarii.

Z wielkim spokojem mogłem powierzyć wszystkie szczegóły dalszej podróży, już teraz na południe kontynentu amerykańskiego, mojemu wspaniałemu opiekunowi.

A oto jedna z tych cennych choć krótkich nauk, jakby mimo-

²³ „Stare” Węgry znałem... Komunizm poczynił w nich, zwłaszcza w sferze ducha, tak wielkie spustoszenia, że aż do chwili Ostrzeżenia nie mogły się podnieść.

chodem wygłoszonych przez Anaela, która zachowała się w moim notatniku: zawsze, także podróżując, powinniśmy na pierwszym miejscu postawić wypełnienie woli Bożej, a nie nasze upodobania czy zachcianki (a któż lepiej niż anioł potrafi tę wolę rozpoznać i wypełnić?!); poza tym zawsze, przy każdej czynności, powinno towarzyszyć nam pragnienie przyniesienia Bogu jak największej chwały – temu pragnieniu podporządkowane powinny być wszystkie nasze osobiste cele i dążenia.

Wprawdzie trasę podróży zaplanowaliśmy jeszcze w Europie, jednak nic nas nie zmuszało do sztywnego trzymania się jej. Zaznaczyliśmy na niej Meksyk. Zawsze marzyłem o zwiedzeniu tego kraju, i dopiero teraz było mi to dane. Anael jednak wyraźnie nie miał upodobania do wyszukiwania w tym kraju (co delikatnie okaże także na innych terenach) śladów zamierchłej cywilizacji, o której napisano tyle książek. Na pewno bezbłędnie potrafiłby skierować nasz mobil w środek jakiejś puszczy albo na górski płaskowyż, wylądować nieopodal znanych kiedyś podróżnikom ruin, lecz wolał znaleźć się w miejscach, w których dzisiaj kwitło życie. W ten sposób i ja u jego boku – zamiast być tylko podróżnikiem, stawałem się bardziej pielgrzymem...

Mknęliśmy więc nad Meksykiem, zostawiając po prawej stronie Kalifornię, a przecinając ukośnie przestrzeń powietrzną nad pasmami górskimi Sierra Madre, najpierw zachodnim a potem wschodnim. Gdy „przeskoczyliśmy” to drugie, ujrzelśmy przed sobą, malowniczo rozłożone na przedgórzu Sierry, jedno z największych miast Meksyku Monterrey. Okazało się, że nie istnieją już jego dzelnice przemysłowe ziejące spalinami, zniknęły z powierzchni ziemi strzeliste banki i biurowce. Z morza zieleni wylaniają się tylko, jak i w innych miastach, wieże kościołów otoczone placami i budowlami, przeznaczonymi do wspólnego użytku. Najstarszy z kościołów, którego budowę rozpoczęto pod koniec XVI wieku, a któremu patronuje święty Franciszek, ocalał i jest

dumą podniesionego z ruin miasta, odbudowanego już według nowoczesnych reguł. Katedra nie została odbudowana, lecz wspomniany kościół pełni jej rolę.

Na wysokim wzgórzu nieopodal miasta wzniesiono figurę Chrystusa Króla, upamiętniającą poświęcenie Jego Najświętszemu Sercu całego Meksyku. Zaprojektowano ją według dawnych wyobrażeń: Król w płaszczu podbitym gronostajami błogosławi swojemu ludowi, trzymając w lewej ręce „jabłko królewskie” – kulę ziemską, zwieńczoną krzyżem. Jego otwarte serce płonie, wysyłając ku ziemi świetlne promienie. Rozmiary figury chyba niewiele ustępują nowojorskiej statui, która zapadła się pod ziemię, nie jest jednak jak tamta w środku pusta. Nie zapytałem nikogo, czy istniały już wtedy mobile transportowe – ta budowa na pewno nie była łatwa...

No i wreszcie przed nami Guadalupe...!

O historii tego duchowego serca Meksyku łatwo dowiedzieć się z przewodników, więc tu nie miejsce na jej opis, postać Juana Diego też jest wszystkim znana. Indianin ten, wybraniec Maryi, na którego opończy Królowa Nieba i Ziemi pozostawiła swój cudowny wizerunek, długo musiał czekać na wyniesienie go na ołtarze: od swojej śmierci w 1548 roku aż do roku 1990, kiedy to do tego sanktuarium (już po raz drugi) przybył Jan Paweł II. Przybywając tu po raz trzeci (w 1999) ustanowił Papież rocznicę objawienia Maryi, 12 grudnia, świętem dla obu Ameryk. Kaplicę Matki Bożej z Guadalupe otwarto, za jego sprawą, nawet w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie.

Warto tu nawiązać do historycznego wydarzenia, o którym dopiero teraz się dowiedziałem: admirał Doria, który uczestniczył w słynnej bitwie z Turkami pod Lepanto, miał na swoim statku kopię obrazu Matki Bożej z Guadalupe, Jej też przypisywał druzgocące zwycięstwo, odniesione nad wrogami chrześcijaństwa. Możemy więc tu dostrzec przedziwne powiązanie świętej Matki

Bożej Różańcowej, ogłoszonego przez papieża na pamiątkę zwycięstwa pod Lepanto, z objawieniami Matki Bożej w Guadalupe.

Przyznam się, że sama nazwa tego miasta nic mi dotychczas nie mówiła. Teraz wiem, że nawiązuje ona do Protoewangelii, do słów usłyszanych przez węża-kusiciela: *Ona zetrze głowę twoją*. Hiszpanie nie potrafili dokładnie wypowiedzieć tego w języku Azteków, więc oddali tę nazwę po swojemu. Tak więc *Guadalupe* znaczy: *Ta, która depcze (miażdży) głowę węży*.

Wszyscy wiedzą, że obraz Maryi w Guadalupe jest w całym świecie wyjątkiem: wszystkie badania potwierdzają, że nie został namalowany ręką człowieka, a do wykonania go nie użyto żadnych farb ani barwników znanych na ziemi. Pod tym względem bardzo przypomina słynny Całun Turyński. Poza tym opończa Indianina, na której powstał, w naturalnych warunkach powinna rozsypać się w krótkim czasie, a tymczasem, nie konserwowana, przetrwała już prawie 500 lat! Czyżby była niezniszczalna...? Teraz, gdy Kościół nie ma wrogów i nie trzeba jej chronić, zrezygnowano z wszelkich zabezpieczeń, z szybą pancerną włącznie. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie możliwość podejścia do obrazu na wyciągnięcie ręki, by się przekonać, że rzeczywiście oglądany z bliska prawie jakby nie istniał – stajemy wobec szarego chropowatego materiału – a dopiero z daleka ukazuje się on nam w całej okazałości.

Modlitwa w tym świętym miejscu płynie wprost z serca do serca, mimo olbrzymich rozmiarów bazyliki. Prosiłem Matkę Bożą, widniejącą na obrazie w stanie brzemiennym, by zaniósła przed tron Boży ogromne pragnienie mojego bratanka Rafała i jego żony Agnieszki, by mieć liczne potomstwo. Jak słyszałem, Bóg, by sprawić radość Maryi, w tym sanktuarium hojnie szafuje darem nowego życia, tak obecnie upragnionym...

Zakwitły pustynie...

Zaczynam się martwić, że moja książka stanie się zbyt opasła i tym zniechęci do siebie czytelników, a przede mną jeszcze cały stos notatek! Afryka, Australia i Oceania, Azja, Ukraina, Rosja, Hiszpania, Rzym, Asyż i inne miasta Włoch... Muszę więc bardzo liczyć się ze słowami! Mówię sobie: więcej refleksji, bo szczegóły podróży nie są aż tak istotne, mogę się w nich zagubić! A przecież nie mam zamiaru skracać rozdziałów już napisanych... Wystartowałem z powolnością żółwia, zapisując wszystko, a teraz muszę przyspieszać jak rakieta kosmiczna! No cóż, jeśli chodzi o poszczególne kraje, miasta, ocalałe zabytki – „kto przeżyje, sam zobaczy”²⁴...

Zaplanowaliśmy, że naszym punktem docelowym będzie południe Argentyny (Neuquen), lecz musieliśmy się po drodze zatrzymać. Oto, gdy znaleźliśmy się nad Paragwajem, nagle stanęło mi przed oczyma to wszystko, co czytałem o słynnych „redukcjach paragwajskich”, więc nie mogłem oprzeć się pokusie wylądowania na tych terenach. „Redukcje” to republika, założona wśród Indian przez Jezuitów, głównie Hiszpanów, w XVII wieku, przy czym zakonników było tylko pięćdziesięciu, a Indian, świeżo ochrzczonych, aż dwieście (trzysta?) tysięcy. Przetrwała ona około 160 lat. Z braku miejsca nie mogę tu wchodzić w głąb historii tego niezwyklego państwa, którego podwaliny oparte były ściśle na zasadach Ewangelii, przez co, niewątpliwie, ściągnęło ono na siebie nienawiść całego piekła i uległo unicestwieniu. Ponieważ Indianie bardziej troszczyli się o dobro wspólne niż o własne, żyjąc bardzo skromnie, otoczona dziewiczymi lasami republika wzrosła w taką zamożność i siłę, że sprzymierzone armie kolonialne nie mogłyby jej pokonać. Słudzy mamony, kolonizatorzy hiszpańscy i portugalscy, rywalizując ze sobą i uderzając z dwóch

²⁴Jest to znane w różnych językach przysłowie.

stron, użyli wszelkich sposobów, by obrabować to państwo, a jego obywateli uczynić swoimi niewolnikami. Największym ciosem, który spadł na Guaranów (tak nazywali się ci Indianie), było wypędzenie Jezuitów, ich duchowych przywódców i ojców, którzy nawet przestali istnieć jako zakon (na papieżu masoneria wymusiła jego rozwiązanie). Wtedy okazało się, jak wielkim błędem był brak przygotowania młodych Guaranów do święceń kapłańskich, gdyż po wypędzeniu Jezuitów pozbawieni duchowej opieki Indianie stali się łatwym łupem kolonizatorów.

Po tym łyku historii spójrzmy na mapę dawnej republiki. Rozciągała się ona od Belen na północy (24 równoleżnik) aż po Rio Negro (32 równoleżnik). Sąsiadowała od zachodu z Argentyną (w wielkim przybliżeniu wzdłuż 58 południka), od północy z Paragwajem, a od południa z Urugwajem, zajmując jego część²⁵. Pamiątką po niej jest mapa, na której możemy odnaleźć nazwy poszczególnych „estancji”, czyli dawnych osiedli i miast Guaranów, na gruzach których najeźdźcy pobudowali potem swoje miasta. Oprócz Guaranów w podobne republiki, zaprzyjaźnione z nimi, dały się zorganizować inne plemiona Indian (na terenie dzisiejszej Boliwii i Argentyny, ale nie tylko), lecz tu nie będziemy patrzeć aż tak szeroko. Wystarczy stwierdzić, że jeżeli jakaś nazwa ma w sobie imię Boga (Jezusa, Najświętszej Trójcy), Maryi lub jakiegoś świętego, możemy mieć niemal pewność, że w tym miejscu mieszkali Indianie.

Ich państwo zostało z taką łupieżczą żądzą, a zarazem furia i nienawiścią wobec wszystkiego co święte, obrócone w ruiny, że nie zachował się żaden kościół z tamtych czasów, mimo iż były

²⁵ Jezuici utworzyli republikę z niewielkiej tylko części ludu Guaranów, najliczniejszego z ludów Ameryki Południowej, liczącego kilka milionów ludzi. Zamieszkiwał on nie tylko w dorzeczu trzech wielkich rzek spływających do Rio de la Plata, ale na terenie niemal całej Brazylii, aż do Andów Chilijskich w Peru, dość daleko w głąb Boliwii, na południe od Buenos Aires (pampasy) aż do cieśniny Magellana.

one najczęściej budowane z kamienia. Nie zachowały się także żadne inne budowle, chociaż podróżnicy opisywali ich ogrom i przepych oraz solidną budowę. A ponieważ w czasie Wielkiego Trzęsienia runęły muzea, między innymi w Buenos Aires, w których przechowywano nieliczne pamiątki po mieszkańcach republiki Guaranów, trudno jest teraz wrócić do tej, chociaż wcale nie tak zamierzchłej, przeszłości (rok 1768 uważa się za kres istnienia republiki).

Trudno, ale zarazem... dość łatwo! Przecież, aby wyobrazić sobie życie w tamtych osiedlach, wystarczy zamieszkać w którejkolwiek parafii Nowego Świata...! Wprawdzie różnią się nasze czasy od tamtych wykorzystaniem wynalazków techniki, wieloma obyczajami, liczbą dzieci w rodzinach, inne jest nasze środowisko przyrodnicze, lecz zasady moralne przyświecają nam te same, i zawsze będą przyświecać: wszak Ewangelia jest niezmienna.

Aby nie być gołosłownym – zamieszczę tu kilka cytatów, które pozwolą nam porównać życie przed trzema wiekami z dzisiejszym. Najbardziej znamienne wydają się opisy udziału Indian w liturgii, w nauce oraz we wspólnej pracy. Cytaty zaczerpnąłem z książki Clovisa Lugon *La république communiste chrétienne des Guaranis*.

„Dla grup ustalano powierzchownie, które służyły jako normy. Czynnikiem, który zachęcał Guaranów do pracy nieporównanie silniej, niż wszelki wzgląd na korzyść osobistą lub zbiorową, [...] była pochwała z ust zakonników lub nadzieja otrzymania od nich podarunku. [...] Kolektywność pracy była także źródłem radości. Z rana oddziały robocze defilowały ulicami w kierunku pola przy dźwiękach fletów i bębnow, niosąc przed sobą jak najuroczyściej obraz św. Izydora, patrona rolników. W drodze śpiewano. Przerwy w pracy, chwile odpoczynku [...] zmieniały się w chwile wesołego odprężenia. Starsi gawędzili, młodszy bawili się, wszyscy bez ustanku śpiewali chórem pieśni nabożne oraz swoje pieśni gua-

rańskie. Wracając wieczorem śpiewano chórem pieśni marszowe; kiedy dźwięki muzyki, obwieszczające powrót z pól, doszły do uszu kobiet, dzieci w ogrodzie czy rzemieślników w warsztatach – wszyscy rzucali pracę. Na progu domów, u wejścia do warsztatów wymieniano wesole pozdrowienia. W kilka chwil później rodzice i dzieci odnajdywali się wzajemnie u domowego ogniska”.

Republika stanowiła jakby gigantyczny klasztor, w którym w obrotach wewnętrznych nie posługiwano się wcale pieniędzmi, służyły one tylko jako przelicznik. A oto ogólne zasady rozliczeń: „Za jednakową pracę jednakowe warunki bytu” (przez jednakową pracę rozumiano równe obciążenie, oceniane głównie według trudu, jakiego dana praca wymagała); „od każdego wedle jego uzdolnień, każdemu według jego pracy i potrzeb”; żadna praca nie jest uprzywilejowana; rzemieślnicy i handlarze są utrzymywani na koszt osiedla, a pracując wyłącznie na rzecz dobra wspólnego, nie otrzymują żadnego dodatkowego wynagrodzenia poza dobrami rozdzielanymi wszystkim rodzinom; przy rozdziale dóbr bierze się pod uwagę potrzeby poszczególnych członków każdej rodziny, uwzględniając także te osoby, które pracować nie mogą; wszyscy ubierają się jednakowo, otrzymując z zasady jedno (dorośli) lub dwa (dzieci) ubrania na rok.

„Jezuici zamierzali, jak się wydaje, wytworzyć pewną elitę duchową i intelektualną. Zgodnie z zaleceniami Platona wydzielili oni wszystkich obdarzonych iskrą geniuszu, aby wtajemniczyć ich w zasady nauk przyrodniczych i humanistycznych. Owo wybrane grono dzieci nazywano kongregacją. Były one wychowywane w pewnego rodzaju seminarium i podlegały wzorowanym na szkole Pitagorasa rygorom obejmującym milczenie, odosobnienie i naukę. Panowało wśród nich tak wysokie poczucie współzawodnictwa, że sama tylko groźba odesłania do szkół powszechnych przysparzała ucznia o rozpacz. Z tej to wyborowej gromadki

mieli wyjść w przyszłości kapłani, wyżsi urzędnicy i bohaterowie ojczyzny”.

„Jezuici uczynili kult przyjemnym, nie czyniąc zeń niesmacznej komedii. Miła sercu muzyka, wzruszające pieśni, malowidła żywo przemawiające, wreszcie majestat ceremonii – wszystko to przyciąga Indian do kościołów, gdzie przyjemność łączy się z pobożnością. Nawet w dni powszednie czterech ministrantów w kościołach otaczało kapłana przy ołtarzu. Ich skromność i dokładność, z jaką wykonywali przepisane czynności, prawdziwie zachwyciły. [...] Najpiękniejszy był jednak widok całej gromadki złączonej przy ołtarzu w czasie śpiewania sumy. Wszystko w nich świadczyło o czci i nabożeństwie, wszystko tym tchnęło”.

„O godzinie ósmej wszyscy udają się do kościoła, gdzie po modlitwie porannej powtarzają z pamięci (na dwa chóry) katechizm. Mszy w dni powszednie słuchają wielkie tłumy ludzi, w niektórych osiedlach nawet wszyscy, jak w dni obowiązuje. [...] Po Mszy wychodzą w najgłębszym milczeniu”. Wszyscy każdego dnia gromadzą się w kościele na wieczorny Różaniec, a jeśli ktoś nie może, odmawia go w domu. Ojcowie Jezuici noszą różaniec jak naszyjnik, a wielu ich w tym naśladuje, nazywając go „najmilszym towarzyszem podróży”.

Dalej znajdujemy opis liturgii: udziału w niej orkiestry, śpiewów gregoriańskich i innych pieśni, zachowania służby liturgicznej i porządkowej, wystroju wnętrza kościoła (dbałości o czystość, o kwiaty i piękne zapachy kadzidła). Wzrusza opis obchodów zwłaszcza takich uroczystości, jak święto Patrona i Boże Ciało. W procesji eucharystycznej biorą udział nie tylko ludzie, ale i cała otaczająca ich przyroda, z niesionymi i wiezionymi (nawet dzikimi) zwierzętami włącznie, a nie ma mieszkańca, który by nie brał udziału w przygotowaniu trasy procesji.

Ojciec Peramas pisze: „Przemierzyłem znaczną część Europy i Ameryki, ale nigdzie nie zauważyłem tak głębokiego skupienia

w kościele”. Ojciec Sepp opowiada o uroczystym powitaniu misjonarzy w Yapeyu w 1691 roku, podczas którego, gdy orszak wszedł do kościoła, spośród kobiet leżących krzyżem przed ołtarzem żadna nie odwróciła się ani nie spojrzała w bok. „To raczej aniołowie niż ludzie”, konkluduje zakonnik.

Niech te cytaty wystarczą. Na zakończenie swojej książki Lugon bardzo ubolewa nad tym, że tak wspaniałe państwo padło pod naporem kolonizatorów i zostało obrócone w ruinę. Indianie poszli do niewoli, w której masowo ginęli, albo wrócili do puszczy i do swojego koczowniczego życia, a ich wzorowo prowadzone uprawy i ogrody zginęły w gąszczu drzew i krzaków. Budowle, włącznie z przepięknymi kościołami, zostały spalone i wyburzone, także bogato zaopatrzone biblioteki przestały istnieć. Całe osiedla zostały zrównane z ziemią, a ludność uprowadzona. Nieliczni indiańscy uciekinierzy mogli żyć już tylko wspomnieniami. Niech za epilog posłuży ostatni cytat z książki Lugona, który niejednemu czytelnikowi może wycisnąć łzy z oczu: „Ksiądz Frey, salezjanin, widział w 1909 roku w San Luis i San Borja potomków dawnych neofitów²⁶, którzy wciąż jeszcze co roku śpiewali wiernie *Gorzkie Żale*. [...] Avé-Lallemant spotkał dziecko guarańskie, czekające na nadejście południa pod zegarem słonecznym na terenie [ruin] dawnego kolegium. Był to dzień Wielkiej Nocy. W południe dzieciak uwiesił się u dzwonu i wydzwonił *Alleluja*, a dźwięk ten wydał się echem dawnych radosnych świąt wielkanocnych, zwiastującym piękniejsze jeszcze święta przyszłości dla owych republik, które nie będą już obciążone, tak jak Republika Guarańska, tym że za wcześnie pojawiły się na świecie”. Czyżby w tych słowach – zapytam – zawierało się proroctwo...?

Czy zdziwisz się, drogi Czytelniku, że ja, który w oparciu o tę lekturę miałem w pamięci tylko obrazy ruin, zagubionych w leśnej

²⁶Indian świeżo ochrzczonych.

głuszy, spodziewałem się najgorszego, znalazłszy się nad Paragwajem?! A tymczasem... zastałem kwitnące życiem i rozbrzmiewające radością nowoczesne osiedla! Tak, na wskroś nowoczesne, z ludnością różnych ras i narodowości, jakże wymieszanych. Metysi, a więc potomkowie Hiszpanów żeniących się z Indiankami, są tu dość liczni.

Zostaliśmy z Anaelem bardzo życzliwie przyjęci na nocleg przez księdza Miguela, Argentyńczyka z pochodzenia, w Yapeyu, dziś średniej wielkości osiedlu na zachodnim brzegu rzeki Uruguai. Kiedyś Yapeyu było bardzo zamożnym miastem guaraniskim, pełniło nawet funkcję stolicy całej republiki, nosząc także nazwę Los Reyes. Należało do redukcji położonych najbliżej Buenos Aires, a więc i najbardziej narażonych na napaści nieprzyjaciół. Stare statystyki wykazują, że do szkół w Yapeyu uczęszczało 3000 dzieci, a rocznie chrzczono około tysiąca noworodków. Te liczby mówią same za siebie.

Jak mogliśmy się przekonać, ksiądz Miguel był dość dobrze zorientowany w historii założonej przez Jezuitów republiki Guaranów, ale też mógł udzielić nam cennych informacji dotyczących sytuacji obecnej. Pomimo wszystkich klęsk Guaranowie przetrwali do naszych czasów, zachowując właściwe sobie cechy charakteru, obyczaje, a nawet język²⁷. Gdy chcą wyrazić radość, czynią to bardzo żywiołowo. Można ich poznać po tym, że są to ludzie krepí, niezbyt wysocy, dobrze zbudowani, sprężyści, ogromnie wytrwali, o skórze miedzianej z odcieniem oliwkowym, o twarzy szerokiej z wystającymi często kośćmi policzkowymi i trochę spleszczonym nosie, o czarnych oczach. Można dopatrzeć się u nich cech rasy mongolskiej. Włosy ich siwieją dopiero w bardzo po-

²⁷Przypuszcza się, że wspólny język zachowali Guaranowie dzięki Jezuitom, ich szkołom i drukarniom. To właśnie ci zakonnicy byli pionierami, jeśli chodzi o słowo pisane w tym języku.

deszłym wieku. Książd Miguel ma wśród nich wielu oddanych przyjaciół. Można jednak zapytać: czy w tych szczęśliwych czasach można spotkać ludzi, których nie moglibyśmy uważać za naszych przyjaciół...?

Zatrzymałem się może zbyt długo przy tej jedynej w historii szczęśliwej republice chrześcijańskiej, intrygowała mnie ona jednak już od wielu lat. Jaka to radość, że i ta „pustynia” znów zakwitła!



Od dziecka marzyłem o tym, by odizolować się od ludzi i żyć, przynajmniej przez jakiś czas, na łonie przyrody, z dala od siedzib ludzkich. W swojej okolicy miałem tylko jedną ku temu możliwość: schowania się pod ziemię, więc kopałem namiętnie ziemianki. Najwspanialszą z nich, zanim zdążyłem się w niej „osiedlić”, odkrył sąsiad grabiący igły sosnowe w lesie (w tamtych czasach używało się ich do ocieplania domów na zimę) i zabrał mi wszystkie deski, ukradkiem wyniesione z domu... Jednak moim dorosłym marzeniem było znaleźć się na prawdziwej pustyni, odbywałem nieraz tę podróż w wyobraźni. I oto teraz nadarzyła się ku temu okazja, gdyż, dysponując mobilem, można było bez trudu wylądować na Saharze! Usiadłem więc na ławeczce w pobliżu domowej piaskownicy i zacząłem przeglądać mapy jakie miałem. Zwierzyłem się ze swoich planów Rafałowi.

– Jak myślisz, czy w pobliżu Kairu natrafię na prawdziwą pustynię...? O, zobacz, tu są tereny zaznaczone żółtym kolorem.

Uśmiechnął się: – Stryjku, przecież to jest stara mapa!

– To co że stara? Chyba mi nie powiesz, że nie ma już w Afryce pustyni?!

– Właśnie to chciałem powiedzieć. Poczekaj chwilę.

Rafał przyniósł nowy atlas świata, otworzył go na Afryce i położył mi go na kolanach.

– Widzisz te olbrzymie jeziora...? A tu, wokół nich, tereny zaznaczone kolorem zielonym... – to jest właśnie Sahara!

Nie mogłem wyjść ze zdumienia! Zarysy kontynentu afrykańskiego podobne, ale jego powierzchnia – nie do poznania...!

– Przecież piaski, i to w tak krótkim czasie, nie mogły pokryć się bujną roślinnością! Chyba że w sposób cudowny...?

– I w naturalny, i w cudowny jednocześnie. O wszystkim zdecydowała woda. O, spójrz tutaj, na brzeg piaskownicy. Przecież to jest ten sam żółty piasek, z którego Jaś robi babki, a zobacz, jak zarósł w ciągu roku: babka, mniszek lekarski, krwawnik, perz, jaskółcze ziele... Nawet w kącie pod ścianą wysoka na metr akacja zdążyła wyrosnąć. Podobnie jest na Saharze. Do dzisiaj nie wiadomo, skąd wzięły się tam jeziora, napełnione wodą słodką, skąd tyle nasion, które wykiełkowały...

– To coś jak jezioro na stepie Kazachstanu...? Na pewno słyszałeś o tym cudzie. Ludzie umierali zimą z głodu, wywiezieni i wyrzuceni z pociągu w tej niegościnniej suchej krainie. Pozostała im modlitwa i ufność pokładana w Bogu, która nie została zawiedziona: zimą, w nocy, na stepie ukazało się wielkie jezioro, a to znaczyło dla zesłańców *ż y c i e*. Wyśmienitych ryb było tam takie mnóstwo, że nawet samolotami wożono je do Moskwy. Jako votum wdzięczności Bogu pobudowano tam kościół, dzisiejsze sanktuarium. Miejscowość nosi nazwę Oziornoje...

– Słyszałem coś o tym. Kiedyś się mówiło, że głęboko pod Saharą znajdują się wielkie zbiorniki wodne, lecz ich eksploatacja jest nieopłacalna. Ten więc „cud”, o którym mówimy, polegał, być może, jakby na wyniesieniu tych zbiorników na powierzchnię ziemi przez nieznaną nam siłę...

– Na pewno przez aniołów... Nie mogę wyjść z podziwu, patrząc na tę mapę...! A więc naprawdę nie istnieje już pustynia...?

– Saharyjska – nie istnieje. Ale kojarzy mi się ona z czymś

innym. Ksiądz Leopold nieraz mówił o konieczności zaprowadzenia „pustyni” w swoim wnętrzu. Tylko w wyciszonej duszy (chodzi o umiejętność kontrolowania i wyciszania myśli oraz pragnień) mogą rozkwitnąć wszystkie dary Boże. Łaska Boża może nas napełniać tylko w takiej mierze, w jakiej opróżniamy się z samych siebie i umniejszamy się.

– Pustynia w duszy – mówisz... Pustynia, która powinna zakwitnąć... Dzięki ci, Rafale, że właściwie ukierunkowałeś moją podróż! Zwracam ci atlas...

Tak zakończyła się moja „saharyjska przygoda”... W nawiązaniu do niej dodam jeszcze, że podczas lektury Proroctwa Izajasza rzucił mi się w oczy następujący jego fragment: *Trysną źródle wód na pustyni i strumienie na stepie; spieczona ziemia zmieni się w pojezierze, spragniony kraj w krynice wód, a badyle w kryjówkach, gdzie legaty szakale – w trzcinę i sitowie (35,6-7). Na pustyni zasadzę cedry, akacje, mirty i oliwki, rozkrzewię na pustkowiu cyprysy, wiązy i bukszpan obok siebie (41,18).*



Mam w tej chwili wielkie pragnienie pisania o rozkwicie w Nowym Świecie tych obszarów ludzkiego życia, które w Starym Świecie stanowiły najrozleglejsze „pustynie” – te duchowe. Ale jak to pragnienie zrealizować...? Musiałbym, posługując się mapą oraz swoimi notatkami, zaproponować Czytelnikom bliższe przyjrzenie się teraz nowemu życiu ludzi, którzy dawniej byli żydami, buddystami, hinduistami, wyznawcami Zaratustry, Mahometa, Sai Baby...; także życiu tych, którzy kierowali się różnymi obłędnymi ideologiami i w oparciu o nie próbowali budować różne struktury, ze społecznymi i państwowymi włącznie...

Jak tu jednak pisać, mając świadomość, że książkę tę wezmą do ręki także ci Czytelnicy, którzy są wyznawcami którejś ze wspomnianych religii albo ideologii?! Może mieszkają w kraju, w któ-

rym za przejście na katolicyzm wciąż jeszcze grozi kara śmierci albo samosąd zakończony linczem, a za posiadanie Biblii długoletnie więzienie? Może oburzą się czytając o tym, co w Nowym Świecie widzę na miejscu strawionego przez ogień Kremla i mauzoleum Lenina, zawierającego prochy tego wodza bolszewickiej rewolucji?! Jak zareagują niektórzy Czytelnicy na wiadomość, że nie istnieją już w żadnym kraju świątynie, które by nie miały na dachu krzyża, a w swoim wnętrzu tabernakulum; co powiedzą dowiedziawszy się, że w Nowym Świecie wszyscy mieszkańcy Ziemi spotkali się w jednym, świętym, powszechnym i apostołskim Kościele, i to bez żadnych wojen religijnych, misji czy ekumenizmu? Co pomyślą ci, którzy byli przekonani, że to właśnie ich zadaniem jest nawrócić wszystkich ludzi na swoją wiarę, a tymczasem przeczytają, że wszyscy ich współwyznawcy przeszli na katolicyzm...?

Pytania można by mnożyć... Chyba więc powinienem zatrzymać się w swoich opisach Nowego Świata w tym miejscu książki...? Rzeczywiście tak uczynię, trudno mi jednak całkiem pominąć tę stronę, która zawiera jeden rzut oka na miasto, w którym od wieków spotykały się ze sobą (może nawet ścierały) trzy wielkie religie świata: chrześcijaństwo, judaizm i mahometanizm – na J e r o z o l i m ę.

Oto zniknęły stare mury okalające to miasto, wybudowane przez Sulejmana na gruzach murów wzniesionych przez krzyżowców; zniknął Mur Płacz²⁸ – rozsypał się – wszystkich 14 warstw – w czasie Wielkiego Trzęsienia Ziemi, wraz z pomieszczeniem, w którym przechowywano zwoje Pisma Świętego; nie widzę ol-

²⁸Pozostało z niego tylko 11 warstw olbrzymich bloków skalnych ukrytych pod ziemią, o długości aż do 11 m i wysokości do 1,8 m. Świadczą one o tym, że cała Jerozolima stoi na gruzach dawnych budowli. Archeologowie twierdzą, że gruzy sięgają w głąb ziemi na więcej niż 20 m.

brzymiej Kopuły Skały²⁹ ani niektórych ze znanych kiedyś kościołów chrześcijańskich³⁰; za to nad miastem górują trzy nowe świątynie. W miejscu dawnej świątyni Salomona wznosi się olbrzymi kościół, nawiązujący swoim kształtem do świątyni z czasów Chrystusa, a na jego frontonie widnieją słowa: *Błogosławiony, który przychodzi w Imię Pańskie*. Jak łatwo się domyślić, poświadczają one wypełnienie się Jezusowego proroctwa, gdyż Ostrzeżenie umożliwiło żydom poznanie Odkupiciela świata i uwierzenie w Niego (Mt 23, 37-39). Słusznie więc nazwali tę budowlę *Kościółem Nowego Przymierza* i są bardzo dumni z tego, że nareszcie mają w tym miejscu swoją, wymarzoną od wieków, świątynię oraz swoich kapłanów, chociaż w Starym Świecie inaczej sobie ten fakt wyobrażali.

Dwa pozostałe kościoły pobudowane zostały na szczycie Góry Oliwnej, która, zgodnie z proroctwem zawartym w Księdze Zachariasza (14,4), w czasie Wielkiego Trzęsienia Ziemi podzieliła się na dwie części. Między nimi rozciąga się, ze wschodu na zachód, dolina, nad którą wzniesiono most dla pieszych. Nie widać z daleka samego pomostu ani ludzi na nim, ale potężny łuk,

²⁹Zwana była także „Meczetem Omara”, chociaż nigdy nie pełniła roli meczetu. Zbudowana była przez muzułmanów na wzgórzu Moria, na którym Abraham złożył w ofierze Bogu swego syna Izaaka, a później Salomon wybudował świątynię. Muzułmanie wierzyli, że Mahomet wjechał z tego miejsca do raju na uskrzydłonej klaczy imieniem Burak.

³⁰Kierując się opisami apokryfów, tzn. ksiąg pochodzących z czasów apostołów, jednak nie uznanych przez Kościół za kanoniczne (nie włączonych do Nowego Testamentu), jak też w oparciu o ustną tradycję, wskazywano nie zawsze prawdziwe miejsca niektórych wydarzeń ewangelicznych, upamiętniając je budową świątyni. W Nowym Świecie Kościół poszedł za innym, bardziej prawdopodobnym opisem tych zdarzeń, podanym przez włoską mistyczkę Marię Valtortę w *Poemacie Boga-Człowieka*. I tak, na przykład, uznano, że Maryja urodziła się nie w Jerozolimie, lecz w Nazarecie, a jeśli chodzi o Jej wniebowzięcie, została najpierw duchem, a potem ciałem, bez żadnego pogrzebu, przeniesiona do nieba z Góry Oliwnej, na której mieszkała wraz ze świętym Janem w dawnym domu ogrodnika.

pod którym go podwieszono, do złudzenia przypomina tęczę, co podkreślają jego barwy. Most spina ze sobą szczyt północny, na którym zbudowano kościół Wniebowzięcia Maryi, z południowym, na którym wznosi się kościół Wniebowstąpienia Chrystusa. Patrząc na styl łatwo się domyślić, że oba kościoły projektował ten sam architekt. Bijące od nich światło (w dzień – słoneczne odbite od białych murów, w nocy – elektryczne) niewątpliwie zwraca uwagę wszystkich nie tyle na same budowle, co na kierunek wszystkich ludzkich dążeń: na nasze „wniebowzięcie”. Szczęśliwi, którzy pielgrzymują do Domu Ojca, w którym czekają na nas Jezus z Maryją oraz inni nasi bliscy...



Postanowień należy się trzymać, więc reszta moich notatek idzie do szuflady... Jeżeli ktoś kiedyś będzie te kartki przeglądał, może znaleźć strony, na które kapnęły moje łzy! Nie potrafiłem ich nieraz powstrzymać, nawiedzając te miejsca, które kiedyś tętniły życiem, a teraz stały się pustynią... Były też jednak łzy radości, gdy wznosiłem się nad tymi obszarami, które rozkwitły nowym życiem, jakże szczęśliwym.

Zanim teczkę z pozostałymi notatkami schowam, muszę ją jakoś zatytułować, by nie zaginęła wśród tylu innych... Już wiem – tak będzie dobrze: PUSTYNIE ZAKWITŁY!!!

10. Pożegnanie

Właśnie dzisiaj, wbrew swoim dotychczasowym zwyczajom, mój niebiański przewodnik zaproponował mi spacer po okolicy... Miała ta jego propozycja zabrzmieć zupełnie zwyczajnie, lecz tak nie było – w tonie jego głosu było coś niezwykłego, czego jednak nie umiałem sprecyzować. Także moja odpowiedź zabrzmiała trochę sztucznie, głos z lekka mi drżał...

Przeszliśmy tym razem nie przez ogród, lecz osiedlową drogą w stronę kościoła, pozdrawiając po drodze dawnych i nowych znajomych. Od podnóża wzniesienia po szerokich schodach weszliśmy do kościoła na krótką modlitwę, która – tak, dobrze to pamiętam – tym razem przychodziła mi z trudnością. Przy wyjściu, jakby już z góry przygotowany na nasze spotkanie (czyżby Anael go uprzedził?), czekał... ksiądz Leopold! Zaprosił nas na ławkę – tę samą, na której siedząc z Aldoną w wschodzie słońca modliliśmy się, zasłuchani w wiosenne trele ptaków – i wyjął spod pachy aktówkę, a z niej... plik moich zapisków, wręczając mi je...

– Może niezbyt dokładnie, ale zapoznałem się z ich treścią. A tu twój notes elektroniczny z dyktafonem, kilka nagranych rozmów zdążyłem przesłuchać. Próbowałem wyobrazić sobie, że jestem jeszcze mieszkańcem Starego Świata, i wczuć się w sposób rozumowania i odczuwania tamtych ludzi... Nie było to łatwe, ale ktoś z nieba mi w tym pomógł. Prosiłeś o ocenę. Nie umiałem ci odmówić, więc... (przez chwilę trzymał mnie w napięciu, jakby się zastanawiał) – jestem głęboko przekonany, że będzie to wspaniała i bardzo potrzebna książka! Gdybym żył jeszcze w Starym Świecie, myślę że bardzo by mi ona pomogła przygotować się do Nowego, który był jednak dla nas wszystkich wielkim zaskoczeniem! Gratuluję ci, Ivanie! Zupełnie szczerze! Będę się modlił...

– Dziękuję bardzo, z całego serca! Jest Ksiądz pierwszym,

który miał moje materiały – może coś więcej: „próbki” – w rękę. Ksiądz opinia doda mi energii i zapału do dalszej pracy. Może w tej chwili nie jest Książd na to przygotowany, ale... muszę o to zapytać: co trzeba zdecydowanie zmienić albo usunąć...?

– Wiedziałem, że zadasz mi to pytanie... Właściwie uderzyła mnie tylko jedna rzecz: rozdział, który chcesz zatytułować „Lew je słomę jak wół”... Czy nie warto by go było jednak pominąć?

– Ale przecież wszystko, co tam piszę, jest zgodne z prawdą!

– Tak, z naszego punktu widzenia. Albo inaczej: prawdziwe dla nas, mieszkańców Nowego Świata. Gdy jednak twoją książkę wezmą do ręki ludzie w Starym Świecie, a zwłaszcza „uczeni w Piśmie” – już jakbym widział reakcję wielu z nich: wyśmianie, odrzucenie, potępienie, a w najlepszym razie – zlekceważenie!

Książd Leopold pokiwał głową... Po dłuższym milczeniu kontynuował:

– O, już wiem, jak ci to wyjaśnić... W seminarium duchownym mieliśmy starego profesora biblistę, którego między sobą nazywaliśmy „Mojżeszem”. Nawet pewno go przypominał: był wysoki, dobrze zbudowany, o potężnym głosie, a do tego z obfitą siwą brodą. Lubił opowiadać nam ciekawostki z życia wzięte, a wtedy wpadał w dobry humor, posługując się ciętym, a nawet rubasznym językiem. Pewnego razu przytoczył nam rozmowę³¹ ze swoim krewnym, chyba siostrzeńcem, dorosłym już człowiekiem, na temat prorocत्व Starego Testamentu:

– Siostrzeniec był lektorem w swojej parafii i ćwiczył sobie na niedzielę czytanie fragmentu z Izajasza o pełni czasów Mesjańskich – o tych zwierzątkach, które będą się dziwnie zachowywać: wilk i baranek paść się będą razem, lew jak wół będzie jadał słomę, a wąż będzie się żywił prochem ziemi. Zapytałem go, jak to rozumie. I wiecie, co mi odpowiedział? „Skoro jest to Słowo

³¹Odbyla się ona, oczywiście, jeszcze w Starym Świecie.

Boże, musi się dokładnie wypełnić”. „Dosłownie, tak jak to napisał Izajasz?” – zapytałem. „Oczywiście, że dosłownie” – odpowiedział... „Potrafisz sobie wyobrazić taki cud?” „Potrafię!” Możecie się domyślić, jak ja, biblista, na to zareagowałem: chociaż wiedziałem, że mój siostrzeniec nie ma za sobą studiów biblijnych, jednak pokładałem się ze śmiechu!!! A potem zacząłem mu dogryzać: „To ty może jesteś «świadek Jehowy», bo oni wierzą w takie bajki?! W to, że na ziemię powróci raj, oczywiście tylko dla nich, i że będą tutaj wiecznie szczęśliwi?! Widziałeś ich «rajskie» naiwniutkie obrazki...?” Jak możecie się domyślić, mój siostrzeniec umiał odpowiedzieć mi tylko milczeniem...

– A teraz, moi panowie – kontynuował „Mojżesz” – wyobraźcie sobie, że ktoś z was w Starym Świecie zdaje u mnie egzamin z Pisma Świętego i daje mi podobną odpowiedź: myli symbol albo parabolę, odnoszącą się do czasów Mesjańskich, z rzeczywistością, którą ta parabola zapowiada (nie dostrzega wcale przenośni, lecz odczytuje wszystko w sensie dosłownym), jak wam się zdaje, co bym zrobił z takim uczniem...? [...] ³² Jednak w Nowym Świecie dane nam było zmądrzeć! Wyobraźcie sobie teraz, że dzisiaj, tutaj, nagle otwierają się drzwi i wchodzi... mój „niedokształcony” siostrzeniec! Podchodzi do mnie i mówi: „Wujku, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!”, a potem co robi...? [...] ³³ ...a ja lecę... (zawiesił głos, czekając, aż mu podpowiemy, jednak nie mieliśmy na to dość odwagi...) no gdzie...? Nie na księżyc, panowie, nie na księżyc, tylko do najbliższego lasu, i ląduję na niedźwiedziu, żeby zobaczyć – ja, stary profesor, rozumiecie?! – co to znaczy „sens dosłowny” w Biblii! Bo niedźwiedź tylko się

³²W tym miejscu opowiadanie zabrzmiało zbyt rubasznie, by można je było dosłownie przytoczyć...

³³Jak wyżej.

śmieje, liże mnie po policzku i cytuje mi Izajasza: *Oto czynię wszystko nowe...*

I wiesz, Ivanie, co jeszcze dodał „Mojżesz”? „Gdyby wtedy, w Starym Świecie, ktoś mi powiedział, że moje i moich kolegów niektóre komentarze do Biblii, spuścizna całych wieków pracy, nadają się [...]”³⁴, to wiecie, co bym z nim zrobił?! (zacisnął wielkie pięści i groźnie nimi potrząsał) – no!!! Ale teraz, w Nowym Świecie, to ja jestem o..., taki malutki!” (pokazał nam szczelinę między dwoma palcami).

Chyba się domyślasz, dlaczego ci to opowiedziałem... Wielcy profesorowie, ale i ci mali „znawcy wszystkiego” w Starym Świecie, okrzykną cię może sympatykiem „świadców Jehowy”... Niektórzy z nich będą załamywać ręce i ubolewać, że ktoś tak wykształcony czyta po swojemu, w sensie dosłownym, proroctwa biblijne, wykazując się przez to „niewiedzą, ograniczonością i naiwnością”. Twój opis oczyszczonego i przemienionego świata nazwą „nieziszczalną utopią”, a ciebie okrzykną „fałszywym prorokiem”, który ponadto odgrzewa herezje już dawno potępione³⁵... Pomyśl, czy twoja książka na tym nie straci? Czy nie lepiej by było zupełnie pominąć ten rozdział dla dobra sprawy? Kto dożyje, sam zobaczy, jak wielkich cudów Bóg dokonał... Tak myślę!

³⁴Jak wyżej.

³⁵Ksiądz Leopold myślał zapewne o *chiliasmie* i *millenaryzmie*. Nie rzucił Kościół na ich zwolenników *anatemy* (nie wyłączono ich z Kościoła), lecz tylko ostrzegł przed nimi stwierdzając, że ta ich nauka *nie może być bezpiecznie głoszona*. Millenaryści, błędnie odczytując 20. rozdział Apokalipsy świętego Jana, byli przekonani, że nadejdzie szczęśliwa 1000-letnia epoka, kiedy to Chrystus będzie panował na ziemi w sposób widzialny.

Nie wypowiedział się jednak Kościół na temat wiary w nadejście okresu królowania na całej ziemi Chrystusa, ukrytego w Eucharystii i w sercach ludzi. Z prywatnych wypowiedzi Jana Pawła II wyraźnie wynika, iż spodziewał się on takiej szczęśliwej epoki, w którą jednak Kościół ma wejść *oczyszczony we krwi męczenników*.

– Dziękuję bardzo za radę, tak bardzo praktyczną! – odpowiedziałem. – Mam tylko pytanie: czy Ksiądz wyłącznie sam ją sformułował, czy też otrzymał takie natchnienie...? Może na modlitwie...? Wtedy ta rada byłaby dla mnie szczególnie wiążąca...?

– To jest tylko rada pochodząca ode mnie, oparta na moim odczuciu, no i trochę na doświadczeniu, bo przecież i ja wychowałem się w Starym Świecie...

– Całe szczęście! – zawołałem.

– A to dlaczego...? Czyżbyś nie myślał podobnie jak ja, nie przewidywał podobnego ataku i odrzucenia?!

– Przewiduję! Jestem pewien, że taki atak będzie, nawet znam ludzi, ze strony których on przyjdzie! Nie będę im jednak udowadniał, że znam dość dobrze zasady interpretacji Biblii, zwłaszcza rozróżnienie między tym, co chciał napisać autor natchniony a tym, w jaki sposób to opisał, jakim językiem, w oparciu o jaką wiedzę przyrodniczą. Po co miałbym im to udowadniać? Przecież prawie wszystkim ludziom Starego Świata nawet przez chwilę nie postoi w głowie, że Bóg ma w swoich planach aż tak dogłębne przetworzenie świata, że można mówić o stworzeniu go jakby na nowo! Jak by mogli zresztą uwierzyć w taki cud, odnoszący się do przyszłości, skoro i przeszłość – cały opis raju – zawiera dla wielu z nich tylko symbole i przerośnię i jest opowiadankiem dobrym dla małych dzieci?! Mało tego: wielu z nich, zupełnie bezwstydnie, kwestionuje w ogóle istnienie raju, a jeśli chodzi o stworzenie człowieka i świata – bliższy im jest Darwin ze swoją bajeczką o ewolucji (tak, bajeczką, gdyż do tej pory żadne badania naukowe jej nie potwierdziły), niż przekaz biblijny!

– Właśnie o tych ludziach myślałem! Gdy przeczytają, że zwierzęta na powrót stały się łagodne i przestały się nawzajem pożerać, a tym bardziej zagrażać człowiekowi, zawołają: „To wielkie dziecko wyobraża sobie, że lew naprawdę może żyć słomą

albo sianem; że Stwórca chciałby odwrócić prawa rządzące dotąd przyrodą!”

– Tak, wiem o tym... Zaraz odwołają się do biologii i stwierdzą, że absolutnie niemożliwe jest przerwanie łańcucha wzajemnych pożeraczy, gdyż będzie to dla nich oznaczało tylko i wyłącznie śmierć: lew musi zjadać antylopy, resztką jego uczty podzielią się sępy i hieny, a czego one nie dojedzą – zjedzą wielkie żuki, wciągając padlinę pod ziemię; mniejsze cząstki dostaną się mrówkom, a najmniejsze – mikroorganizmom w przewodzie pokarmowym mrówek. Mrówkami z kolei pożywi się mrówkojad, a mrówkojadem – sępy i hieny, i tak dalej... Zakrzyczą mnie „uczeni”, którzy podważają prawdziwość (od strony przyrodniczej) przekazu Księgi Rodzaju, a mianowicie tę decyzję Boga, że *dla wszystkich zwierząt będzie pokarmem trawa zielona*: „To niemożliwe – rzekną – gdyż zwierzęta mięsożerne w swoim krótkim przewodzie pokarmowym nie strawią pokarmu roślinnego. Bóg dostosował się do błędnych pojęć przyrodniczych autora natchnionego, gdyż nie miał zamiaru uczynić z Biblii podręcznika biologii...”

– Skoro tak mocno potwierdzasz, Ivanie, moje przypuszczenia, zupełnie nie rozumiem, z jakiego powodu nie miałbyś się do nich dostosować?! Czy źle ci radzę...?

– Proszę Księdza, ja o tym myślałem podobnie jak Ksiądz, czysto po ludzku. Bałem się nawet poruszać ten temat. Już na samym początku książki – może Ksiądz nie zwrócił na taki szczegół uwagi – opisałem bociany na łące pełnej skaczących żabek. Napisałem tam, że bociany co chwila wyciągały szyję, żeby pochwycić zdobycz – oczywiście żabkę – jednak ostatnio wycofałem się z tego. Potem przypisałem mojemu bratankowi łowienie ryb na wędkę jako jego ulubione zajęcie, i w tym duchu chciałem pisać całą książkę. Jednak otrzymałem bardzo wyraźne natchnienie: „NIE! Masz napisać nie tylko o przemianie ludzi, ale i całej przyrody razem z człowiekiem. Nie tylko człowiek stał się łagodny!”

– Dla nas jest to oczywiste, bo widzimy to na własne oczy, ale jakich użyjesz argumentów, by przekonać o tym czytelników?

– Mnie wystarczyłoby samo głębokie przekonanie, że właśnie tak mam to opisać, zrodzone pod wpływem wspomnianego natchnienia. Jednak, chcąc nabrać większej pewności, po modlitwie otworzyłem Pismo Święte. Natrafiłem na opis wrzucenia w morze Jonasza, uciekającego przed Bogiem i przed wypełnieniem zleconej mu misji ostrzeżenia Niniwy. Opis ten powiedział mi wiele: morze burzy się, dopóki płynący po nim Jonasz udaje się w złym kierunku, przekraczając wolę Bożą, a staje się łagodne, gdy obiera on właściwy kierunek. Odniosłem to do świata: przestanie ziemia trząść się, płonąć i wypływać lawę wulkanów, gdy ludzie pokochają Boga i zechcą pełnić Jego wolę...

– Wspaniale to ująłeś! Na pewno napiszesz – jeszcze w czasie przyszedł, gdyż dla ludzi Starego Świata – że wtedy Bóg rozkaże swoim aniołom, by przyoblekli cały glob ziemski w szatę miłości, pokoju, zdrowia, czystości, piękna i dobra. Po raz drugi w swojej historii ziemia, zanim przestanie istnieć, stanie się taką, jaką chce ją mieć nie szatan, lecz Bóg.

– Właśnie to miałem na myśli! Napiszę, że prawdzie nie będzie to pełny raj (ten utraciliśmy na zawsze), lecz jednak czas wypełnienia się prorocत्व biblijnych, odnoszących się do tego właśnie okresu. Teraz wiem z niezachwianą pewnością, że mam ścisły obowiązek właśnie tak to napisać, niezależnie od życzliwej reakcji części czytelników lub niechętniej – może wręcz wrogiej – innych... A resztę – owoce mojego pisanie w sercach ludzi – mam pozostawić Bogu.

I właśnie z powyższych względów ucieszyłem się, Księżu Leopoldzie, że w swoich uwagach nie powołał się Książd na Boże natchnienie, lecz tylko na własne rozumowanie!

– Skoro tak, wycofuję się! Pisz więc śmiało to, co dyktuje ci twoje własne sumienie. Nawet coś ci dopowiem, co cię na pewno

jeszcze bardziej utwierdzi w powyższym postanowieniu, a powołałam się przy tym powtórnie na wykłady naszego „Mojżesza”. Otóż w biblijnym opisie drogi Izraelitów do Ziemi Obiecanej widział on alegorię i zapowiedź tej drogi, którą teraz przebywa Nowy Izrael – Kościół, pielgrzymujący przez ziemię do nieba. By nakłonić Izraelitów do posłuszeństwa, Bóg posługiwał się wielkimi cudami i znakami swojej obecności i mocy. Troszczył się nie tylko o pokarm w dostatecznej ilości, o zdrowie i siły potrzebne ludowi w drodze, ale nawet o ubranie. Obecnie, gdy już Nowy Naród Wybrany stara się być we wszystkim posłuszny Bogu, o ileż wspanialsze cuda towarzyszą mu w jego drodze. Bóg troszczy się o wszystkie potrzeby swoich dzieci, gotów zmieniać nawet prawa przyrody, byle tylko im dogodzić i okazać czułą miłość. Ludzie odpowiadają Mu swoją miłością i wdzięcznością, i to jest to *novum* oczyszczonego świata...

– Dobrze rozumiem to porównanie obecnej epoki z czasami Mojżesza... Jednak w pełni może to pojąć tylko ten, kto tego świata doczekał i w nim żyje! Wszystkie zapowiedzi proroków, dotyczące tego *novum*, zawierały tylko cień obecnej rzeczywistości, ale nawet one wydawały się ludziom Starego Świata „rewolucją”, przesadą, idealizowaniem... Z podobnym niedowierzaniem patrzyliby Żydzi w niewoli egipskiej na człowieka, który by chciał ich przekonać, że ubranie, które im się niszczyło w ciągu kilku miesięcy, będzie mogło im służyć na pustyni przez czterdzieści lat, przechodząc w spadku z ojca na syna, a potem na wnuka!

– O tak! Uznaję więc, Ivanie, że czerpiesz z dobrych źródeł i jesteś pod najlepszym z możliwych kierownictwem. A jeśli, do tego, gotów jesteś cierpieć za Prawdę... – no cóż, mogę cię tylko wesprzeć modlitwą...! Trzymaj się mocno obranej drogi.

Po tych słowach ksiądz Leopold wyciągnął do mnie ręce, uścisnęliśmy się serdecznie. Mocnym i zdecydowanym ruchem

ręki nakreślił mi, na drogę, krzyżyk na czole... Stał jeszcze długo na szczycie schodów i patrzył za nami, gdy szliśmy w stronę jeziora.



Nie spodziewaj się, drogi Czytelniku, że zdradzę ci wszystkie szczegóły mojej rozmowy z Anaelem. Mieliśmy sobie, idąc drogą wzdłuż jeziora, tak wiele do powiedzenia... Śmiejąc się pogroził mi palcem, gdy próbowałem dociekać, gdzie podziewał się wtedy, gdy zostawiał mnie samego z moimi rozmówcami. Nie robił jednak tajemnicy z tego, jak szerokie jest pole jego działania na ziemi – jest i będzie aż do końca świata. Ma pod swoją opieką nie tylko tych, którzy przychodzą każdego roku na świat pod tą samą datą co ja, lecz wszystkich, którzy starają się prowadzić życie czyste, niezależnie od tego, czy są kapłanami, czy zakonnikami, czy osobami wybierającymi życie samotne z miłości do Boga i ludzi, czy też żyjącymi w małżeństwie. Każdy z tych stanów niesie ze sobą jakieś wymagania w dziedzinie zachowania czystości, a wraz z nimi zobowiązanie do walk i wyrzeczeń. Wzorem dla wszystkich walczących o czystość jest Najświętsza Maryja Dziewica, opiekunka i orędowniczka wszystkich dziewczic (chodzi tu także o mężczyzn, prowadzących życie dziewicze). Ci, którzy Jej się poświęcili, osiągają najwyższy stopień czystości, bardzo ceniony przez Boga i wysoko nagradzany w wiecznej chwale. Jego symbolem jest w niebie biała szata i czerwony pas w różnych odcieniach, zależnych od walk stoczonych z szatanem i z własną naturą.

W Starym Świecie cała armia psychologów i psychiatrów potępiała już samo to pojęcie „walki z naturą” (zwłaszcza z „przemocą” popędu płciowego), a szatan robił wszystko, by wszystkich przekonać, że „natura ma swoje prawa i trzeba się do nich dostosować”. Hasło to głosili nawet ci, którzy składali ślub czystości albo przyrzeczenie zachowania celibatu, i w ten sposób „ducho-

wni” stali się bardzo „cieleśni”, a niektórzy z nich, żyjąc w grzechu, zdradzali swoje wzniosłe powołanie.

W Nowym Świecie Anael, Anioł Czystości, ma szczególnie rozległe pole działania i wielkie rzesze ludzi korzystają z jego pomocy. Będę zaskoczony, gdy w niebie zobaczę plon pracy tego „księcia-chłopca”, a właściwie współpracy, gdyż jego praca jest ściśle sprzężona z zadaniami wykonywanymi przez wielu aniołów, z Aniołami Stróżami włącznie, nie mówiąc o Najczystszej, Królowej nieba i ziemi.

Anael wyjaśnił mi także zasady swojej współpracy z Hagielem, Aniołem Milczenia, który w Chórze Książy zakłada mu na ramiona swój symboliczny biały płaszcz milczenia. Dowiedziałem się, że chodzi tu o milczenie najszerzej pojęte, a więc obejmujące także sferę myśli, wyobrażeń, pamięci, pożądań – nad nimi wszystkimi ma panować człowiek, więc aniołowie służą mu w tym pomocą, jeśli tylko jej pragnie i potrzebuje.

Byłem tak pochłonięty naszą rozmową, że nawet nie wiem, kiedy zamknęła się wielka pętla trasy naszego spaceru i znaleźliśmy się z powrotem przed moim domem rodzinnym... Wciąż rozmawiając, wsiedliśmy do mobilu... Nikogo nie było przed domem, nikomu z mojej rodziny nie przyszło do głowy, że oto... nadszedł czas rozstania...! Zacząłem odnosić wrażenie, że to wszystko było tylko jeszcze jednym więcej snem-wizją w rodzaju tych, które od wczesnego dzieciństwa wpisały się w moje życie...

Jakby mechanicznie, zawiesiwszy myśli, wpatrywałem się w znane mi ruchy: ustawienie pokrętłami strzałek zegara, wciśnięcie klawisza startu... W sercu poczułem dziwny skurcz, gdy uświadomiłem sobie, że Anael skierował mobil nad jezioro, w kierunku niewielkiej zatoczki, nad którą wsiedliśmy do niego po raz pierwszy tamtego pamiętnego wiosennego dnia, wysiadłszy z kajaka...

Chociaż nie odzywaliśmy się teraz do siebie, wszystko było

jasne i oczywiste: za chwilę znowu wsiądziemy do kajaka – w ten symboliczny sposób anioł, któremu dane było zanurzyć się w naszej czasoprzestrzeni, chce zamknąć pętlę naszej wędrówki... Brakowało tylko śpiewu słowików, które były teraz w drodze do ciepłych krajów, a zieleń nadbrzeżnych zarośli została zastąpiona bogactwem kolorów jesieni.

Zepchnąwszy kajak na wodę, usiadłem przy sterze, chwyciliśmy za wiosła... Miałem wrażenie, że tylko minutę zajęło nam przebycie drogi do białego nadbrzeżnego kamienia. Nadeszło nieuniknione pożegnanie...

– Wiem, co czujesz... Oddajmy wspólnie pokłon Najwyższemu i podziękujmy za łaskę tej wielkiej podróży – odezwał się mój Przyjaciel. – Podziękujmy też za twoją książkę i za wszystkie łaski, które otrzymają jej czytelnicy. Chyba nie wątpisz, że pomogę ci przy jej pisaniu i wydaniu, i to w różnych językach. Będzie to nasze wspólne dzieło, człowieka i anioła... Już widzę ją – i jej wieczne owoce – tam, gdzie na razie twój wzrok nie sięga. Podziękujmy Najwyższemu! *Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.*

Wypowiedział tę modlitwę w tak dobrze znany mi sposób, w pokłonie, kładąc rękę na sercu i przymykając oczy. Starałem się go naśladować. Trwaliśmy przez chwilę w ciszy przed Bogiem...

Nie śmiałem spojrzeć w stronę Anaela, lecz w końcu zerknąłem kątem oka, a potem zacząłem szeroko otwartymi oczyma wpatrywać się w niego! Wciąż pozostając chłopcem, jakim go poznałem, został przyobleczony niewidzialną ręką w promienne szaty niebiańskiego księcia, nadające mu majestatyczny wygląd...! Białe płaszczy milczenia, spięty na piersiach drogocenną klamrą, jaśniał tak bardzo, że trudno było na niego patrzeć!

Walczyłem ze sobą, gdyż z jednej strony popychała mnie ku niemu potężna fala miłości – chciałem serdecznie go objąć i uścisnąć – a z drugiej onieśmiał jego majestat oraz bijący od niego

blask... Gdy tak zmagalem się ze sobą, nie potrafiąc uczynić choćby pół kroku, nagle z wody z głośnym gęganiem uniosło się w powietrze stadko dzikich gęsi, lecąc wprost na nas. Odruchowo spojrzałem na nie, gdy znalazły się nad naszymi głowami. Gdy spuściłem wzrok, nikogo już przy mnie nie było...

Pozostał jednak biały kamień – z całkowitą pewnością ten sam, który został mi pokazany jako dziecku wraz z siedzącą na nim postacią.

Gdybyś, drogi Czytelniku, idąc brzegiem rzeki zobaczył siedzącego na takim kamieniu chłopca, błagam: natychmiast powiedz mi o tym! Już wiesz, po czym go rozpoznać: po białym długim płaszczu, jakiego nie noszą chłopcy na ziemi, spiętym na piersiach drogocenną klamrą.

Jeśli go spotkasz, będzie to znaczyło, że świat przeszedł już swoje bolesne oczyszczenie i doczekał się Nowej Wiosny. Pobiegnę więc natychmiast, aby przywitać się z moim Przyjacielem z nieba i... rozpocząć tę właśnie podróż, którą opisałem w niniejszej książce. Będzie to podróż już nie tylko w duchu, lecz i w ciele. Potwierdzi ona wtedy, niewątpliwie, jak dalece zgodne z (nową) rzeczywistością jest to wszystko, co tu zostało opisane.

Odbywszy z Czytelnikami pierwszą podróż, zapraszam więc ich od razu w drugą, lecz... tylko tych, których Dobry Bóg chce obdarować niezwykłą łaską: darem życia w Oczyszczonym i Odnowionym Świecie, w którym *ucatuja się sprawiedliwość i pokój, a wierność z ziemi wyrośnie*. Wtedy staną się współredaktorami dalszych rozdziałów tej książki, gdyż będzie pisać ją samo życie. A ostatecznie zostanie ona zamknięta na głos trąby Anioła Apokalipsy, wzywającej *wszystkich, żywych i umarłych, przed oblicze Zasiadającego na wielkim białym tronie*. Zostanie zamknięta, gdyż *otworzą księgi. Inną księgę otworzą, która jest księgą życia, i osądzą zmarłych z tego, co w księgach zapisano*.

A gdy i to już będziemy mieli za sobą, spotkamy się i serdecznie przywitamy w chwale nieba, aniołowie i ludzie, i już *pozostaniemy na zawsze z NIM*, śpiewając: *ALLELUJA!!!*

*8 września 2005 roku –
w święto Narodzenia Najświętszej Maryi Dziewicy –
w mojej samotni „Maranatha”*